

# CZARNA SERIA

# HÅKAN NESSER

PUNKT BORKMANNA

Śledztwa komisarza Van Veeterena

**HÅKAN  
NESSER**  
PUNKT BORKMANNA

przełożyła Małgorzata Kłos

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2012

Tytuł oryginału

*BORKMANN'S PUNKT*

Redakcja

Małgorzata Denys

Projekt okładki

Magda Kuc

Zdjęcia na okładce

View of Storm seascape/Andrey Yurlov/Shutterstock

Chess. White go the first/BortN66/Shutterstock

Korekta

Ewa Jastrun

DTP

Marcin Labus

Copyright © Håkan Nesser, 1994

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden

Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Group Agency, Stockholm, Sweden

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji

w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-7554-467-1

Wydawnictwo

---

**CZARNA  
OWCA**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

e-mail: [wydawnictwo@czarnaowca.pl](mailto:wydawnictwo@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

Dedykacja

I 31 sierpnia – 10 września

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

II 10–24 września

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

III 24–27 września

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

IV 27 września – 1 października

42

43

44

[40](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[V 2 października](#)

[52](#)

[Przypisy](#)

*Dla Sanny i Johannesesa*

Konieczność sama w sobie  
nigdy nie może być przyczyną  
ani usprawiedliwieniem.  
Jedynie powodem.

C.W. Wundermaas, były komisarz policji



I

31 sierpnia – 10 września

# 1

Gdyby Ernst Simmel wiedział, że to właśnie on będzie drugą ofiarą Rzeźnika, zapewne pozwoliłby sobie na kilka porządnych drinków w barze Pod Niebieskim Okrętem.

Tego jednak nie wiedział. Dlatego zadowolił się koniakiem do kawy oraz szklanką whisky z wodą. Pijąc, próbował zupełnie bez skutku, ale też bez większego zaangażowania, złapać kontakt wzrokowy z farbowaną blondyną siedzącą przy drugim krańcu baru. To pewnie jedna z nowych pracownic. Nie widział jej tu wcześniej, ale skądś ją kojarzył.

Na prawo od niego siedział Herman Schalke z „de Journaal”. Starał się namówić Ernsta na tanią wycieczkę weekendową do Kaliningradu czy też jakiegoś podobnego miejsca. Kiedy potem policja starała się podsumować przebieg zdarzeń tego wieczoru, okazało się, że najprawdopodobniej to Schalke był ostatnią osobą, z którą Simmel rozmawiał za życia.

O ile oczywiście wyszło się z założenia, że Rzeźnik nie miał Simmelowi nic do powiedzenia, zanim go zabił. A nie było to zbyt prawdopodobne, ponieważ cios, tak samo zresztą jak w przypadku pierwszej ofiary, padł z ukosa z tyłu, nieco od dołu i nie pozostawiał raczej czasu na pogawędki.

– A niech to! – powiedział Simmel i wlał w siebie ostatnie krople ze szklanki. – Czas wracać do domu, do żony.

Tak przynajmniej zapamiętał to Schalke. Na różne sposoby starał się odwieść Simmela od wyjścia, mówił, że dopiero jedenasta, że noc jeszcze młoda, ale Simmel był niewzruszony.

No właśnie, niewzruszony. Po prostu zsunął się z barowego stołka, poprawił okulary i przyczesał żałośnie rzadkie włosy, przykrywając nimi łysinę, jakby mógł kogoś w ten sposób oszukać... Coś wymamrotał i wyszedł. Schalke zobaczył jeszcze tylko plecy Simmela, kiedy ten zatrzymał się w drzwiach, jakby się zastanawiał, w którą stronę pójść.

Właściwie, jeśli spojrzano się na to z perspektywy, mogło się to wydać nieco dziwne. Przecież, do cholery, Simmel musiał wiedzieć, gdzie mieszka?

A może po prostu przystanął na chwilę, żeby zaczerpnąć w płuca nieco łagodnego, wieczornego powietrza. Dzień był ciepły, lato jeszcze się nie skończyło i wieczory miały w sobie tę upojną pełnię, na którą składało się skumulowane przez ostatnie miesiące ciepło.

Jak to ktoś powiedział, noce jakby stworzone do tego, żeby je pić dużymi haustami.

W sumie, można by powiedzieć, całkiem miły wieczór na to, żeby przenieść się na tamten świat. Wprawdzie dział „de Journaal”, w którym pracował Schalke, zajmował się sportem i folklorem, ale Schalke, jako ostatnia widząca Simmela osoba, pozwolił sobie na napisanie nekrologu poświęconego przedwcześnie zmarłemu dyrektorowi biura nieruchomości... filarowi społeczeństwa, można by rzec, który właśnie powrócił do rodzinnego miasta po paru latach spędzonych za granicą (na hiszpańskim wybrzeżu, na które trafił wraz z innymi migającymi się od podatków, ale o tym przecież nie należało przy tej okazji wspominać), i który, choć skończył pięćdziesiąt osiem

lat, był w kwiecie wieku, a pozostawił po sobie żonę i dwójkę dorosłych dzieci.

Zapach wieczoru obiecująco uderzył go w nozdrza. Przystanął w progu i zawahał się przez chwilę.

Może niegłupim pomysłem byłby spacer wokół Fisktorget i przystani?

Bo niby co miał o tej porze do roboty w domu? Pomyślał o ciężkim cieple Greta i słodkawym zapachu sypialni i zdecydował się na przechadzkę. Krótką. Nawet jeśli nic się nie wydarzy, letnie nocne powietrze samo w sobie było warte zachodu.

Przeszedł Langvej i skręcił w stronę Bungeskirke. W tej właśnie chwili cień mordercy poruszył się w mroku pod lipami w parku Leisnera i ruszył za Simmelem. Cicho i ostrożnie... w bezpiecznej odległości, na gumowych podszwach. Choć to była jego trzecia próba tego wieczora, bynajmniej nie czuł zniecierpliwienia. Wiedział, jakie postawił przed sobą zadanie, i ostatnią rzeczą, na jaką mógł sobie pozwolić, był pośpiech.

Simmel szedł dalej wzdłuż Hoistraat, a potem ruszył w dół schodami w stronę przystani. Przy Fisktorget nieco zwolnił. Powoli przeszedł przez opustoszały wybrukowany plac, kierując się na halę targową. U wylotu ulicy Dooms stały dwie kobiety, ale Simmel nie wydawał się nimi zbyt zainteresowany. Może nie wiedział, czy są wolne, a może powstrzymało go coś innego.

Może po prostu nie miał ochoty. Kiedy doszedł do nabrzeża, przystanął na kilka minut. Palił papierosa i wpatrywał się w łodzie turystyczne kołyszące się na wodzie. W tym samym czasie, morderca schowany w cieniu magazynów po drugiej stronie promenady też

pozwolił sobie na papierosa. Zakrywał go dłonią, żeby nie zdradził go rozżarzony punkcik, i ani na chwilę nie spuszczał wzroku ze swojej ofiary.

Kiedy Simmel wyrzucił peta do wody i ruszył w stronę pobliskiego lasku, morderca zrozumiał, że dziś wieczorem mu się uda.

W grę wchodził odcinek nieco ponad trzystu metrów ciągnący się od promenady do Rikken – modnej, choć nie najmodniejszej dzielnicy, w której mieszkał Simmel. Wprawdzie wzdłuż ścieżek stało wiele latarni, ale po odbywających się tu latem imprezach część z nich nie działała, a czasami trzysta metrów to dużo... Tak więc Simmel usłyszał za sobą ciche kroki dopiero po przejściu pięćdziesięciu metrów, kiedy już otaczał go gęsty mrok.

Ciepły i obiecujący, ale gęsty.

Niewykluczone, że Simmel nie zdążył się nawet przestraszyć. A nawet jeśli, mogło to trwać zaledwie ułamek sekundy. Ostra krawędź topora trafiła od tyłu pomiędzy drugim i czwartym kręgiem szyjnym, trzeci rozłupując ukośnie na dwie części, przecinając kark, przełyk i tętnicę szyjną. Gdyby ostrze doszło kilka centymetrów dalej, zapewne odcięłoby głowę od tułowia.

Samo w sobie byłoby to dość spektakularne, choć oczywiście nie miałoby już większego wpływu na fakt zgonu.

Według wszelkich kryteriów Ernst Simmel na pewno był martwy, zanim upadł na ziemię. Twarz uderzyła o ubitą, zwirowaną ścieżkę z całą mocą, okulary się potłukły, powodując kilka pomniejszych obrażeń. Krew trysnęła z gardła, i w górę, i w dół, tak więc sprawca, ostrożnie wciągając ciało w krzaki, wciąż słyszał bulgotanie. Przykucnął cicho, kiedy mijało go czworo czy pięcioro nastolatków, a potem wytarł narzędzie zbrodni w trawę i ruszył z powrotem

w stronę przystani.

Dwadzieścia minut później siedział już przy kuchennym stole nad filiżanką parującej herbaty i wsłuchiwał się w szum wody powoli wypełniającej wannę. Gdyby w domu wciąż była jego żona, zapewne zapytałaby go, czy miał ciężki dzień i czy jest bardzo zmęczony.

Nieszczerólnie, odpowiedziałaby. Zajmuje to trochę czasu, ale wszystko idzie zgodnie z planem.

To dobrze, kochanie, powiedziałaaby i może położyłaby mu rękę na ramieniu. To dobrze...

Pokiwał głową i podniósł filiżankę do ust.

## 2

Plaża ciągnęła się bez końca.

A do tego widok był monotony. Szare, nieruchome morze, a nad nim blade niebo. Pas wilgotnego, zbitego piachu tuż przy wodzie – można było iść po nim w umiarkowanym tempie. Obok ciągnął się suchszy, białoszary, porośnięty trawami i potarganymi przez wiatr krzakami. W dali, nad połącią słonej wody, ptaki zataczały duże koła, wypełniając powietrze skrzekiem.

Van Veeteren zerknął na zegarek i przystanął. Przez chwilę się zawahał. Widział już przed sobą wieżę kościoła w s'Greijvin, ale odległość była duża. Gdyby poszedł dalej, z pewnością minęłaby jeszcze godzina, zanim mógłby wreszcie przysiąść z piwem w kafejce przy rynku.

Może i warto było tam dojść, ale teraz, kiedy już się zatrzymał, trudno było się na nowo zmobilizować. Minęła trzecia. Wyszedł po lunchu, czy też raczej po śniadaniu, zależy jak na to spojrzeć. W każdym razie było już po pierwszej, a on miał za sobą kolejną noc, kiedy to poszedł do łóżka wcześniej, ale długo nie mógł zasnąć. Trudno pojąć, co tak naprawdę było powodem niepokoju, który dopadał go tak, że kiedy za oknami świt napierał coraz mocniej, Van Veeteren wciąż obracał się z boku na bok w pełnym wgnieceniu podwójnym łóżku.

Minęły już trzy tygodnie urlopu, mierząc jego miarą – dość dużo,

choć nie wyjątkowo dużo. Z każdym dniem, przynajmniej w ostatnim tygodniu, codzienny rytm nieco się zmieniał. Za cztery dni trzeba będzie znów wejść do gabinetu, ale Van Veeteren dobrze wiedział, że bynajmniej nie wkroczy tam krokiem pełnym animuszu.

Choć teraz nie robił nic innego, jak tylko wypoczywał. Wylegiwał się na plaży i czytał. Siedział w kafejce w s'Greijvin albo w położonym nieco bliżej Hellensraut. Spacerował w tę i z powrotem po ciągnącej się bez końca plaży.

Pierwszy tydzień spędzony tu z Erichem okazał się totalną pomyłką, obaj zdawali sobie z tego sprawę, ale nie mogli umówić się na później. Erichowi przyznano przepustkę pod dwoma warunkami: po pierwsze, miał za niego odpowiadać ojciec, po drugie – miał z nim przebywać na wybrzeżu. Zostało mu jeszcze dziesięć miesięcy odsiadki, a ta ostatnia wyprawa poza mury pozostawiała wiele do życzenia.

Van Veeteren popatrzył na morze. Było równie nieruchome i niedostępne, jak przez cały ostatni tydzień. Jakby nic go tak naprawdę nie obchodziło, nawet wiatr. Fale, które przy brzegu umierały ze starości, wyglądały, jak gdyby już od dawna poruszały się bez życia i nadziei.

To nie moje morze, pomyślał.

Przez cały lipiec, kiedy jeszcze pracował, wyczekiwał dni, które miał spędzić z Erichem. Jednak kiedy w końcu przyszły, marzył, by minęły, by wreszcie mieć spokój. A kiedy spędził dwanaście dni i nocy w całkowitej samotności, wyczekiwał momentu, kiedy będzie mógł wrócić do pracy.

A może to wcale nie jest takie proste? Może to jedynie nieco mniej dosadny przykład na to, co Van Veeteren zaczął już podejrzewać: otóż



nadchodzi w naszym życiu taki moment, kiedy już nie wyczekujemy, aż coś się rozpocznie, tylko aż minie, aż odejdzie. Kiedy marzymy, by móc coś skończyć, a nie zacząć od nowa. To trochę tak jak z podróżą, której urok słabnie, w miarę jak oddalamy się od punktu wyjścia, i która przynosi coraz więcej rozczarowań, im bliżej celu jesteśmy.

Byle dalej, pomyślał. Byle skończyć. Byle wszystko pogrzebać

To właśnie ten moment, o którym mówi się „teraz to już z górki”.  
Zawsze gdzieś jest jakieś inne morze.

Westchnął i ściągnął sweter. Zarzucił go na ramiona i ruszył w drogę powrotną. Tym razem szedł pod wiatr, zorientował się więc, że dojście do domu zajmie nieco więcej czasu... Ale dobrze, że zdecydował się wrócić, bo wieczorem potrzebował trochę czasu – musiał sprzątnąć domek, opróżnić lodówkę, odłączyć telefon. Miał zamiar wyjechać jutro z rana. Nie było sensu zwlekać.

Kopnął porzuconą na piasku plastikową butelkę.

Jutro zaczyna się jesień, pomyślał.

Telefon usłyszał już przy furtce.

Odruchowo nieco zwolnił, ociągał się, wchodząc po schodkach, grzebał się z kluczami, byle tylko telefon przestał dzwonić, zanim zdąży wejść do domu. Niestety. Dzwonek niestrudzenie przecinał półmrok i ciszę. Podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Van Veeteren?

– To zależy.

– Ha, ha... Tu Hiller. I jak leci?

Van Veeteren stłumił odruch, żeby odłożyć słuchawkę.

– Wspaniale, dzięki. O ile pamiętam, urlop kończy mi się

w poniedziałek...

– No właśnie! Pomyślałem, że może potrzebujesz jeszcze paru dni?

Van Veeteren nie odpowiedział.

– Gdyby ci się trafiła okazja, pewnie chętnie byś został nad morzem, co?

– ...

– Na przykład jakiś tydzień? Halo?

– A może powiedziałbyś wprost, o co chodzi?

Hiller zaczął symulować atak kaszlu. Van Veeteren westchnął.

– Cóż, no tak. Ekhm. Otóż trafiła się taka mała sprawa w Kaalbringen. To nie dalej niż trzydzieści, czterdzieści kilometrów od twojego domku letniskowego. Nie wiem, czy kojarzysz to miejsce. Poproszono nas, żebyśmy się w to zaangażowali.

– A co to za sprawa?

– Dwa zabójstwa. Jakiś szaleniec odrąbuje ludziom głowy siekierą lub czymś podobnym. Pisali dziś o tym w gazetach, ale nie wiem, czy...

– Nie czytałem żadnej od trzech tygodni.

– Do ostatniego, to znaczy drugiego zabójstwa doszło wczoraj. Dokładnie rzecz biorąc, przedwczoraj. Musimy wysłać im jakieś wsparcie, a ponieważ ty i tak jesteś w okolicy...

– Dzięki.

– ...mógłbyś się na razie tym zająć. W przyszłym tygodniu wyślę tam Münstera albo Reinharta. O ile oczywiście do tego czasu nie wyjaśnisz sprawy.

– Kto jest szefem policji w Kaalbringen?

Hiller znów zaniósł się kaszlem.

– Nazywa się Bausen. Chyba go nie znasz... Za miesiąc przechodzi

na emeryturę i chyba nie za bardzo się ucieszył, że właśnie teraz spadło mu to na głowę.

– Niesamowite.

– Jutro pojedziesz prosto tam, nie? – Wyglądało na to, że Hiller zaczyna kończyć rozmowę. – Nie będziesz musiał jechać w tę i z powrotem. A w ogóle można się jeszcze kąpać?

– Ja nic, tylko się pławię całymi dniami.

– Tak? No to świetnie. Zadzwoń do nich i powiem, że będziesz jutro po południu, okej?

– Przyślij mi Münstera.

– Jeśli dam radę.

Van Veeteren odłożył słuchawkę. Jeszcze przez chwilę stał i wpatrywał się w telefon. Potem wyciągnął kabel z wtyczki. Nie kupiłem nic do jedzenia, przypomniał sobie nagle. Cholera!

Dlaczego teraz przyszło mu to do głowy? W ogóle nie był głodny, więc to pewnie przez Hillera. Wyciągnął piwo z lodówki, wyszedł na taras i usiadł na leżaku.

Zabójca z siekierą?

Otworzył puszkę i wlał piwo do wysokiej szklanki. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek miał do czynienia z tak nietypowym narzędziem zbrodni. Był policjantem od trzydziestu lat, może nawet dłużej, ale choćby nie wiadomo jak głęboko szperał w pamięci, nie przypominał sobie żadnego zabójcy, który używałby siekiery.

Czas najwyższy, pomyślał, podnosząc szklankę do ust.

### 3

– Pani Simmel?

Otyła kobieta otworzyła drzwi na całą szerokość.

– Tak, zapraszam.

Beate Moerk przekroczyła próg i starała się wyglądać na zaangażowaną. Podała płaszcz pani Simmel, która powolnym ruchem odwiesiła go na wieszak w przedpokoju. Potem wskazała Beate drogę do salonu. Sama poszła przodem, nerwowo obciągając czarną, przyciasną sukienkę, która bez wątpienia miała już swoje lata. W pokoju, na stoliku z przydymionego szkła, czekała kawa. Obok stały solidne, skórzane sofy. Pani Simmel opadła na jedną z nich.

– Jak rozumiem, jest pani z policji?

Beate usiadła, teczkę położyła obok. Często słyszała to pytanie. Można powiedzieć, że wręcz się go spodziewała. Wyglądało na to, że ludzie jako tako pogodzili się z widokiem kobiet w mundurze policyjnym. Ale zrozumieć, że ta praca nie zawsze łączy się z takim strojem – to już zupełnie co innego. Niełatwo było pojąć, że można pełnić obowiązki służbowe, mając na sobie eleganckie, cywilne ciuchy.

Chyba trudniej przesłuchiwało się kobiety. Mężczyźni, choć często zakłopotani, w końcu się otwierali. Kobiety niby pytały prosto z mostu, ale mimo to zachowywały pewien dystans.

Ale pani Simmel nie przysporzy zapewne wielu problemów,

pomyślała Beate. Wdowa siedziała na sofie, ciężko oddychając. Spojrzenie miała niezbyt bystre, oczy – duże, naiwne i nieco zapłakane.

– Tak, jestem inspektorem policji. Nazywam się Beate Moerk. Bardzo mi przykro, że niepokoję panią teraz, tuż po tym wszystkim... Nikogo tu z panią nie ma?

– Jest ze mną siostra – odparła pani Simmel. – Wyszła na chwilę coś załatwić.

Beate pokiwała głową i wyciągnęła notes z teczki. Pani Simmel nałóżła kawy.

– Słodzi pani?

– Nie, dziękuję. Czy może mi pani opowiedzieć o wtorkowym wieczorze?

– Ale ja już... Już wczoraj rozmawiałam o tym z innym policjantem.

– Tak, wiem, z komisarzem Bausenem. Ale proszę, niech pani opowie jeszcze raz.

– Nie bardzo rozumiem po co. Nie zauważyłam nic szczególnego.

– Zeznała pani, że mąż wyszedł około ósmej.

Pani Simmel załkała, ale po chwili się opanowała.

– Tak.

– Po co?

– Miał się spotkać w interesach z jakimś znajomym... Chyba w barze Pod Niebieskim Okrętem.

– Często załatwiał tam interesy?

– Od czasu do czasu. Mąż działa... działał w nieruchomościach.

– Ale podobno siedział w barze sam.

– Najwidoczniej ten ktoś nie przyszedł.

- Ten ktoś?
  - Ten znajomy od interesów.
  - No tak, najwidoczniej. Ale chociaż znajomy nie przyszedł, pani mąż nie zdecydował się wrócić do domu?
  - Nie... Postanowił zjeść tam kolację, skoro już i tak tam był.
  - Nie jedli państwo wcześniej?
  - Nie, kolacji nie jedliśmy.
  - Wie pani, kto to miał być?
  - Proszę?
  - Z kim miał się spotkać?
  - Nie, nigdy się nie wtrącam w interesy męża.
  - Rozumiem.
- Pani Simmel wskazała dłonią na talerz z ciastkami i sama sięgnęła po czekoladowego herbatnika.
- O której spodziewała się go pani w domu?
  - Około... Chyba około jedenastej.
  - A o której poszła pani spać?
  - Dlaczego pani o to pyta?
  - Bardzo mi przykro, pani Simmel, ale pani mąż został zamordowany. Po prostu musimy zadawać wszelkie możliwe pytania. Inaczej nigdy nie złapiemy sprawcy...
  - To na pewno ten sam.
  - Ten sam?
  - Ten, co w czerwcu zabił tego Eggersa.
- Beate pokiwała głową.
- Owszem, niektóre przesłanki na to wskazują, ale równie dobrze mógł to być ktoś, kogo tamta zbrodnia zainspirowała, że tak powiem.
  - Zainspirowała?

– Tak, po prostu mógł zabić w ten sam sposób. Nigdy nie wiadomo, pani Simmel.

Pani Simmel przełknęła ciastko i sięgnęła po następne.

– Czy pani mąż miał jakichś wrogów?

Pani Simmel pokręciła głową.

– Miał wielu znajomych?

– Tak...

– Wielu, z którymi spotykał się w interesach, a których pani nie znała?

– Tak, wielu.

Beate zrobiła pauzę i zaczęła popijać kawę. Była słaba i bez smaku. Gdyby wrzucić do niej dwie kostki cukru, jak to właśnie zrobiła gospodyni, pewnie nie dałoby się rozpoznać, co to za napój.

– Wybacz pani, ale muszę zadać wiele pytań, które mogą się wydać niedyskretne – ciągnęła Beate. – Mam nadzieję, że rozumie pani powagę sytuacji i odpowie tak szczerze, jak się da.

Pani Simmel nerwowo przesunęła filiżanką po spodku, aż zazgrzytało.

– Jak opisałyby pani wasz związek?

– Proszę?

– Jak się państwu układało? Jeśli się nie mylę, byli państwo małżeństwem od trzydziestu lat.

– Od trzydziestu dwóch.

– Od trzydziestu dwóch. Dzieci już się wyprowadziły z domu... czy wciąż byliście ze sobą blisko?

– My z dziećmi?

– Nie, pani z mężem.

– Ależ... tak, byliśmy.

– Z kim przyjaźnili się państwo najbardziej?

– Z kim się przyjaźniliśmy? Z Bodelsenami i z Lejnesami... no i oczywiście z Klingfortami. No i z krewnymi. Z moją siostrą i jej mężem. Siostrą i bratem Ernsta... no i rzecz jasna z naszymi dziećmi. A dlaczego pani pyta o przyjaciół?

– Wie pani, czy mąż nie miał romansu z jakąś kobietą?

Pani Simmel przestała żuć ciastko i zrobiła zaskoczoną minę.

– Romansu?

– Jednego lub więcej. Chodzi mi o to, czy przypadkiem nie był niewierny?

– Nie... – Wolno pokręciła głową. – Nie. Niby z kim miałby mieć romans? Która by go zechciała?

Cóż, to był jakiś argument. Beate szybko pociągnęła duży łyk kawy, żeby powstrzymać uśmiech.

– Czy w ostatnim czasie wydarzyło się coś, co zwróciło pani uwagę? Chodzi mi o to, czy pani mąż nie zachowywał się dziwnie?

– Nie.

– Może zdziwiło panią coś innego?

– Nie. Niby co?

– Nie wiem, pani Simmel, ale dobrze by było, żeby się pani zastanowiła nad tymi ostatnimi dniami. Może coś się pani przypomni. Aha, a czy wyjeżdżali państwo w te wakacje?

– Tylko na dwa tygodnie w lipcu. Wybraliśmy się na wycieczkę, chociaż... w różne miejsca. Ja pojechałam ze znajomą na Kos, a Ernst wyjechał z jakimś znajomym.

– Też na Kos?

– Nie, nie na Kos.

– To gdzie?



- Nie pamiętam dokładnie.
- Aha... ale resztę lata spędzili państwo w domu?
- Tak, z wyjątkiem paru dni. Od czasu do czasu wyprawialiśmy się „Vanessą”. To nasza łódź. Trochę żeglujemy i czasami spędzamy noc na łodzi.

Beate skinęła głową.

- Rozumiem. A czy ostatnio nic pani męża nie niepokoiło?
- Nie, nie wydaje mi się.
- Poznał kogoś nowego?
- Nie...

Beate westchnęła i odłożyła długopis. Usiadła wygodniej na sofie.

- A jak szły mu interesy?
- Dobrze – odparła zaskoczona pani Simmel. – Myślę, że dobrze. Jakby żadna alternatywa nie wchodziła w grę, pomyślała Beate, strząsając okruchy ze spódnicy.

- A pani pracuje? – zapytała.

Pani Simmel się zawahała.

- Od czasu do czasu pomagam mężowi w firmie.
- W czym?
- Zajmuję się wnętrzami, że tak powiem. Przynoszę kwiaty, sprzątam i tym podobne.
- Rozumiem. Siedziba firmy mieści się na Grote Plein, tak?

Pani Simmel przytaknęła.

- Kiedy była tam pani ostatnio?
- Ostatnio? W maju, tak mi się wydaje.

No proszę, pracowita jak mrówka, pomyślała Beate.

Beate rozejrzała się też po domu, głównie dlatego że Bausen jej kazał. Pani Simmel ciężkim krokiem szła przed nią. W pewnym

momencie Beate zrobiło się jej żal – kobieta będzie musiała ogarnąć jakoś te wszystkie wielkie powierzchnie i pokoje. Choć wyglądało na to, że ktoś pomaga jej w sprzątaniu.

Nie wiadomo, czy takie oglądanie domu na coś się przyda, ale z dochodzeniami w sprawie zabójstw zawsze tak jest. Trzeba gromadzić informacje wszelkiego rodzaju – im więcej, tym lepiej – a potem przechowywać je, czekając na jakiś przełom, kiedy to najmniej istotny szczegół może się okazać kluczem do całej zagadki... sprawy... tajemnicy, jakkolwiek by to nazwać.

Beate nie brała udziału w dochodzeniu w sprawie zabójstwa od sześciu lat, kiedy to odbywała staż w Goerlich. A i wtedy była co najwyżej chłopcem na posyłki – wypytywała sąsiadów, przekazywała wiadomości, marzyła w samochodzie, wyczekując czegoś, co nigdy nie nastąpiło.

A teraz mieli przed sobą mordercę z siekierą. Ona sama, Kropke i komisarz Bausen. Nic dziwnego, że czuli się z tym wyjątkowo. Oczywiście przyślą tu jakiegoś ważniaka, ale to była ich sprawa. Ludzie oczekiwali, że to właśnie oni wszystko rozwiążą.

Wsadzą za kratki tego szaleńca.

A kiedy pomyślała o Kropkem i Bausenie, zrozumiała, jak wielka odpowiedzialność za zakończenie sprawy spoczywa na niej samej.

– Piwnicę też chce pani zobaczyć?

Beate przytaknęła i pani Simmel, posapując, zaczęła schodzić po schodach.

Wtedy, w czerwcu, Beate była na urlopie. W domku letniskowym w Tatrach razem z Janosem, z którym od tamtej pory zdążyła już zerwać albo przynajmniej czasowo ochłodzić stosunki. Przegapiła przez to pierwsze dni po zbrodni i chociaż nigdy by się do tego nie

przyznała, to jednak żałowała tego bardzo.

Heinz Eggers. Rzecz jasna przeczytała wszystkie raporty i nadrobiła zaległości. Przez resztę lata brała udział w dochodzeniu, prowadziła przesłuchania, przygotowywała dalsze plany postępowania i dokładała kolejne puzzle do układanki. Ale i tak daleko nie zaszli. Była pierwsza, żeby to przyznać. Wyglądało na to, że po tych wszystkich godzinach przesłuchań i przemyśleń nie udało im się natrafić nawet na cień podejrzenia. Zarówno ona, jak i Kropke mieli teraz na swoim koncie tyle nadgodzin, że uzbierałyby się z nich miesiąc dodatkowego urlopu. Może z tego skorzysta, o ile tylko najpierw uda się złapać tego Rzeźnika...

Tak właśnie pisały o nim gazety. Rzeźnik.

A teraz uderzył po raz kolejny.

Zamyślona szła za panią Simmel, która prowadziła ją w głąb willi. O ile Beate udało się dobrze policzyć, było tu sześć pokoi. Na dwie osoby. Teraz już tylko na jedną. Do tego pokój bilardowy i sauna w piwnicy. Taras i duży ogród wcinający się w las. I to wszystko z handlu nieruchomościami? Bausen kazał Kropkemu przyjrzeć się bliżej firmie Simmela. Niegłupi pomysł. Przecież zawsze coś się znajdzie.

Ale co, na Boga, Ernst Simmel miał wspólnego z Heinzem Eggersem?

To pytanie gryzło ją już od chwili, kiedy znaleziono Simmela, ale jak dotąd nic nie przychodziło jej do głowy.

A może nie było żadnego wspólnego mianownika?

Może ktoś krąży po mieście i zabija, kogo popadnie?

Bez zastanowienia, a między zbrodniami robi sobie miesiąc przerwy. Zabija, kiedy ma ochotę. Czy faktycznie mają do czynienia

z szaleńcem, jak to często sugerowano? Z psychopata?

Beate przeszedł dreszcz, poczuła, jak stają jej włosy na głowie.

Weź się w garść! – pomyślała.

## 4

Van Veeteren zaparkował przed bujnie zarośniętym ogrodem. Sprawdził, czy numer na obłazącej z farby skrzynce na listy zgadza się z tym zapisanym na karteczce schowanej w kieszeni.

Tak. To z pewnością tutaj.

– Na pewno trafisz – powiedział mu wcześniej komisarz Bausen. – W mieście nie ma drugiego takiego miejsca!

I nie było w tym ani krzty przesady. Van Veeteren wysiadł z samochodu i spróbował zajrzeć za skłębiony żywopłot z tawuły. W ogrodzie było ciemno. Na wysokości klatki piersiowej ciężkie, obwisłe gałęzie nieprzyciętych drzew owocowych łączyły się z tym, co rosło na ziemi – wysoką na metr trawą, puszczone swobodnie pnącymi różami i wszystkimi innymi kolczastymi gałęziami niewiadomego pochodzenia. Razem tworzyły dżunglę, miejscami mniej, miejscami bardziej nie do przebycia. Z chodnika nie widać było nawet zarysu domu, ale wydeptana ścieżka sugerowała, że może jednak kryje się tam jakiś budynek. Przydałaby się maczeta, pomyślał Van Veeteren. Facet chyba ma nie po kolei w głowie.

Otworzył furtkę i schylony wszedł do środka. Już po około dziesięciu metrach zobaczył narożnik domu, a na spotkanie wyszedł mu krępy mężczyzna. Twarz miał szorstką, pooraną bruzdami i opaloną na ciemny brąz... tak, to było naprawdę ciepłe lato. Do tego cienkie, przerzedzone włosy, niemal białe. Przez nie wygląda, jakby

już od jakiegoś czasu był na emeryturze, pomyślał Van Veeteren. Gdyby miał zgadywać, powiedziała by, że facet zbliża się do siedemdziesiątki. Ale widać było, że wciąż ma sporo krzepy. Miał na sobie domowy strój – kapcie, sprane dżinsy i flanelową koszulę z rękawami zawiniętymi za łokieć.

– Komisarz Van Veeteren, jeśli się nie mylę?

Wyciągnął przed siebie mocną dłoń. Van Veeteren ją chwycił i przytaknął.

– Nie zwracaj uwagi na stan ogrodu! Parę lat temu zacząłem hodować róże i inne rośliny, ale znużyło mnie to... Nie do pomyslenia, cholera, jak to się wszystko rozrasta! Nie mam pojęcia, jak nad tym zapanować.

Rozłożył ręce i uśmiechnął się przeproszająco.

– Mnie to absolutnie nie przeszkadza – odparł Van Veeteren.

– Tak czy inaczej, witam serdecznie. Proszę za mną. Za domem stoją fotele. Oczywiście pijesz piwo?

– Hektolitrami.

Komisarz Bausen przyglądał mu się znad krawędzi szklanki. Uniósł przy tym jedną brew.

– Przepraszam – wyjaśnił. – Ale zanim spotkamy się z innymi, musiałem się zorientować, kogo nam tu przysłali. Na zdrowie!

– Na zdrowie.

Van Veeteren rozparł się w wiklinowym fotelu i duszkiem opróżnił szklankę do połowy. Słońce towarzyszyło mu przez całą drogę. Wprawdzie trwała ona mniej niż godzinę, ale Van Veeteren czuł, jak koszula klei mu się do pleców.

– Upał nic a nic nie odpuszcza. – Bausen pochylił się do przodu

i pomiędzy gałęziami próbował dojrzeć skrawek nieba.

– To prawda – przytaknął Van Veeteren. – Bardzo ładny dom i ogród.

– Taki ogród to całkiem niegłupi pomysł. W dżungli zazwyczaj ma się spokój.

Wyglądało na to, że wie, co mówi. Bez wątpienia była to dobrze zakamuflowana kryjówka. Brudnożółta markiza, rozrośnięte krzewy, pergola z różami, gęsta, wysoka trawa, ciężki zapach lata, bzyczenie pszczoł... A do tego osiemdziesiąt metrów kwadratowych działki, częściowo wyłożonej kamiennymi płytami, obszarpana wiklinowa wycieraczka, dwa podniszczone rattanowe fotele, stół, a na nim gazety, fajka i tytoń. Pod ścianą domu stał rozklekotany regał wypełniony puszkami z farbą, pędzlami, doniczkami, gazetami i innymi szpargałami. Zza paru skrzynek z pustymi butelkami wystawała szachownica. No tak, całkiem oczywiste miejsce na szachy. Van Veeteren chwycił wykałaczkę i wetknął ją między zęby.

– Może kanapkę? – zapytał Bausen.

– Jeśli dostanę coś do popicia. Wygląda na to, że to już skończyłem. – Odstawił butelkę na stół. Bausen wysypał tytoń z fajki i wstał.

– Zobaczą, co da się z tym zrobić.

Zniknął w domu. Van Veeteren słyszał, jak Bausen krząta się po kuchni, podśpiewując przy tym coś, co brzmiało jak partia basowa z *Poławiaczy perel*.

Cóż, pomyślał, zakładając dłonie za kark. Mogło być gorzej. Facet wciąż jest całkiem do rzeczy.

I, co ciekawe, mogło być między nimi nie więcej niż osiem, dziesięć lat różnicy.

Kiedy Bausen zaproponował, by nocował u niego, Van Veeteren odmówił. Wahał się przy tym i nie wykluczał, że może jeszcze zmienić zdanie. Miał przynajmniej nadzieję, że drzwi domu komisarza Bausena będą stały dla niego otworem jeszcze przez jakiś czas. To znaczy, o ile ta sprawa w ogóle dłużej potrwa.

Wynajął za to pokój w hotelu See Warf. Na czwartym piętrze, z balkonem wychodzącym na zachód. Z widokiem na przystań, pomosty i zatokę przechodzącą w otwarte morze. Całkiem niezłe miejsce, musiał przyznać. Bausen wskazał ręką w stronę wody.

– Tam na wprost widać Lange Piirs, latarnię morską. Ale tylko jeśli rano nie ma mgły. W zeszłym roku trafiły nam się tu cztery takie dni. A tam w górze, na skałach, jest Fisherman's Friend, restauracja dla smakoszy. Może któregoś wieczoru się tam wybierzemy, jeśli uda nam się szybko rozprawić z dochodzeniem.

Van Veeteren skinął głową.

– Może czas wziąć się do roboty?

Bausen wzruszył ramionami.

– Jeśli nalegasz. – Spojrzał na zegarek. – O cholera, chyba czekają na nas już od pół godziny!

Komisariat w Kaalbringen mieścił się w piętrowym, narożnym domu przy rynku głównym. Na parterze znajdowało się biuro dla petentów, stołówka, szatnia i kilka cel. Na piętrze – pokój zebrania i cztery gabinety. Oczywiście z racji swojego urzędu Bausen zajmował największy, z biurkiem i regałami z ciemnego dębu, niewielką skórzaną sofą i widokiem na rynek. Inspektorzy Moerk i Kropke mieli mniejsze pokoje wychodzące na podwórko. Natomiast czwarty gabinet dzielili aspiranci Bang i Mooser.



– Pozwólcie, że przedstawię. Komisarz Van Veeteren, który ma dla nas rozwiązać tę sprawę – powiedział Bausen.

Moerk i Kropke wstali.

– To komisarz Bausen ma pociągać za sznurki – wtrącił Van Veeteren. – Wezwano mnie tutaj tylko jako dodatkową siłę roboczą... o ile taka będzie potrzebna.

– Z pewnością – odparł Bausen. – Bo to wszyscy, których mamy. Oczywiście są też i aspiranci, ale na twoim miejscu za bardzo bym na nich nie polegał.

– Inspektor Kropke. – Kropke się wyprostował.

Idiota, pomyślała Beate Moerk i skinęła głową w stronę Van Veeterena.

– Inspektor Moerk to uosobienie wdzięku i intuicji – ciągnął Bausen. – Radziłbym nie oceniać jej zbyt nisko.

– Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy – odparł Van Veeteren.

– To co, zaczynamy? – Bausen zakasał rękawy. – Kawa gotowa?

Beate skinęła głową w stronę tacy stojącej na stoliku w rogu. Kropke jedną dłonią przeczesał jasne, krótko obcięte włosy, a drugą szukał guzika ukrytego pod węzłem krawata. Najwidoczniej to on miał teraz przedstawić sprawozdanie.

Pewnie jest następny w kolejce do stanowiska, pomyślał Van Veeteren. Może Bausen go przyucza...

Szczerze mówiąc, wyglądało na to, że Kropkemu taki trening się przyda.

## 5

– Chyba najpierw należałoby omówić sprawę Eggersa – zaczął Kropke i włączył rzutnik. – Musimy ją streścić komisarzowi Van Veeterenowi, a i nam pewnie pomoże podsumowanie. Przygotowałem kilka slajdów, żeby to ułatwić...

Zerknął szybko najpierw na Bausena, potem na Van Veeterena, wypatrując oznak zrozumienia.

– Świetnie – powiedziała Beate.

Kropke zakasłał.

– Dwudziestego ósmego czerwca, wczesnym rankiem znaleziono zwłoki niejakiego Heinza Eggersa na placu za dworcem kolejowym. Pozbawiono go życia, zadając cios w kark bliżej niezidentyfikowaną siekierą. Ostrze przeszło przez kręgi, tętnicę i całą resztę. Ciało znalazł goniec rozwożący gazety. Było tuż po szóstej, a Eggers nie żył już od czterech, pięciu godzin.

– Kim właściwie był Eggers? – przerwał mu Van Veeteren

Kropke wyświetlił kolejny slajd, na którym Van Veeteren sam mógł przeczytać, że ofiara, gdy nagle przyszło jej dokonać żywota, miała skończone trzydzieści cztery lata. Eggers urodził się w Selstadt, kilka kilometrów od wybrzeża. Tam też był zameldowany, ale od kwietnia tego roku przebywał w Kaalbringen. Nie miał stałego zatrudnienia ani w Kaalbringen, ani w Selstadt, ani nigdzie indziej i niejednokrotnie figurował w kartotekach policyjnych. Na swoim

koncie miał handel narkotykami, pobicie, włamanie, przestępstwa seksualne i oszustwa. Podsumowując, odsiedział około dziesięciu lat w zakładach poprawczych i więzieniach. Pierwszą odsiadkę zaliczył jako szesnastolatek. Lokalne władze nie wiedziały, że przebywał w Kaalbringen. Eggers mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu na Andrejstraat. Należało do jego dobrego znajomego, który akurat odsiadywał niezbyt długi wyrok za gwałt i groźby karalne. W Kaalbringen Eggers chciał się trochę ustatkować, podjąć pracę i krok po kroku zacząć nowe życie, ale widać szczęście mu nie dopisało.

– Skąd mamy te informacje? – zapytał Van Veeteren.

– Z różnych źródeł – odparła Beate. – W większości od dziewczyny.

– Dziewczyny?

– Tak nam się przedstawiła – wtrącił Bausen. – Mieszkała z nim. Ale to nie ona go zabiła, choć nie wydaje mi się, żeby była szczególnie pogrążona w smutku.

– Nikt nie był – stwierdziła Beate.

– Tak czy inaczej, dziewczyna miała alibi – ciągnął Bausen. – Niepodważalne.

– Jak pracowaliście dotychczas? – zapytał Van Veeteren, obracając wykałaczkę.

Kropke spojrzał niepewnie na Bausena, ale ten w odpowiedzi tylko pokiwał zachęcająco głową.

– Przesłuchaliśmy niemal pięćdziesiąt osób – mówił więc dalej Kropke. – Większość z nich była pokroju Eggersa. Jego kumple: złodziejaszki, ćpuny i tym podobni. Nie miał tu zbyt wielu znajomych, bo był w mieście zaledwie od paru miesięcy. Może

z dwunastu to dla nas dość znajome nazwiska, że tak powiem. Takie tam szumowiny, co to przesiadują po parkach, pijąc piwo, podpalają sobie nawzajem domy i sprzedają swoje kobiety na Fisktorget i promenadzie. Do tego dostaliśmy trochę anonimowych zgłoszeń, po których przesłuchaliśmy całe mnóstwo przypadkowych osób.

Van Veeteren pokiwał głową.

– Ilu ludzi mieszka w mieście?

– Około czterdziestu pięciu tysięcy – powiedziała Beate. – Latem parę tysięcy więcej.

– A jak z przestępczością?

– Niska – odparł Bausen. – Od czasu do czasu jakieś włamanie, latem cztery, pięć kradzieży łodzi. Czasami jakieś pobicie i narkotyki... bo rozumiem, że nie pytasz o przestępstwa gospodarcze?

– Nie – odpowiedział Van Veeteren. – Przynajmniej jeszcze nie teraz. No tak, więc jakie macie hipotezy w sprawie tego Eggersa? Dziś chyba nie musimy wchodzić w szczegóły. Wolałbym sam to przeczytać i najwyżej dopytam, jeśli coś będzie niejasne.

Beate zdecydowała się zabrać głos.

– Żadnych. Wiemy tyle co nic. Zanim trafiła się ta sprawa z Simmelem, zaczęliśmy się skłaniać ku temu, że to jakieś przestępcze porachunki. Jeden ćpun z jakiegoś powodu zabija drugiego, jakaś bójka albo kara za długi – coś w tym stylu...

– Nie zabija się kogoś, kto ma u ciebie dług – wtrącił Kropke. – Wtedy nigdy nie odzyska się pieniędzy.

– Wręcz przeciwnie. – Beate westchnęła. Kropke na chwilę zmarszczył czoło.

Proszę, proszę, pomyślał Van Veeteren.

– Kawy? – zapytał retorycznie Bausen i zaczął podawać im kubki.

– Jeśli jest tak, jak mówi inspektor Moerk – powiedział Van Veeteren – to prawdopodobnie sprawca był już u was na przesłuchaniu. Skoro faktycznie tak dokładnie sprawdziliście te... szumowiny.

– Niewykluczone – stwierdził Bausen. – Ale teraz doszedł nam do tego Simmel. A to, jak myślę, zmienia postać rzeczy.

– Oczywiście, że tak – dodała Beate.

Kropke wrzucił kolejny slajd. Zapewne przedstawiał on miejsce, gdzie znaleziono Eggersa. Wyglądało na to, że wrzucono go za kubły ze śmieciami na tyłach jakiejś opustoszałej rudery.

– Czy to tam go zamordowano? – zapytał Van Veeteren.

– Mniej więcej. Sprawca przeciągnął go parę metrów.

– A co on tam robił?

– Nie mamy pojęcia. Prawdopodobnie załatwiał jakieś interesy narkotykowe.

– O której to było?

– Około pierwszej, drugiej w nocy.

– Był naćpany?

– Nieszczególnie.

– A dlaczego na tyłach opustoszałego domu stały kubły ze śmieciami?

Bausen zastanawiał się przez chwilę.

– Nie wiem... nie mam pojęcia.

Van Veeteren skinął głową. Kropke rozlał kawę do kubków, a Beate otworzyła pudełko po brzegi wypełnione drożdżówkami.

– Wspaniałe – powiedział Van Veeteren.

– Z cukierni Sylvie – wyjaśnił Bausen. – Radzę ją odwiedzić. Jeśli powiesz, że jesteś gliną, dostaniesz dwadzieścia procent rabatu. No

i to tuż za rogiem.

Van Veeteren złamał wykałaczkę i wgryzł się w bułkę.

– Niestety – podsumował Kropke. – Jeśli chodzi o Eggersa, to zeszliśmy na manowce.

– A co z bronią? – zapytał Van Veeteren z pełnymi ustami. – Co powiedział lekarz?

– Chwileczkę.

Kropke wyświetlił kolejny slajd ze szkicem przedstawiającym, w jaki sposób ostrze siekiery czy też podobnego narzędzia przebiło kręgi, tętnicę, przełyk i całą resztę.

– Cios był mocny? – zapytał Van Veeteren.

– Niekoniecznie – odpowiedziała Beate. – Wszystko zależy od ostrza, a to było chyba dobrze naostrzone... a do tego cienkie.

– A w takim przypadku nie potrzeba dużo siły – dodał Kropke.

– Ale wygląda na to, że cios zadano pod kątem. Choć to nie musi nic znaczyć. To mógł być ktoś niski albo wysoki. Wszystko zależy od tego, jak trzymał broń. No i oczywiście od tego, jak wyglądała ta siekiera.

– To trochę jak z piłeczką tenisową. Też można ją odbić na wiele różnych sposobów – wyjaśnił jeszcze Kropke.

Van Veeteren sięgnął po kolejną drożdżówkę.

– Ale prawdopodobnie chodzi o siekierę, tak? – zapytał.

– Jakiś rodzaj siekiery – powiedział Bausen. – Może przejdźmy teraz do Simmela. Może inspektor Moerk opowie o sprawie.

Beate odchrząknęła i zaczęła kartkować notatnik.

– No tak, daleko jeszcze nie zaszliśmy. Zatem przedwczoraj rano, około ósmej, ktoś wyszedł pobiegać i znalazł ciało w lasku. Najpierw zobaczył krew na ścieżce, a kiedy się zatrzymał, zauważył leżące obok

zwłoki. Wygląda na to, że sprawca nie zadał sobie zbyt wiele trudu, żeby je ukryć. Mężczyzna, to znaczy ten, który biegał, od razu nas zawiadomił. Ja i komisarz dotarliśmy tam równocześnie. Stwierdziliśmy, że... że to dzieło tego samego sprawcy.

– Cios siekierą od tyłu – powiedział Bausen. – Niewiele brakowało, a głowa by odpadła. Okropny widok.

– To samo narzędzie? – zapytał Van Veeteren.

– Na dziewięćdziesiąt procent tak – odparł Kropke.

– Szkoda, że nie na sto – stwierdził Van Veeteren.

– Możliwe, że to nie jest zwykła siekiera. Prawdopodobnie ostrze jest szersze niż dłuższe. Ma może z piętnaście, dwadzieścia centymetrów. Ani w przypadku Eggersa, ani Simmela żaden róg ostrza nie wbił się w kark. Tak przynajmniej mówi patolog... A Simmel miał naprawdę byczy kark.

– Może maczeta? – zaproponował Van Veeteren.

– Mnie też to przyszło do głowy – powiedział Bausen. – Myślałem, że to może jakiś nóż czy miecz z solidnym ostrzem, ale to ostrze jest równe, a nie wygięte jak w maczecie.

– Aha – odparł Van Veeteren. – Ale może to nie jest teraz najważniejsze. A jaki jest związek pomiędzy Eggersem i Simmelem?

Przy stole zapadła cisza.

– Dobrze pytanie – powiedział Bausen.

– Jak dotąd nie udało nam się niczego znaleźć – dodał Kropke. – Ale oczywiście wciąż szukamy.

– Obaj to podejrzane typy – stwierdził Bausen. – Choć grali w różnych ligach, że tak powiem. Interesy Simmela nie były do końca czyste, ale powinni się nimi zająć raczej ci z urzędu podatkowego, a nie my, zwykli śmiertelnicy. Nigdy nie był w nic bezpośrednio

zamieszany. To znaczy nie tak jak Eggers.

– Przynajmniej na niczym go nie przyłapano – wtrąciła Beate.

– A narkotyki? – zasugerował Van Veeteren. – One zazwyczaj łączą tych bogatszych i tych biedniejszych.

– Nic na to nie wskazuje – odparł Kropke.

Chyba lepiej, żebyście rozwiązali tę sprawę, zanim trzeba będzie zmienić komisarza, pomyślał Van Veeteren.

– A co on robił w tym lasku?

– Wracał do domu – odpowiedziała Beate.

– Skąd?

– Z pubu Pod Niebieskim Okrętem. Siedział tam mniej więcej od wpół do dziewiątej do jedenastej... widziało go wielu świadków. Potem najprawdopodobniej poszedł na spacer po mieście. Ostatnie widziały go dwie kobiety na Fisktorget... plus minus dwadzieścia po jedenastej.

– A jaki czas zgonu podają wyniki sekcji?

– Ostateczne wyniki dostaniemy jutro – powiedział Bausen. – Na razie wygląda na to, że zginął między jedenastą i pierwszą... to znaczy między wpół do dwunastej a pierwszą.

Van Veeteren oparł się o krzesło i zapatrzył się w sufit.

– Mamy więc dwie możliwości... – zawiesił głos.

– No właśnie – podchwyciła Beate. – Albo morderca czyhał przy ścieżce, gotowy zabić tego, kto mu się nawinie, albo szedł za Simmelem od baru.

– Mógł się też na niego natknąć po drodze – stwierdził Kropke. – Przez przypadek.

– I co, przez przypadek miał ze sobą siekierę? – zapytała Beate.

Nieźle, pomyślał Van Veeteren. Ciekawe, czy Bausenowi przyszło



do głowy, żeby na swojego następcę mianować kobietę? Choć to oczywiście nie jego sprawa.

## 6

Czworo dziennikarzy czekało w biurze na dole, ale Bausen zręcznie ich spławił.

– Konferencja prasowa będzie jutro o jedenastej. Przedtem nie powiem państwu ani słowa!

Bausen zaprosił Van Veeterena na niezbyt wyszukaną kolację i zaproponował, że podwiezie go do hotelu, ale Van Veeteren podziękował.

– Muszę się przejść. No i chcę kupić kilka gazet.

Bausen pokiwał głową.

– Gdybyś zmienił zdanie, tu masz mój numer. I tak cały wieczór będę siedział w domu.

Podał Van Veeterenowi wizytówkę, którą ten wetknął do kieszonki. Potem Bausen wsiadł do powgniatanej tu i ówdzie toyoty i odjechał. Van Veeteren rozejrzał się wokół.

W porządku facet, pomyślał. Ciekawe, czy gra w szachy?

Spojrzał na zegarek. Wpół do szóstej. Parę godzin pracy, a potem – kolacja... Niezły plan na zabicie czasu. Zabijanie czasu było zresztą jedyną umiejętnością, którą naprawdę udało mu się wyćwiczyć przez lata.

No, zapewne zdolność do łapania przestępców również.

Chwycił neser i ruszył w stronę przystani. Czternaście kaset i trzy teczki.

Tyle materiałów zebrano w sprawie Eggersa. Rozłożył je na łóżku i na chwilę się zawahał. Zadzwoił do recepcji i zamówił piwo. Wziął teczkę pod ramię i wyszedł na balkon.

Parę minut zajęło mu ustawianie parasola, który miał go ochronić przed wieczornym słońcem. Ale udało się, a potem, kiedy dziewczyna z obsługi przyniosła piwo, rozsiadł się i nie wstał, dopóki nie przeczytał każdego słowa z raportu.

Wniosek, do jakiego doszedł po lekturze, był prosty i chyba najlepiej dał się wyrazić słowami inspektor Moerk.

Wiedzieli tyle co nic.

Bynajmniej nie miał ochoty na odtwarzanie kaset z przesłuchań. W zwykłych okolicznościach, gdyby był u siebie, oczywiście dopilnowałby, żeby dostarczono mu zapis nagrań, ale tutaj nie pozostawało mu nic innego, jak grzecznie zabrać się do roboty i założyć słuchawki. Postanowił jednak odłożyć to zadanie na noc albo na jutrzejszy ranek. Tymczasem zabrał się do kolejnej zbrodni i zaczął przeglądać jej opisy w prasie. Zdobył cztery gazety: dwie ogólnokrajowe i dwa egzemplarze lokalnego dziennika, jeden wczorajszy, drugi dzisiejszy.

W ogólnokrajowych nagłówki były spore, ale towarzyszyło im niewiele tekstu. Pewnie nie zdążyli przysłać na miejsce żadnego reportera... ale chyba jacyś pojawią się przed konferencją prasową. Prowadzący dochodzenie komisarz Bausen wprawdzie udzielił wypowiedzi, ale nie chciał zdradzić nic ponadto, że policja bada wiele różnych wątków.

Jasne, pomyślał Van Veeteren.

Lokalny dziennik, „de Journaal”, zawierał obszerniejsze doniesienia. Zamieszczono w nim zarówno zdjęcie Bausena, miejsca

znalezienia zwłok, jak i ofiary... rzecz jasna, za życia. Była też podobizna Eggersa. Nagłówek na pierwszej stronie brzmiał następująco: „Rzeźnik uderza ponownie. Na miasto padł strach”. Na dalszych stronach stawiano pytania: „Kto będzie następną ofiarą?”, „Czy władze policyjne są wystarczająco kompetentne?”.

Van Veeteren przejrzał artykuły i przeczytał nekrolog Ernsta Simmela – kilka linijek o synu miasta, honorowym obywatelu i, jak wynikało z tekstu, członku klubu Rotary, przewodniczącym zarządu klubu piłki nożnej, przedstawicielu komisji bankowej, który wcześniej, jeszcze przed wyjazdem do Hiszpanii, także sprawował wiele funkcji i który dopiero co powrócił do Kaalbringen, a teraz został zamordowany.

O zmarłych... pomyślał Van Veeteren, rzucając gazetę na podłogę. Cholera, co ja mam tu do roboty?

Ściągnął koszulę i wszedł do łazienki. Jak się nazywał ten bar? Pod Niebieskim Okrętem?

Przypuszczenia, że prasa ogólnokrajowa zjedzie do miasta, okazały się słuszne. Kiedy przechodził przez hotelowy hol, dwóch facetów w średnim wieku oderwało się od baru i ruszyło w jego stronę. Ich facha można było od razu rozpoznać po wyglądzie. Van Veeteren przystanął z westchnięciem.

– Komisarzu Van Veeteren! Cruickshank z „Telegraaf”!

– Müller z „Allgemeine”! – wciął się drugi. – Chyba już kiedyś mieliśmy okazję...

– Nazywam się Rölling – odparł Van Veeteren. – Sprzedaję zegary stojące, to na pewno jakaś pomyłka.

– Ha, ha – odpowiedział Müller.

– Kiedy będziemy mogli przeprowadzić wywiad? – zapytał Cruickshank.

– Konferencja prasowa jest jutro o jedenastej w komisariacie. – Van Veeteren otworzył drzwi.

– To pan czy komisarz Bausen prowadzi oba dochodzenia? – zapytał Müller.

– Jakie dochodzenia? – odpowiedział mu pytaniem Van Veeteren.

W wystroju knajpy Pod Niebieskim Okrętem dominowała czerwień. Bar był wypełniony tylko w połowie, a i w części restauracyjnej zostało sporo wolnych miejsc. Van Veeteren zajął stolik w głębi lokalu, nieco na uboczu, ale zanim zdążył zabrać się do obiadu, stanął przed nim jakiś szczupły facet z błyskiem w oku i nerwowym uśmiechem na ustach.

– Przepraszam. Nazywam się Schalke, jestem z „de Journaal”. Pan zapewne jest tym przyjezdnym komisarzem?

Van Veeteren nie odpowiedział.

– Byłem ostatnią osobą, która z nim rozmawiała... Oczywiście Bausen i Kropke już mnie przesłuchiwali, ale gdyby i pan chciał ze mną porozmawiać, jestem do dyspozycji.

Rzucił pytające spojrzenie w stronę pustego miejsca naprzeciwko Van Veeterena.

– Może spotkajmy się za chwilę przy barze? – zaproponował Van Veeteren. Schalke przytaknął i wycofał się. Van Veeteren bez przekonania zabrał się do dania, które kryło się pod tajemniczą nazwą „Specjalność zakładu z grzybami i mozzarellą”. Kiedy już skończył i zapłacił, wciąż nie wiedział, co tak naprawdę zjadł.

– Siedział tu, gdzie teraz pan komisarz – powiedział Schalke. – Żywy jak ja i pan. Jedno jest pewne, nie miał pojęcia, że tego wieczoru rozłupią mu kark... zachowywał się tak jak zwykle.

– Czyli jak? – zapytał Van Veeteren, spijając pianę z piwa.

– Jak? No... szczerze mówiąc, był trochę wyniosły i nie słuchał, co się do niego mówi. Trudno się z nim rozmawiało, zawsze taki był. Jakby myślami wędrował gdzie indziej...

Dlaczego mnie to nie dziwi, pomyślał Van Veeteren.

– Chyba próbował flirtować z jedną babką, która siedziała tam dalej...

Wskazał palcem w głąb sali.

– Flirtować?

– Może to za dużo powiedziane... po prostu się na nią gapił.

Van Veeteren skinął głową.

– Chce pan powiedzieć, że Ernst Simmel uganiał się za kobietami?

Schalke się zawahał. Ale tylko na sekundę.

– Nie, niezupełnie. Nie wydaje mi się. Nie znałem go zbyt dobrze, przecież przez parę lat nie było go w kraju. Cóż, zapewne z raz czy dwa go poniosło, ale nigdy nie było to nic poważnego.

– Ale domyślam się, że jego małżeństwo też nie jest już niczym poważnym.

– No nie, oczywiście można to ująć i tak.

– Czyli wyszedł stąd około jedenastej?

– Parę minut po jedenastej.

– W którą stronę poszedł?

– O tam. – Schalke wskazał ręką. – W stronę rynku i przystani.

– A do jego domu nie idzie się czasem w przeciwnym kierunku?

– Można iść, którądy się chce. Trasa przez przystań jest tylko

trochę dłuższa.

– Czy ktoś za nim szedł?

– Nie.

– A dlaczego wybrał tę dłuższą trasę, jak pan sądzi?

– Nie wiem. Może chodziło o panienki.

– O dziwki?

– Tak, mamy ich w mieście kilka. Zazwyczaj stoją w okolicach przystani.

– Zauważył pan, czy ktoś wyszedł z baru tuż po nim?

– Nie... Zastanawiałem się nad tym, ale nie wydaje mi się, żeby ktoś wychodził.

Van Veeteren westchnął.

– A jakie pytanie by pan zadał, gdyby był pan mną?

Schalke zastanawiał się przez chwilę.

– Cholera! Pojęcia nie mam.

– Ma pan jakieś hipotezy?

Schalke znów się zamyślił. Było widać, że chętnie przedstawiłby jakąś śmiałą teorię, ale po chwili się poddał.

– Nie, nic mi nie przychodzi do głowy. To musiał być jakiś szaleniec... może ktoś uciekł z wariatkowa?

Z wariatkowa? – pomyślał Van Veeteren. Nieźle dobrane wyrażenie jak na człowieka pióra, trzeba mu to przyznać.

– Bausen już to sprawdził – powiedział. – Uciekła im tylko jedna osoba: niemająca kontaktu z rzeczywistością dziewięćdziesięciolatka. Na wózku. I z alzheimerem...

– No to raczej nie ona – odparł Schalke. Van Veeteren wlał w siebie resztkę piwa i postanowił wrócić do hotelu. Zsunął się z barowego stołka i podziękował za pomoc.

– A tak na marginesie, zawsze jest tu tak mało ludzi? – zapytał.

– A skąd! Normalnie knajpa jest pełna. W końcu dziś piątek... ale ludzie po prostu się boją. Nie mają odwagi wyjść z domu!

Boją się? – pomyślał Van Veeteren, kiedy już wyszedł na zewnątrz. No tak, to całkiem naturalne.

Na miasto padł strach.

Przejście od baru Pod Niebieskim Okrętem przez przystań do See Warf zajęło mu zaledwie dziesięć minut. Po ulicach jeździło trochę samochodów, ale pieszych widział może z tuzin, wszyscy chodzili grupkami. Nieliczne otwarte bary i kafejki też świeciły pustkami. W kinie Palladium trwał właśnie wieczorny seans, ale Van Veeteren przypuszczał, że i na sali nikogo nie ma. Nawet jeśli zazwyczaj Kaalbringen nie mogło się pochwalić bogatym życiem nocnym, to teraz dawało się to odczuć jeszcze mocniej.

Morderca... Rzeźnik... Szaleniec z siekierą... To wstrząsnęło wszystkimi.

Ciekawe. Przed hotelem przystanął na chwilę i zastanawiał się, czy nie zrobić jeszcze rundki po lasku, ale dał sobie spokój. Na pewno lepiej będzie rozejrzeć się tam za dnia.

Zresztą rano miał całkiem sporo do zrobienia, ale kiedy rozłożył się w łóżku i włączył magnetofon, wciąż słyszał słowa inspektor Moerk.

Nic. Wiemy tyle co nic!

Swoją drogą, ładna z niej kobieta, pomyślał. Szkoda tylko, że nie jestem jakieś ćwierć wieku młodszy.

W połowie drugiego przesłuchania zasnął twardym snem.



## 7

We śnie znów prześladowały go obrazy z przeszłości. Te, co zawsze. I te same bezsilność i zwątpienie, ten sam czysty, rozgrzany do czerwoności gniew – Bitte w rogu kanapy z rękoma rozrzuconymi na boki i oczami jak ciemne, puste studnie. I ten chudy jak szczapa alfons z kruczoczarnymi strąkami, który się do niego szyderczo szczyrzy. Rozkłada ręce i kręci głową... i ten drugi, nagi. Jej twarz nad jego barkami. Spocone, owłosione plecy, masywne uda, które poruszają się gwałtownie i przyciskają ją do ściany. Jej rozkraczone nogi i oczy odbijające jego własne, widzące to, co widział... choć tylko przez sekundę, zanim nie obrócił się na pięcie i nie wyszedł.

Te same obrazy i prześwitujący przez nie widok biegnącej do niego, roześmianej dziesięciolatki z płowymi warkoczami. Z szeroko otwartymi ramionami i błyskiem w oku. Bitte...

Obudził się. Jak zwykle zlany zimnym potem. Minęło kilka sekund, zanim oprzytomniał i się opanował... broń... ten błogi świst, gdy przecina powietrze, i ten głuchy odgłos, gdy wbija się w kark. Martwe ciała i bulgocząca krew...

Krew.

Gdyby tylko zechciała spłukać te obrazy, które miał w pamięci.

Zalać je, zamazać, zakryć. Tak, by nie dało się ich rozpoznać. Dokonać rozrachunku i wszystko wyzerować. Ale przecież i tak nie tylko to go prześladowało. Nie chodziło o same obrazy, ale o ich

treść. Stojącą za nimi rzeczywistość. Rzeczywistość.

O jej, a nie jego zemstę. Jej, tej dziesięciolatki, która biegła przed siebie, ale która nagle znieruchomiła w połowie życia. Którą zatrzymano w pół kroku, równie nagle i nieubłaganie jak na zdjęciach. To o nią chodziło. O nikogo innego, tylko o nią.

Po omacku poszukał papierosów. Nie chciał zapalać światła. Ciemność stanowiła właściwe otoczenie, nie chciał teraz nic widzieć... zapalił papierosa zapalką i zaciągnął się głęboko i zdecydowanie. I znów poczuł to ciepło... to narastające uczucie, falę, która rozlewała się po ciele, dochodząc aż do głowy i wywołując uśmiech. Kolejny raz pomyślał o swojej broni. Mimo ciemności miał ją przed oczami. Nagle poczuł uniesienie godne Makbeta. Zaczął się zastanawiać, jak długo musi jeszcze czekać. Kiedy nadejdzie pora, by broń przemówiła ponownie?

## 8

W jasnym świetle poranka, orzeźwione wiatrem znad morza, Kaalbringen chyba zapomniało, że padł na nie strach. Jedząc późne śniadanie na balkonie, Van Veeteren przyglądał się ludziom kręcącym się po rynku Fisktorget. Najwidoczniej na pokrytych kolorowymi markizami stoiskach sprzedawano nie tylko frykasy z morskich głębin, ale też z całego świata. Sobota była dniem targowym, słońce świeciło, a życie toczyło się dalej.

Zegar na niskim, zbudowanym z wapienia kościele wybił dziesiątą. Van Veeteren zorientował się, że spał prawie jedenaście godzin.

Jedenaście? Czyżby to oznaczało, pomyślał, że aby wreszcie porządnie przespać noc, potrzebował dochodzenia w sprawie zabójstwa? Odłupał górną część skorupki jajka i zaczął się zastanawiać. Brzmiało to absurdalnie. I cóż to za zdradliwe uczucie towarzyszyło mu tego spokojnego poranka? Zauważył je, już biorąc prysznic. Starał się z niego otrząsnąć, ale na świeżym, przesyconym zapachem soli powietrzu wróciło ze zdwojoną siłą. Tkało ezoteryczne szaty, które opatulały duszę, przynosząc ulgę, szeptało mu do ucha pełne pokusy słowa...

Podpowiadało, że wcale nie musi się wysilać.

Że rozwiązanie sprawy samo do niego przyjdzie. Pojawi się w wyniku różnych zbiegów okoliczności. Niczym dar od losu... istne *deus ex machina!*

Pobożne życzenia, pomyślał Van Veeteren. Do diabła z nimi!

Ale mimo wszystko myśl go nie opuszczała.

W holu czekali na niego Cruickshank i Müller. Towarzyszył im fotograf, młody koleś z brodą, który zaświecił Van Veeterenowi lampą błyskową prosto w twarz, kiedy ten tylko wyszedł z windy.

– Dzień dobry, komisarzu – przywitał go Müller.

– Ano, chyba dobry – odparł Van Veeteren.

– Czy możemy prosić o chwilę rozmowy po konferencji? – zapytał Cruickshank.

– Jeśli napiszecie to, co powiem. Jak zmienicie choćby jedno słówko, będziecie zawieszeni w obowiązkach na dwa lata!

– Oczywiście – uśmiechnął się Müller. – Słowem, te same warunki gry, co zawsze.

– Będę w cukierni Sylvie między dwunastą a wpół do pierwszej – powiedział Van Veeteren i położył klucz na wyciągniętej już do niego dłoni recepcjonisty.

– A gdzie to? – zapytał fotograf, robiąc kolejne zdjęcie.

– Sami musicie znaleźć – odparł Van Veeteren.

Komisarz Bausen ustawiał zebranych dziennikarzy, jak chciał, wykazując przy tym swój niekwestionowany autorytet. Najpierw czekał kilka minut, aż wreszcie w wypełnionej po brzegi sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wtedy zabrał głos, ale kiedy tylko ktoś zakasłał lub chrząknął, Bausen milkł, wzrokiem mroząc winnego. Jeśli ktoś ośmielił się mu przeszkodzić, udzielał ostrzeżenia, informując, że jeszcze jedno takie zachowanie, a Mooser i Kropke wyprowadzą delikwenta z sali. A gdy będzie trzeba, on sam może kogoś wyrzucić.

Na pytania, które mimo wszystko dziennikarze odważyli się zadać,

odpowiadał spokojnie i metodycznie, okazując przy tym dokładnie tyle wyższości, ile trzeba było, by obnażyć i poskromić wysoce wątpliwą inteligencję pytającego. Jeżeli w ogóle można tu było mówić o inteligencji.

Facet powinien być zostać aktorem, pomyślał Van Veeteren.

– Jak pan myśli, kiedy sprawca trafi za kratki? – zapytał czerwono nosy reporter lokalnej rozgłośni radiowej.

– Jakies dziesięć minut po tym, jak go znajdziemy – odpowiedział Bausen.

– Czy macie jakieś hipotezy, nad którymi pracujecie? – chciał wiedzieć redaktor Malevic z „de Journaal”.

– A jak inaczej mielibyśmy działać? Policja to nie redakcja.

– Kto właściwie prowadzi dochodzenie? – zapytał przedstawiciel „Neuwe Blatts”. – Pan czy komisarz Van Veeteren?

– A jak pan myśli? – odpowiedział pytaniem Van Veeteren, wpatrując się w mocno już pogryzioną wykałaczkę. Na inne pytania nie odpowiadał. Te kierowane do niego skinieniem głowy przekazywał Bausenowi. Nawet jeśli ten śmiał się w duchu, nie dał po sobie nic poznać.

Po dwudziestu minutach pytania się wyczerpały i Bausen przeszedł do wydawania poleceń.

– Chcę, by wszystkie gazety i rozgłosnie zaapelowały do tych, którzy w czwartek wieczorem, mniej więcej między jedenastą a północą, byli na mieście – a chodzi tu o odcinek od baru Pod Niebieskim Okrętem, przez Hoistraat, schody prowadzące na Fisktorget, promenadę, aż do lasu – by od jutra zgłaszali się na policję! Wyznaczymy dwie osoby do odbierania zgłoszeń i nie okazemy pobłażliwości nikomu, kto zignoruje apel. Proszę nie

zapominać, że mamy do czynienia z wyjątkowo groźnym przestępcą.

– Ale czy nie zgłoszą się do was całe tabuny? – zapytał ktoś.

– Kiedy ściga się zabójcę, pani Meuhlich – odparł Bausen – trzeba się liczyć z drobnymi niedogodnościami.

– I co pan komisarz o tym sądzi? – zapytał Cruickshank. – Tak w cztery oczy?

– Chyba w osiem, jeśli dobrze liczę – odparł Van Veeteren. – Nic nie sądzę.

– Bausen chyba nie lubi, jak ktoś mu się wtrąca do roboty – powiedział Müller. – Myśli pan, że współpraca będzie wam się dobrze układała?

– Tego akurat możecie być pewni – odpowiedział Van Veeteren.

– Macie jakiś trop, którym można by pójść?

– Tak, napiszcie, że mamy.

– Ale nie macie żadnego?

– Ja nic takiego nie powiedziałem.

– Kiedy ostatnim razem trafiła się panu niewyjaśniona sprawa?

– Sześć lat temu.

– I co to była za historia? – spytał zaciekawiony fotograf.

– Sprawa G... – Van Veeteren przestał gryźć wykałaczkę i spojrzał za okno.

– Ach, ta – powiedział Cruickshank. – Pisałem o niej.

Jakieś dwie dziewczyny podeszły do nich i chyba miały zamiar się przysiąc, ale Müller je spławił.

– Lepiej usiądźcie tam w rogu. Tu cuchnie jak cholera!

– No więc – wrócił do rozmowy Cruickshank – czy mamy do czynienia z szaleńcem, czy to zaplanowane zbrodnie?

– A kto powiedział, że szaleńcy nie planują? – zapytał Van Veeteren.

– Czy coś łączyło ofiary?

– Tak.

– Co?

– ...

– Skąd wiecie?

– Poproszę drożdżówkę!

– Czy przyjedzie jeszcze ktoś z komendy głównej?

– Jeśli będzie trzeba.

– Czy już kiedyś miał pan do czynienia z zabójcą używającym siekiery? – fotograf podjął kolejną próbę.

– Znam sporo morderców – odparł Van Veeteren. – A każdy głupi wie, jak działa siekiera... A swoją drogą, jak długo wasze gazety mogą się bez was obyć i trzymać was w Kaalbringen? Pół roku?

– Ha, ha – odpowiedział Müller. – Pewnie parę dni, o ile oczywiście nic się już nie wydarzy...

– Na pewno nie w najbliższym czasie.

– A skąd pan wie?

– Dzięki za kawę. – Van Veeteren wstał. – Obawiam się, że muszę już was opuścić. Nie siedźcie za długo po nocy i nie piszcie głupot!

– Czy my kiedykolwiek pisaliśmy głupoty? – zapytał Cruickshank.

– Co my tu, do cholery, robimy? – rzucił fotograf, kiedy już zostali sami.

Co ja tu, do cholery, robię, pomyślał Van Veeteren, siadając na miejscu pasażera obok Bausena.

– To niezbyt miły widok – powiedział Bausen. – Chyba zostanę tutaj

i przemyśle plan.

Van Veeteren poszedł za kulejącym patologiemi.

– Meuritz – przedstawił mu się, kiedy już weszli na salę. – Nazywam się Meuritz. Na co dzień pracuję w Oostwerdingen, ale jeden dzień w tygodniu spędzam tutaj... teraz trochę więcej niż jeden.

Wysunął nosze z chłodni i zamaszystym ruchem zsunął prześcieradło. Van Veeterenowi przypomniały się słowa Reinharta:

Jest tylko jeden prawdziwy zawód na świecie. Matador. Reszta to tylko nieudane surogaty.

Bez wątpienia Bausen miał rację. Nawet jeśli Ernst Simmel nie był przystojniaczkiem za życia, to Rzeźnik i Meuritz tym bardziej go nie upiększyli. Teraz Simmel leżał na brzuchu i z jakiegoś powodu, którego Van Veeteren nie rozumiał, ale który miał zapewne znaczenie dydaktyczne, Meuritz obrócił mu głowę o dziewięćdziesiąt stopni w stosunku do szyi, tak że przecięcie widać było jak na dłoni.

– Ładnie zadany cios, nie da się zaprzeczyć – powiedział, wskazując ranę cienkopisem.

– Ładnie? – zapytał Van Veeteren.

– Proszę spojrzeć!

Meuritz wyciągnął przed siebie kliszę rentgenowską.

– To Eggers... Proszę zwrócić uwagę na kąt uderzenia! Zaledwie parę stopni różnicy. Zresztą oba ciosy były równie głębokie.

Van Veeteren wpatrywał się w zdjęcie białych, zmasakrowanych kręgów uchwyconych na czarnym tle.

– ... cios poszedł skosem w górę, z prawej strony.

– Czyli jest praworęczny? – zapytał Van Veeteren.

– Możliwe. Albo to leworęczny badmintonista, który umie zrobić



forhend po stronie bekhendu, jeśli wie pan, o co mi chodzi...

– Gram trzy razy w tygodniu.

Kto to całkiem niedawno mówił coś o piłeczkach tenisowych?

Meuritz skinął głową i założył okulary.

– Czy to ta sama broń? – zapytał Van Veeteren. – I czy mógłby pan zabrać ten cienkopis z jego krtani?

Meuritz wytarł cienkopis w fartuch i schował do kieszonki.

– Absolutnie! – odparł. – Pokuszę się nawet o stwierdzenie, że wiem, jak wygląda. To siekiera z bardzo ostrym ostrzem, bez wątplenia specjalnie naostrzona. Długa na sześć centymetrów i dość szeroka. Może na piętnaście centymetrów albo i więcej.

– Skąd pan wie?

– W obu przypadkach wbiła się dokładnie tak samo, potem wyciągnięto ją, trzymając za trzonek. Gdyby ostrze było dłuższe, głowa na pewno by odpadła. Widział pan narzędzie, którego rzeźnicy używają, żeby rozłupać udziec?

Van Veeteren pokiwał głową. Zaczynał żałować, że w eleganckiej cukierni Sylvie zjadł wcześniej trzy drożdżówki.

– A czas zgonu?

– Między wpół do dwunastej a wpół do pierwszej, mniej więcej.

– Może pan określić dokładniej?

– Bliżej wpół do dwunastej. Gdyby pan naciskał, powiedziałbym jedenasta czterdzieści.

– Czy trafił się panu kiedyś podobny przypadek? – zapytał Van Veeteren, wskazując na sine zwłoki.

– Nie. Człowiek się uczy przez całe życie.

Mimo że minęły już trzy i pół doby, odkąd znaleziono ciało Ernsta

Simmela i niemal cztery, odkąd go zamordowano, miejsce zbrodni wciąż nie traciło nic ze swej atrakcyjności. Policjanci oddzielili je biało-czerwoną taśmą i tablicami informacyjnymi, ale wokół ciągle płynął cienki strumień ciekawskich, niewielka strużka mieszkańców Kaalbringen, którzy nie chcieli przegapić okazji zobaczenia białych znaczników policyjnych poutykanych wśród zarośli i ciemniejącej plamy krwi na ścieżce.

To aspiranta Banga wyznaczono do zaprowadzenia porządku i utrzymania na dystans najbardziej ciekawskich. Swoje zadanie wykonywał na tyle dokładnie i godnie, na ile pozwalała mu jego studwudziestokilogramowa ziemską powłoka. Jeśli tylko pojawiały się dwie osoby naraz, interweniował.

– No już, proszę się rozejść. Raz, raz!

Van Veeterenowi przypominało to bardziej nadzór ruchu drogowego, ale jego wrażenia były tu raczej nieistotne.

– Może przegoń stąd ludzi, żebyśmy z komisarzem mogli się rozejrzeć w spokoju – powiedział Bausen.

– Rozejść się! – wrzasnął Bang tak, że chmara kawek i gołębi czym prędzej wzbiła się w powietrze. – Natychmiast! Policja bada miejsce zbrodni!

– Możesz przejść się na kawę – powiedział Bausen, kiedy już byli sami. – Zostaniemy tu jakieś pół godziny... a potem pewnie ściągniemy taśmy. Będziesz mógł zabrać sprzęt z powrotem na komisariat.

– Zrobi się! – zasalutował Bang. Wdrapał się na specjalnie wzmocniony służbowy rower i ruszył w stronę promenady i położonej na przystani kawiarni.

– No. – Bausen wsadził ręce do kieszeni. – To właśnie był aspirant

Bang.

Van Veeteren rozejrzał się wokół.

– Hm – powiedział.

Bausen wyciągnął paczkę papierosów.

– Chcesz jednego?

– Nie – odparł Van Veeteren. – Ale i tak wezmę. Możemy zrobić mały eksperyment?

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – odparł Bausen i zapalił dwa papierosy. Jednego podał Van Veeterenowi. – To co mam zrobić?

– Przejdziemy się dwadzieścia, trzydzieści metrów ścieżką. A potem zawrócimy i ty będziesz szedł za mną. Zobaczymy, czy cię usłyszę.

– Dobra – powiedział Bausen. – Ale już to sprawdzałem. Ścieżka jest wydeptana jak cholera. Niczego nie usłyszysz.

Przeprowadzili próbę i słowa Bausena potwierdziły się w stu procentach. Dochodzący z oddali szum morza i wiatr wiejący wśród drzew skutecznie tłumiły wszelkie inne odgłosy. Tak więc Bausenowi udało się położyć rękę na ramieniu Van Veeterena, zanim ten zdążył cokolwiek zauważyć.

– A wtedy było jeszcze ciemno – zauważył Bausen.

Van Veeteren pokiwał głową.

– I dokładnie przeszukaliście teren? – zapytał.

– To znaczy miejsce zbrodni? Tak, mogę przysiąc, że dokładnie. Przeczesał tu każde źdźbło. Ani śladu! Tylko krew. Gleba jest sucha. Nie padało od trzech tygodni. A jak nie ma miękkiej gleby, nie ma odcisków. Cóż, nie sadzę, żebyśmy mogli polegać na podobnych tropach. Wygląda na to, że sprawca wytarł broń na miejscu, i to wszystko, co mamy.

– A jak było w przypadku Eggersa?

– Tak samo. Zainteresował nas pet, ale okazał się o dwa dni za stary... a parę osób pracowało nad nim przez tydzień.

– A czy Meuritzowi pomagają jacyś technicy? – zapytał Van Veeteren.

– Czwororo. Choć, jak sędzę, nie dlatego, żeby była taka potrzeba. To cholernie zdolny gość, choć czasami trochę trudno się z nim współpracuje.

VanVeeteren schylił się i zaczął oglądać plamę na trawie.

– Znasz historię Heliogabala? – zapytał.

– Tego od krwi na trawie?

– Tak. Był cesarzem rzymskim od 218 do 222 roku. Zabijał ludzi, bo lubił podziwiać czerwień na zielonym tle. Bezkompromisowy esteta, bez dwóch zdań. Chociaż krew nie najlepiej utrzymuje kolor.

– Nie – odparł Bausen. – I mało prawdopodobne, żeby to było motywem tej zbrodni. W środę w nocy musiało tu być ciemno jak diabli. Dwie sąsiadujące ze sobą latarnie są zepsute.

– Hm. To skreślamy wątek Heliogabala. Zawsze to miło móc wyeliminować jakieś nazwisko z listy...

Od strony Rikkenhålet nadeszło kilkoro detektywów amatorów. Bang musiał chyba zagrozić teren także od strony przystani, bo aż przez dziesięć minut nikt im nie przeszkadzał. Bausen spojrzął na zegarek.

– Wpół do piątej – powiedział. – Mam w lodówce barani stek. Wystarczy tylko podgrzać... Co ty na to?

Van Veeteren się zawahał.

– Jeśli najpierw dasz mi parę godzin w hotelu, to tak.

– Jasna sprawa. To zapraszam do mnie około siódmej. Mam

nadzieję, że uda się nam posiedzieć na dworze.

## 9

Beate Moerk wsunęła się do wanny i zgasiła światło. Kiedy już zanurzyła się w ciepłej wodzie, wyobraziła sobie, że leży w łonie matki. Ta myśl często do niej wracała i zapewne musiała coś znaczyć.

Beate przesunęła dłońmi po talii i po biodrach i stwierdziła, że trzyma wagę. Pięćdziesiąt siedem i pół. Przebiegła właśnie osiem kilometrów, z czego ostatnie dwa naprawdę szybko. Oczywiście są tacy, którzy twierdzą, że tłuszcz spala się najlepiej, gdy się ćwiczy na sześćdziesiąt procent wydajności, ale przecież, do cholery, na pewno straci się parę gramów więcej, jeśli człowiek da z siebie wszystko?

Ale dość już tej próżności. Oparła głowę o brzeg wanny i pozwoliła, by zmęczenie doszło do głosu i rozlało się po ciele. Mam trzydzieści jeden lat, pomyślała. Jestem trzydziestojednoletnią gliną. Bez męża. Bez dzieci. Bez rodziny, domu i łodzi...

Ta myśl też często ją nachodziła. Na domu i łodzi niespecjalnie jej zależało. Bez faceta też mogła się obejść, przynajmniej przez jakiś czas. Ale dzieci – z tym było gorzej. Dużo gorzej.

To była poważniejsza sprawa. Ale kto wie, może ta myśl miała odciągnąć jej uwagę od wyobrażania sobie, że leży w łonie? Spośród jej siedmiu czy ośmiu najbliższych przyjaciółek, które znała od liceum, pięciu czy sześciu potomstwa bynajmniej nie brakowało. Facetów i łodzi zresztą też nie. Dzięki Bogu przynajmniej wyprowadziła się z Friesen. Naturalnie to był jeden z warunków...

inaczej gdyby miała wszystko tuż obok, na pewno by uległa. Gdyby musiała z nimi przebywać cały czas, jej oparte na samodzielności i wolności życie skurczyłoby się i zwinęło jak... jak zużyta prezerwatywa. Rodzice, grzechy dzieciństwa i błędy młodości znaczyłyby ją niczym zdradzająca kasta kropka na czole. Niczym wielka, przyklepiona na stałe etykieta z opisem towaru! O nie, nigdy w życiu, pomyślała.

A jednak. Prędzej czy później będzie musiała urodzić dziecko, prędzej czy później będzie musiała zaangażować się w związek. Była tego świadoma. Wiedziała to już od kilku lat, ale w każde przypadające na początku stycznia urodziny dawała sobie jeszcze rok. Dwunastomiesięczne odroczenie – tak właśnie o tym myślała. Jeszcze tylko jedno okrażenie biologicznego zegara. Był to całkiem niegłupi prezent urodzinowy, który jeszcze raz – przynajmniej jeden – wpisała na listę życzeń.

Namydliła się porządnie i postanowiła pomyśleć o czymś innym. To absolutnie nie jest czas na myślenie o mężu i dzieciach... a zresztą jeśli prawdą jest, że tylko policjanci żenią się z policjantkami, to wybór był ograniczony. Bang, Mooser i Kropke... wspaniale! Zaczęła mydlić piersi, wciąż jeszcze jędrne i sprężyste. To też przypomniało jej, że nadejdzie dzień, kiedy nie będzie zadowolona ze swoich piersi, ba, z całego ciała. No ale tę traumę przechodzą wszystkie kobiety. Nieunikniony etap życia – tak trzeba do tego podejść i pogodzić się z tym... A gwoli ścisłości, Kropke i Mooser byli już żonaci. Dzięki Bogu.

Ale to nie o żadnym z nich chciała dziś rozmyślać. Bo i po co? Najbliższe godziny zamierzała poświęcić nie im i nie żadnemu policjantowi. Wręcz przeciwnie. Bo był przecież ktoś inny...

Rzeźnik. On i tylko on.

To jego pragnę.

Rozbawiła ją ta myśl. Uśmiechnęła się i zapaliła światło tak gwałtownie, że aż sama się zdziwiła.

Telefon zadzwonił sekundę po tym, jak zasiadła do biurka. Usadowiła się właśnie przy nim z filiżanką rosyjskiej herbaty. Lampka rzucała niewielki snop światła, oświetlając jedynie notatniki.

Oczywiście dzwoniła mama. No trudno, lepiej mieć tę rozmowę z głowy już teraz. Inaczej mama przerwałaby jej później.

Czy przyjedzie do domu na niedzielę? O to właśnie chciała zapytać. Tata by się tak ucieszył. Cały tydzień był w podłym nastroju i lekarze powiedzieli... ach tak, o tym mogą porozmawiać przy następnej okazji. Co teraz robi Beate? Pracuje?! Doprawdy to absurd, że angażuje się w tę okropną historię, przecież to chyba robota dla mężczyzn? Czy naprawdę nie mają tam żadnego chłopca? Co to za miejsce?

Beate zakończyła rozmowę po dziesięciu minutach. Wyrzuty sumienia dokuczały jej niczym ćmiący ból zęba. Wyjrzała przez okno. Przez moment oglądała ostatnie chwile zachodu słońca, które swym symbolicznym światłem pokryło całe niebo. W końcu postanowiła, że w niedzielę wieczorem pojedzie do nich na parę godzin. Może zostanie na noc i wróci pierwszym pociągami... tak, chyba nie ma innego wyjścia.

Wyciągnęła kabel od telefonu z gniazdka. Tak na wszelki wypadek. Może i Janosowi przyjdzie do głowy zadzwonić, a nie miała zamiaru poświęcać kolejnego wieczoru na wyrzuty sumienia. Przynajmniej nie na razie.

Rzeźnik.



Ułożyła oba notatniki jeden przy drugim. Zaczęła od tego z lewej.

Heinz Eggers,

głosił podkreślony podwójną linią napis na górze strony.

Urodzony 23.04.1961 w Selstadt.

Zmarł 28.06.1993 w Kaalbringen.

Co do tego nie było wątpliwości. Poniżej ciągnęło się kilka linijek pozostałych informacji. Rodzice i rodzeństwo. Wykształcenie. Różne adresy. Wiele kobiecych imion. Kilka dat przyjęcia i wypisania z różnych instytucji, szczególnie z więzień, terminy rozpraw i wyroków.

Dwoje dzieci z dwiema kobietami. Pierwsze to dziewczynka, urodzona 2.08.1985 roku w Wodz. Matka – niejaka Kristine Lauger. Drugie to chłopiec, urodzony 23.12 – czyli dzień przed Wigilią, jak już wcześniej zauważyła – 1991 roku. Nie miał więc jeszcze dwóch lat. Matka to Matilde Fuchs, adres i miejsce pobytu – nieznane... Beate na kilka sekund zatrzymała się na tym nazwisku. Niewykluczone, że ta kobieta właśnie osiągnęła to, czego ja sama pragnę, pomyślała. Dziecko bez ojca – ale czy naprawdę właśnie tego chciała? Zresztą Fuchs równie dobrze mogła być zaćpaną dziwką, która już dawno zostawiła chłopca komuś, kto bardziej nadaje się do wychowywania dzieci. Tak, to dość prawdopodobna hipoteza.

Więc? Na czym to skończyła wczorajsze rozważania? Na pewno było to coś ważnego... Przejrzała kilka kolejnych stron. Jest!

Po kiego Heinz Eggers przyszwendał się na ten plac? To dopiero zagwozodka! Inaczej mówiąc, dlaczego ten gnany wiatrem włóczęga, ten wyrzutek społeczeństwa znalazł się przy Burgislaan 24 o pierwszej (a może nawet później) w nocy 23 czerwca 1993 roku?

Beate wiedziała, że to dobre pytanie. I nawet jeśli nie umiała jak

dotąd doszukać się żadnej odpowiedzi, to mogła, nie łamiąc przy tym praw logiki i nie zapuszczając się na grząski grunt spekulacji, wysnuć kilka wniosków... Każdego było na to stać.

Po pierwsze więc: nawet jeśli Eggers należał do narkomańskiej klienteli, to mimo wszystko można chyba było spodziewać się po nim choć odrobiny zdrowego rozsądku... Tego wieczoru ilość narkotyków w jego żyłach nie była zbyt duża. Umarł więc niemal całkiem trzeźwy i czysty (co, można by po chrześcijańsku stwierdzić, pewnie wyszło mu na dobre, kiedy tam na górze wzięto się do sumowania jego uczynków). W każdym razie to nie przez przypadek Eggers znalazł się na Burgislaan. Musiał tam mieć jakąś sprawę do załatwienia. W środku nocy. 28 czerwca. Sam.

Upiła łyk herbaty.

Po drugie: żaden z wątpliwych znajomków Eggersa, a przeszłuchała już ich sporo, nie miał pojęcia, o co w tym mogło chodzić. Nawet ta jego, powiedzmy, dziewczyna, która zdaje się całą tamtą noc spała jak zabita po trwającym dobie, a może i więcej pijaństwie... Kiedy Beate wraz z Kropkiem trochę mocniej ich przycisnęła, domagając się opowiedzenia o ich domysłach, jedyne, na co byli w stanie wpaść, to na to, że Heinz musiał dostać cynk. Jakąś wskazówkę. Informację, że ktoś ma coś do sprzedania... coś, czyli towar. Jakieś narkotyki. Amfę, herę albo po prostu hasz. Bez różnicy. Heinz brał wszystko. A to, czego nie zużył sam, sprzedawał dzieciakom.

Po trzecie: Rzeźnik umówił się z nim na spotkanie. To Eggers, nikt inny, miał paść jego ofiarą. Zbrodnia była dobrze zaplanowana i przygotowana. Należało więc zapomnieć o szaleńcu, psychopacie i wszelkich innych epitetach, którymi szafowali wszyscy wokół. Tę zbrodnię można było zaklasyfikować tylko w jeden sposób:

morderstwo pierwszego stopnia! Żadnego działania w afekcie, żadnych okoliczności łagodzących, żaden tam ćpun, który przywalił drugiemu...

Pierwszy stopień i tyle. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Pewne było też to, że Rzeźnik był precyzyjnym, świadomym wszystkim mordercą, który dokładnie wiedział, jak działać. Który niczego nie zostawił przypadkowi i który...

I tu, po czwarte: miał motyw!

Rozparła się w krześle i wypła łyk herbaty.

Morderca skupiony na swoim celu.

Beate wzięła teraz drugi notatnik.

Ernst Leopold Simmel.

Tu zapisków było mniej. Załedwie parę stron. Po prostu nie zdążyła spisać tej masy informacji, które Kropke zdobył z Wydziału Ewidencji Ludności i innych urzędów. Krajowy Rejestr Sądowy, w tym rejestr dłużników niewypłacalnych, firmy krzaki, komisje, kwestie opodatkowania, podróże i Bóg wie co jeszcze... Szybko przeleciała wzrokiem to, co jednak udało jej się zanotować, po czym przeszła do pytań, które pojawiały się na końcu. Zapisała je wczoraj, zanim poszła do łóżka. Cała sztuka polega na postawieniu właściwych pytań, nie omieszkałby zaznaczyć Wundermaas, jej ulubiony nauczyciel z Genschen. Proszę przeformułować! – krzyczał zniecierpliwiony, przesywając studenta czarnymi oczami. Odpowiedź może być jeszcze trudniejsza do znalezienia niż igła w stogu siana! Trzeba więc przynajmniej dopilnować, by szukać we właściwym stogu.

Jakie pytania należało zadać w przypadku Ernsta Simmela? Które były właściwe? Wypiła kolejny łyk i zabrała się do rzeczy.

Po co wyszedł w środowowy wieczór? To już wiedziała.

Dlaczego poszedł trasą przez Fisktorget? To dało się jakoś wyjaśnić.

Dlaczego poszedł przez lasek? To oczywiste.

Gdzie zaczął go śledzić Rzeźnik? Może to dobry punkt wyjścia... Jakie mogą być odpowiedzi?

Przed barem Pod Niebieskim Okrętem? Prawdopodobnie tak. To znaczy, że musiał za nim iść przez całe miasto... Tak, bo jak inaczej mogło to wyglądać?

Co to znaczyło?

Podniosła wzrok i wyjrzała przez okno. W dole widać było miasto. Zgasiła lampkę i jej oczom ukazało się Kaalbringen nocą, z małymi światełkami i mocniej podświetlonymi Bungeskirke, Hoistraat, Fisherman's Friend... bo to na pewno tę restaurację widać było tam wysoko, na brzegu skały. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała. Morderca tamtędy przechodził. Przeszedł całą drogę z góry, od Niebieskiego Okrętu, śledząc ofiarę z bezpiecznej odległości.

Musieli więc być świadkowie. Ludzie musieli widzieć Rzeźnika, kiedy ten spacerował wzdłuż Langvej i Hoistraat, kiedy schodził schodami, przecinał Fisktorget... Niepodobna, żeby nikt go nie zauważył. Kimkolwiek był, na pewno nie był niewidzialny. A co to oznaczało?

Dość oczywiste – jutro, kiedy drzwi na komendzie zostaną otwarte, obywatele detektywi stawią się licznie i prędzej czy później znajdzie się ktoś – jedna osoba, może więcej – kto go widział. Kto, rzecz jasna, nie wiedział wtedy, że to on, ale minął go i oto donosi o tym władzom. Kto widział go twarzą w twarz, może nawet się z nim

przywitał!

Tak będzie. Beate zapaliła światło. Za parę dni nazwisko Rzeźnika znajdzie się ukryte pośród całego mnóstwa innych, zbędnych doniesień. I nikt nie będzie wiedział, które to nazwisko, i nie da się go wyłuskać... a może warto będzie nad tym przysiąc? Czy ktoś uzna, że to gra warta świeczki? Może Kropke?

Cholera! Robota w sam raz dla niego. Jeśli sprawy faktycznie tak się potoczą, ona może równie dobrze z góry się poddać.

Ale musi być przecież jakaś inna droga? Jakaś ściąga. Klucz odpowiedzi. Przekrój przez masę informacji, które do nich spłyną. Coś takiego musi istnieć. Podobnie jak coś jeszcze, coś, co już zapisała na następnej stronie, podkreślając czterema liniami:

Związek??? Przez chwilę patrzyła na to pytanie. Potem narysowała trójkąt. Przy dwóch wierzchołkach napisała „Eggers” i „Simmel”, a przy trzecim, po chwili wahania, dopisała „Rzeźnik”. Spojrzała na rysunek.

Co ja wyprawiam? – zastanowiła się nagle. Co to za bzdura? Dziecinada!

A jednak trójkąt wyglądał przekonująco. Gdybym miała komputer, pomyślała, wystarczyłoby wrzucić nazwisko Simmela w jednym punkcie wykresu, Eggersa w drugim i prędzej czy później wyskoczyłby jakiś punkt styczny, którego znaczenie dałoby się odczytać. Z całego tego odmetu danych, z całego układu wyłoni się jedno nazwisko – nazwisko Rzeźnika. Tak powinno się to odbywać.

Do licha, chyba oszalałam! Jeśli jest na tym świecie coś, czego nie rozumiem, to są to komputery.

Zamknęła notatniki. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że ten włoski film zaczął się już dawno. Zresztą i tak nie chciała go

oglądać... Nie, co jak co, ale metody kwantytatywne nie były dla niej. Żadne tam mozolne przekopywanie jednego stogu po drugim. Na to mogli pójść Kropke, Mooser i Bang. Ale tu chodziło o coś innego.

Podniosła wzrok i zobaczyła tarczę księżyca, który właśnie zaglądał w okno. Pełny i okrągły... Junona! Bez wątpienia był to znak. Tu potrzeba było innego podejścia. Tu potrzeba było intuicji! Kobiety! A nie tych przeklętych lewych półkul. Yin, nie yang! Zauważyła, że uśmiecha się do księżyca... Jestem śmieszna, przyszło jej do głowy. Beznadziejna idiotka! Czas się kłaść, bez dwóch zdań. Dobrze, że nikt nie wie, do czego wykorzystuję umysł. Czyste nadużycie!

Wstała i przeszła do przedpokoju. Zrzuciła szlafrok i przez chwilę przeglądała się w lustrze. Nie najgorzej, pomyślała. Wyglądam na dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. Szkoda, że w łóżku nie czeka na mnie żaden facet.

Ale na stówę nie chciałyby go tam mieć jutro rano!

A kiedy kwadrans później zasypiała, z ciemności wyłaniały się już tylko tworzone przez wyobraźnię obrazy zabójcy. O ile oczywiście wyobraźnia może tworzyć obrazy.

Rzeźnik?

A czy w ogóle można być pewnym, że to mężczyzna?

Pytanie naszło ją, kiedy akurat wycofała się z ostatniego okopu i oddała się w bezgraniczną opiekę snu. I bez względu na to, czy Wundermaas zaliczyłby je do obiecujących stogów siana, czy też nie, nie było już okazji, by się nad nim zastanowić.

## 10

– Czasami mam wrażenie, że mimo wszystko opatrność nad nami czuwa – powiedział Bausen, podając Van Veeterenowi szklanę.

– Palec boży?

– Boży czy jakikolwiek inny. Na zdrowie! Ten trunek jest słaby. Nie chcę ogłupić twoich kubków smakowych. Pomyślałem, że potem spróbujemy czegoś lepszego...

Pili, a rattanowe fotele przyjemnie pod nimi skrzypiały. Van Veeteren zapalił papierosa. Dał za wygraną i w kiosku przy hotelu kupił całą paczkę. Pierwszą od wyjazdu Ericha, więc chyba w pełni na nią zasłużył.

– No więc... – Bausen sięgnął po wyświechtany woreczek z tytoniem, który poniekąd przypominał Van Veeterenowi to, co zobaczył w rozciętym gardle Simmela. – Człowiek żyje tu sobie bez pośpiechu. Wyłapuje pijanych kierowców, zajmuje się tą czy inną bijatyką, konfiskuje trochę alkoholu przywożonego na łodziach ze wschodu... i nagle, jak grom z jasnego nieba, spada na niego takie coś. I to akurat, kiedy ma się zamiar skończyć jeden rozdział życia. Nie wmówisz mi, że to nic nie znaczy.

– Może i można się w tym czegoś dopatrzeć.

Bausen pyknął z fajki.

– Nawet paru rasistów ode mnie oberwało!

– No tak, macie tu ośrodek dla uchodźców. W Taublitz –

przypomniał sobie Van Veeteren.

– Tak. Te dranie zaczęli robić zadymy już parę lat temu, a w zeszłym roku w listopadzie założyli gang. Spalili na popiół dwa baraki. Złapałem ośmiu.

– Nieźle.

– Czterech z nich wciąż odbudowuje baraki. Razem z uchodźcami, dasz wiarę? Mieli do wyboru dwa lata albo pracę na cele społeczne... Cholernie dobry sędzia. Nazywa się Heinrich Heine, zupełnie jak ten poeta. Chyba chłopcy zrozumieli tę lekcję.

– Imponujące – powiedział Van Veeteren.

– Zgadza się. Chyba każdy może wyjść na ludzi... Chociaż czterech wybrało więzienie.

– Masz zamiar odejść pierwszego listopada bez względu na okoliczności? – zapytał Van Veeteren. – Bo chyba nikt nie proponował ci przedłużenia umowy, co?

Bausen prychnął.

– Nie mam pojęcia. Ja w każdym razie nic o tym nie słyszałem... przecież liczą na to, że rozwiążesz sprawę w mgnieniu oka i że kiedy przyjdzie na to pora, będą mogli mi podziękować tak jak każdemu innemu. Czego zresztą sobie życzę.

Ja też, pomyślał Van Veeteren. Chwycił szklanę i rozejrzał się wokół. Bausen sprzątnął ze stołu i nakrył go obrusem, ale cała reszta wyglądała jak ostatnio – książki, gazety i inne szpargały, rozchodzące się na wszystkie strony pnące róże i przypominający dżunglę ogród, który tłumiał wszystkie dźwięki i sygnały z zewnątrz. Zupełnie jakby się człowiek przeniósł w świat Greene'a czy Conrada. Namorzynowe lasy u ujścia rzeki na niezbadanym dotąd lądzie. Istne jądro ciemności. Para hełmów tropikalnych, słoiczek tabletek chininy



i moskitiera byłyby tu całkiem na miejscu. A jednak siedział w samym sercu Europy. Minidżungla nad europejskim morzem. Van Veeteren napił się delikatnego, pachnącego cynamonem napoju i poczuł nagły przypływ zadowolenia.

– A twoja żona? – Prędzej czy później to pytanie musiało paść.

– Zmarła dwa lata temu. Na raka.

– Masz dzieci?

Bausen pokręcił głową.

– A ty? – zapytał.

– Rozwiodłem się. Też jakieś dwa lata temu.

– Aha. Jesteś gotowy?

– Na co?

Bausen się uśmiechnął.

– Na spacer po podziemiach. Chciałem ci pokazać mój ukryty skarb.

Dokończyli pić i Bausen poprowadził Van Veeterena do piwnicy. Schodami w dół, przez kotłownię i kilka składzików, w których kryło się jeszcze więcej rupieci – rowery, meble, wysłużone sprzęty domowe, przerdzewiałe narzędzia ogrodowe, gazety związane sznurkiem i luzem, butelki, zniszczone buty i kozaki...

– Nie bardzo umiem rozstawać się z rzeczami – wyjaśnił Bausen. – Uwaga na głowę! Sufit jest nisko.

Pokonali jeszcze parę schodków i wąskie przejście, w którym pachniało ziemią, po czym doszli do solidnych drewnianych drzwi zamkniętych na dwa rygle i kłódkę.

– Jesteśmy! – powiedział Bausen. Otworzył drzwi i zapalił światło. – Patrz i podziwiaj!

Uchylił drzwi i przepuścił Van Veeterena pierwszego.

Wino. Calutka piwnica.

W półmroku widział refleksy odbijające się od butelek ułożonych pod ścianami w eleganckie rzędy sięgające od ziemi po sufit. Tysiące butelek, nie mniej. Zaciągnął się głęboko ciężkim powietrzem.

– No, no! Urosłeś w moich oczach, komisarzu Bausen. To najlepsza oznaka wysokiego poziomu cywilizacji.

Bausen się zaśmiał.

– Otóż to! To, co tu widzisz, będzie moim głównym zajęciem, kiedy przejdę na emeryturę. Wyliczyłem już, że jeśli zadowolę się trzema butelkami tygodniowo, to wystarczy mi na dziesięć lat, bo myślę, że dłużej nie będzie mi się chciało tego ciągnąć.

Van Veeteren pokiwał głową. Dlaczego ja na coś takiego nie wpadłem? – pomyślał. Muszę się do tego zabrać, jak tylko wrócę do domu.

Był jeden mały problem – mieszkał w kamienicy. Ale może zacznie od skupywania towaru? Może da radę wynająć działkę albo coś w tym stylu? Postanowił, że zaraz po powrocie obgada to z Reinhartem albo Doriguesem.

– Wybierz nam dwie butelki. Może jedno białe, drugie czerwone.

– Meursault – zaproponował Van Veeteren. – Masz meursaulta?

– Chyba z parę tuzinów. A czerwone?

– W tej kwestii zdaję się na prowadzącego dochodzenie.

– Ha, ha! W takim razie ja obstawię Saint Emilion rocznik '71.

Jeśli pan komisarz nie ma nic przeciwko?

– Jakoś to przełknę.

– Całkiem udany wieczór – stwierdził dwie godziny później. Aż by się chciało, żeby w życiu było więcej takich okazji: smaczne jedzenie,

bystre towarzystwo, wyrafinowane – mówiąc skromnie – wina, a do tego ten ser. Van Veeteren oblizał palce i wgryzł się w plaster gruszki.

– Jak mam ci się odwdzięczyć?

Bausen zaśmiał się rozbawiony.

– Jeszcze się nie domyśliłeś? Złap Rzeźnika, żebyś mógł się zestarzeć z godnością.

– Wiedziałem, że kryje się w tym jakiś haczyk.

Bausen rozlał ostatnie krople bordeaux.

– Tylko spokojnie. Na zakończenie napijemy się whisky. Co ty na to?

– Hmm. Może najpierw zajmijmy się twoimi domysłami. W końcu ty byłeś tu od początku sprawy.

Jego gospodarz skinął głową i przysiadł z powrotem na krześle. Zsunął buty i położył nogi na pudle ze słoikami. Przez chwilę pogrążony w myślach poruszał palcami u stóp.

– A niech to cholera – powiedział po minucie. – Mam tyle pomysłów i wątków w głowie, że nie wiem, od którego końca zacząć. Dziś zastanawiałem się najbardziej nad tym, czy faktycznie, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, coś łączyło obie zbrodnie.

– Sprecyzuj!

– Oczywiście mamy do czynienia z jedną osobą, tak sędzę, choćby dlatego, że to upraszcza sprawę. Ten sam morderca, ta sama metoda i broń. Ale jaki był związek między ofiarami? Nad tym się głowię. Boję się trochę, że znajdziemy coś, za co się potem weźmiemy bez zastanowienia, tylko dlatego, że to znaleźliśmy. Że na przykład byli razem na wycieczce na Sycylii w 1988 roku albo w październiku 1979 leżeli w tym samym szpitalu, albo cholera wie co jeszcze.

– Losy dwojga ludzi zawsze się jakoś krzyżują – stwierdził Van

Veeteren.

– No właśnie... więc sam fakt może nic nie znaczyć. Może być istotny, ale nie musi.

– Nie zapominaj, że tu chodzi o trzy osoby. Bo o mordercę też.

– Tak, to jasne, że musimy szukać tego trzeciego, jeśli już trafimy na jakiś punkt styczny. Ale mam przeczucie, że w tej sprawie chodzi o coś innego...

– Że Eggers i Simmel zostali wybrani przypadkowo?

– Może. – Bausen zapatrzył się w mrok. – Oczywiście sprawca wybrał właśnie Eggersa i Simmela, ale nie wiadomo, czy oni mieli z nim wiele wspólnego. Przyczyny mogły być bardziej błahe, że tak powiem.

– Wybiera na chybił trafił z książki telefonicznej? – zaproponował Van Veeteren. – Był taki przypadek, może kojarzysz. Harridge, pamiętasz? Z zamkniętymi oczami wybierał dziesięć przypadkowych numerów z terenu Coventry. A potem dusił jedną osobę po drugiej.

– Tak, wiem. Co sobotę jedną... Udało mu się zabić pięć, zanim na niego trafili. Wiesz, na czym wpadł?

Van Veeteren pokręcił głową.

– Jedna z osób, które wybrał, Emerson Clarke, o ile się nie mylę, był dawnym mistrzem bokserskim. Harridge najzwyczajniej w świecie nie dał mu rady.

– Miał pecha. Ale powinien był wyeliminować bokserów z listy, zanim zabrał się do dzieła.

– Dobrze mu tak.

Zapalili po papierosie i przez chwilę siedzieli w milczeniu. Słuchali cichego szmeru dochodzącego z różanych krzewów. Kilka jeży, niuchając, wyszło z trawy i wypilo mleko ze spodka stojącego przy

ścianie. Do tego jaskółki ze świstem przecinały powietrze, w równych odstępach czasu przelatując pod pokrytym obłuzowanymi dachówkami dachem. Może ten dźwięk i same jaskółki trudno było powiązać z dżunglą, ale Van Veeteren wciąż czuł się dość egzotycznie.

– Oczywiście sytuacja zmieni się diametralnie, jeśli on uderzy po raz trzeci – powiedział Bausen.

– Niewątpliwie.

Nagle w ogrodzie powiało chłodem.

– Chcesz wejść do środka? – zapytał Bausen.

– Nie.

– I nie masz żadnych podejrzeń?

Bausen pokręcił głową. Spróbował whisky.

– Nie za dużo wody? – zapytał.

– Nie, skądże. Żadnych, choćby najmniejszych?

Bausen westchnął.

– Zajmowałem to stanowisko przez dwadzieścia pięć lat. Połowę tutejszych mieszkańców znam z imienia i z życia, innych – z widzenia. Jest może z parę tysięcy nowych przybyszy i tym podobnych, o których nie mam pojęcia. Ale, cholera, zastanawiałem się nad każdym jednym obywatelem i do niczego nie doszedłem. Do niczego!

– Trudno wyobrazić sobie ludzi jako zabójców. To znaczy, dopóki przed tobą nie staną w tej roli. Zresztą tak naprawdę on wcale nie musi być stąd.

Bausen zastanawiał się przez chwilę.

– Możliwe, ale nie sądzę, żeby tak było. Stawiam tysiaka, że to ktoś stąd. Tak czy inaczej, świetnie byłoby mieć jakiś punkt

zaczepienia. Przecież na tego przekłętego Eggersa poświęciliśmy setki godzin!

– W tej robocie nie ma sprawiedliwości – uśmiechnął się Van Veeteren.

– Ani trochę. Równie dobrze możemy zainwestować pieniądze w detektywów amatorów... na pewno coś by z tego wyszło.

– Możliwe.

Bausen zaczął czyścić fajkę. Chyba przez chwilę rozmawiał sam ze sobą.

– Grasz w szachy? – zapytał.

Van Veeteren zamknął oczy z zadowolenia. Prawdziwa wisienka na torcie, pomyślał.

Chyba lepiej korzystać ze wszystkich przyjemności naraz. Bo to i owo wskazywało, że mogą nadejść trudniejsze dni.

## 11

Nie tylko lokalne radiostacje i gazety wzięły sobie do serca słowa komisarza Bausena. Nawet niektóre dzienniki krajowe zamieściły w niedzielę poważnie brzmiący apel do skądinąd odpowiedzialnych mieszkańców Kaalbringen, by ci bez zwłoki udali się na policję z choćby najmniejszą wskazówką, która może przyczynić się do szybkiego schwytania Rzeźnika.

Kiedy wieczorem inspektor Kropke i aspirant Mooser podsumowali wyniki pierwszego dnia zgłoszeń od obywateli detektywów, okazało się, że dowiedzieli się całkiem sporo. Naturalnie przed złożeniem sprawozdania w sali zebrań Kropke nie zdążył przygotować żadnych slajdów, ale i tak wszystko było schludnie pozapisywane w jego kołonoatniku oprawionym w granatową skórę. Zatem:

1) W ciągu dnia 48 osób przyszło na komendę złożyć zeznanie dotyczące nocy zabójstwa. Z tego 11 zgłosiło się do nich już wcześniej. Z doniesień 37 pozostałych osób sześć uznano za nieistotne, albo dlatego, że znajdowały się w innej dzielnicy (trzy osoby) albo były na mieście o innej porze (dwie osoby), albo pomyliły datę (jedna osoba – starsza pani, wdowa Loewe, która w poniedziałkowe przedpołudnie wyszła po karmę dla kota i już wtedy zaobserwowała kilku podejrzanych typów z siekierami pod płaszczem).

2) 42 świadków, zarówno tych znanych im wcześniej, jak

i nowych, poruszało się w obrębie Langvej – Hoistraat – schody Michela – Fisktorget – promenada – lasek o różnych porach pomiędzy 23.00 i 24.00. Ich nazwiska, adresy i numery telefonów zostały szczegółowo zanotowane, co więcej, Kropke zabronił im wyjeżdżać z miasta w najbliższym tygodniu. Gdyby jednak ktoś wyjechał, miał się potem stawić na przesłuchanie uzupełniające (to zarządzenie pachniało oczywiście nadużyciem władzy, ale Van Veeteren obiekcje zachował dla siebie, w końcu to nie on prowadził dochodzenie...).

3) Wszyscy świadkowie w różnych miejscach i o różnych porach zwracali uwagę na siebie nawzajem. Niewykluczone, że te spotkania wykazywały tendencję wzrostową, a z poszczególnych doniesień wyłaniał się niezwykle skomplikowany wzór, którego Kropkemu, mimo usilnych prób, nie udało się przekuć na specjalny program na jego pececie. (Nieprzyjemności związane z tym niepowodzeniem w ostatnich godzinach odczuł na własnej skórze aspirant Mooser, a to dlatego, że w policji hierarchia i system wyżywania się na sobie są takie, a nie inne, i już).

4) Czworo nowych świadków potwierdziło znane już wcześniej zeznania złożone przez pannę deWeutz i panią Aalger, które rozmawiały u wylotu ulicy Doods i widziały Ernsta Simmela, kiedy ten przecinał rynek. Dwie pary, które także przechodziły przez rynek około 23.20, choć w różnych kierunkach, również zauważyły samotnie idącego mężczyznę, którego po namyśle mogli zidentyfikować jako zmarłego dyrektora biura nieruchomości.

5) Dwóch nastolatków na skuterach (co nie do końca było zgodne z literą prawa) przejechało Fisktorget w stronę promenady kilka minut później. Twierdzili, że widzieli kogoś, kto najpewniej był Ernstem Simmelem.



6) Para kochanków – kobieta z oczywistych powodów chciała pozostać anonimowa i dlatego potwierdziła zeznanie mężczyzny telefonicznie, a nie na komisariacie – siedziała czy też raczej leżała w samochodzie zaparkowanym przy przystani pomiędzy godziną 23.00 i 1.00. Około 23.30 zauważyli mężczyznę, który stał i palił tuż nad brzegiem, nie dalej niż dziesięć metrów od ich samochodu. Oboje byli niemal pewni, że musiał to być Ernst Simmel.

7) Na Hoistraat troje nowych świadków (bo wcześniej mieli ich już dwoje) widziało zamordowanego, kiedy szedł z baru Pod Niebieskim Okrętem. Wszyscy oni zauważyli też dwóch czy trzech idących samotnie mężczyzn, ale właśnie w tym przypadku można było mówić o mijających się nawzajem świadkach.

8) Jeden świadek widział idącego samotnie mężczyznę, który skręcił z Hoistraat na schody Michela pomiędzy 23.10 a 23.15. Mężczyzna nie był podobny do Simmela. Odległość między nim a świadkiem wynosiła niemal dwadzieścia metrów, ale ponieważ właśnie w tej chwili mężczyzna przechodził pod latarnią, świadek widział go całkiem wyraźnie. Co ciekawe, rzeczony mężczyzna miał nakrycie głowy – kapelusz z szerokim rondem, które osłaniało twarz. Ten fakt, między innymi, mógł wskazywać na to, że faktycznie był to morderca. Gdyby tak było, świadek okazałby się jak dotąd pierwszą osobą, która go widziała. Mężczyzna w kapeluszu nie pojawiał się w relacjach pozostałych nocnych spacerowiczów.

Świadek nazywał się Vincent Perhoovens i niestety wyglądało na to, że w chwili gdy widział mężczyznę, był niezbyt trzeźwy i nie można było do końca polegać na jego słowach, co sam zresztą bez oporów przyznał i co potwierdzili pozostali świadkowie. Niemniej jednak jego zeznanie należało uznać za interesujące dla śledczych.

9) Chyba najważniejsze zeznanie tej niedzieli – tak przynajmniej stwierdził Bausen, komentując ich dokonania – złożyła czwórka nastolatków w wieku gimnazjalnym. Szli piechotą od przystani przez lasek do Rikken... I to właśnie tą ścieżką. Musieli zatem minąć miejsce zbrodni po 23.40. Ponieważ według zeznania numer sześć Ernst Simmel palił papierosa na nabrzeżu jakieś dziesięć minut wcześniej i ponieważ żadne z nastolatków go nie widziało, można było stwierdzić, że kiedy dzieciaki mijaly miejsce zbrodni, morderca prawdopodobnie dopiero co dokonał zabójstwa i właśnie w tym momencie czekał z ciałem ofiary za krzakami. (Jedna z dziewczyn wybuchnęła histerycznym płaczem, kiedy to sobie uświadomiła... to zresztą przez nią nastolatki nie zgłosiły się na policję wcześniej. Jej ojciec był pastorem i w nocy o tej porze dziewczyna powinna była grzecznie spać w domu u koleżanki – która też zaliczała się do tej ekipy – a nie włóczyć się z chłopakami po lesie).

W każdym razie ich zeznanie oznaczało, że za czas dokonania zbrodni z dużym prawdopodobieństwem i z dokładnością plus minus jednej minuty można było przyjąć 23.40.

– I to by było na tyle – powiedział Kropke i zamknął notatnik.

– Meuritzowi należy się cygaro – powiedział Van Veeteren. – Wycelował z godziną co do sekundy. Chciałbym wiedzieć, jak morderca przeszedł przez rynek? W tym właśnie czasie było tam... niech spojrzę... sześć albo siedem osób.

– Osiem – poprawił go Kropke. – Przynajmniej osiem. Pewnie po prostu poszedł arkadami. Ciągną się na zachodniej stronie placu, przy tak zwanym domu Waalska. Nie wiem, czy pan komisarz zwrócił na to uwagę. No i oświetlenie jest tam kiepskie. Żaden ze świadków nie

szedł akurat tamtędy.

– Jakby zbudowane dla mordercy – westchnął Bausen. – No. To co wy na to, moi drodzy? Czy ten dzień możemy zaliczyć do udanych?

Mooser podrapał się cienkopisem za uchem i ziewnął. Kropke wpatrywał się w swoje notatki. Van Veeteren wlał w siebie ostatnie krople z papierowego kubka, konstatuując przy tym, że różnica między wystygłą, letnią kawą a meursaultem jest naprawdę ogromna.

– Trudno powiedzieć – odezwał się. – Trochę się dowiedzieliśmy... No i jutro też jest dzień.

– Tak, poniedziałek – odważył się zauważyć Mooser.

– Chyba że czyhał na ofiarę w lesie – wtrącił Kropke, który chyba kontynuował swoje wewnętrzne rozmyślenia. – Może nie powinniśmy wykluczać takiej możliwości.

– Ja w każdym razie chciałbym jeszcze przeprowadzić kilka krótkich przesłuchań – powiedział Van Veeteren. – To znaczy, o ile prowadzący dochodzenie nie ma dla mnie innych zadań.

– Bynajmniej – odparł Bausen. – Dobry policjant umie sam znaleźć sobie robotę.

Mooser znów ziewnął.

## 12

– Więc był pan jego radcą prawnym? – zapytał Van Veeteren i wyciągnął wykałaczkę z kieszeni.

– Raczej przyjacielem rodziny – uśmiechnął się adwokat.

– A jedno nie wyklucza drugiego?

– Absolutnie nie.

Biuro Eugena Klingforta wystrojem przypominało luksusową kajutę. Drewno tekowe gdzieniegdzie wykończone mosiężnymi okuciami. Zabudowane regały z szeregiem książek w skórzano-papierowych oprawach, każda z nich nietknięta, odkąd wyszła z drukarni. Obity skórą stojak na dokumenty, stół z barkiem, który mógłby spokojnie służyć za biurko, sejf marki Wassermann/Frisch.

Esencja złego gustu, pomyślał Van Veeteren. Im więcej ludzie mają pieniędzy, żeby dać mu wyraz, tym gorzej.

– A od jak dawna? – zapytał.

– Od jak dawna? Ach... od dwudziestu pięciu, trzydziestu lat. Coś koło tego. Odkąd założyłem biuro w mieście, tak mi się wydaje. Zapali pan cygaro, komisarzu?

– Nie, dziękuję. I jak szło mu w interesach?

– W interesach? To znaczy?

– Chcę wiedzieć, jak mu szło w interesach. Przecież był pan jego doradcą finansowym, wydawało mi się, że to już uzgodniliśmy.

Adwokat Klingfort rozparł się w krześle, tak że wszystkie jego

podbródki oparły się o tors. Czyżby otyłość? – pomyślał Van Veeteren.

– W interesach wszystko układało się jak trzeba.

– A co z testamentem?

– Nie zostawił testamentu. Nie musiał. I Greta, i dzieci dostaną swoją część, nic nadzwyczajnego.

– A o jakich kwotach mówimy?

– Proszę wybaczyć, komisarzu Veeteren...

– Van Veeteren.

– ...Van Veeteren. Poświęciłem już na to wystarczająco dużo czasu, rozmawiając z Kropkiem. Jeśli myśli pan, że będę mówił o wszystkim jeszcze raz tylko dlatego, że przysłano pana z góry... to...

– To co? – przerwał mu Van Veeteren.

– To się pan myli.

– Dziękuję, panie Klingfort. Widzę, że tu leży pies pogrzebany, ale w takim razie odkopimy go sami, bez pańskiej pomocy.

Eugen Klingfort prychnął i zapalił cygaro.

– Wyjaśnię panu jedną rzecz – powiedział, wcześniej wydmuchując kilka okazałych obłoków dymu. – Ani w interesach Ernsta, ani w tym, co po nim zostało, nie doszuka się pan najmniejszych nieprawidłowości...

– Wyklucza więc pan, że motywem zbrodni mogły być kwestie finansowe?

– Tak.

– Ale czy nikt nie miał u niego długów?

– Oczywiście w grę wchodziły pewne wierzytelności, ale nie takie, jak pan sugeruje.

– A co według pana sugeruję? – zapytał Van Veeteren i odłożył wykałaczkę na oparcie fotela. – Proszę sprecyzować.

Adwokat nie odpowiedział, ale nieco poczerwieniał na twarzy.

– Co zatem sądzi pan o tym zabójstwie?

– To jakiś szaleniec – odpowiedział natychmiast Klingfort. – Od początku to mówiłem. Proszę dopilnować, żeby trafił za kratki, tak by porządni obywatele mogli spokojnie spacerować po zmroku.

– Chadzaliście razem na dziwki? – zapytał Van Veeteren.

Adwokat akurat się zaciągał i kiedy padło pytanie, dostał ataku kaszlu. Van Veeteren nie wątpił, że nie było to przyjemne uczucie. Klingfort podniósł się z krzesła na tyle szybko, na ile pozwalała mu na to masywna budowa ciała, i chwiejnym krokiem podszedł do okna. Po chwili wrócił i wychylił solidną porcję wody mineralnej stojącej na stoliku z napojami.

– O co panu, do diabła, chodzi? – spróbował zagrzmieć, kiedy już doszedł do siebie. – Przekracza pan swoje kompetencje, ot co!

– Wszyscy wiedzą, że Simmel chadzał na panienki – odparł spokojnie Van Veeteren. – Myślałem tylko, że może mógłby mi pan podać jakieś nazwiska.

– Proszę, żeby zostawił mnie już pan w spokoju.

– Ani mi się śni. Proszę usiąść i odpowiadać na moje pytania! To dochodzenie w sprawie zabójstwa i mam prawo zabrać pana na komisariat, jeśli będę miał na to ochotę. Proszę się tak nie nadymać. Umiem sobie poradzić i z gorszymi humorami.

Eugen Klingfort znieruchomiał na środku pokoju. Podbródki znów opierały mu się na torsie. Wygląda jak chory mors, pomyślał Van Veeteren.

– Sypie pan popiół na dywan – powiedział. – No więc? Pytałem o nazwiska kobiet.

– Ja... nie miałem nic wspólnego z tym aspektem życia Ernsta –

zaczął Klingfort i znów zasiadł na krześle przy biurku. – Nic a nic! Zapewne odwiedził raz czy dwa którąś z tych... ogólnie dostępnych. Jestem pewien, że szef komisariatu zna ich nazwiska.

– Chcę usłyszeć te nazwiska, których policja nie zna. Żyje pan w szczęśliwym małżeństwie, panie Klingfort. Żona, dzieci, willa... Nie rozumie pan, że mogę panu nieco nabruździć, jeśli będzie się pan upierał?

Adwokat zaczął czegoś szukać w szufladzie. Wyciągnął z niej kartkę papieru, nabazgrał coś na niej i podał Van Veeterenowi.

– Ale gwarantuję panu, że to nie ma nic wspólnego z zabójstwem. – Otarł kroplę potu spływającą z czoła. – Nic a nic.

Wcale tak nie sądziłem, pomyślał Van Veeteren, wychodząc na ulicę. Ale pies musi czasami poszczekać.

– Jesteś trzeźwy? – zapytał Bausen, sadowiąc się z tacą z kawą.

– Jak zawsze w poniedziałki – odpowiedział Peerhovens. – W końcu mam robotę.

– No właśnie. W dzisiejszych czasach trzeba dbać o to, co się ma...

Bausen wyciągnął w jego stronę paczkę papierosów. Peerhovens nie odmówił.

– Kawa i papierosy... trzeba dbać o dobre stosunki z władzą, zawsze to powtarzam.

– A przypadkiem nie zmyśliłeś całej tej historii, żeby coś na tym ugrać? – Bausen pochylił się nad stolikiem. Peerhovens się wzdrygnął. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Nie, skądże znowu, panie komisarzu! W życiu nie przysłoby mi do głowy kłamać policji! Widziałem go tak wyraźnie jak teraz pana. Szedłem od strony baru Klaarmanna. Siedziałem tam trochę i gadałem

z Wautersem i Egonem Schmidtem, może pan komisarz zna?

Bausen skinął głową.

– Powiedz, co widziałeś!

– ...i właśnie szedłem obok księgarni, bo już wracałem do domu.

Mieszkam trochę dalej, w Pampas, może pan komisarz kojarzy?

– Tak, kojarzę.

– ...no i kiedy doszedłem do rogu, to znaczy tam na Hoistraat, skręciłem w lewo i właśnie wtedy zobaczyłem kogoś schodzącego po schodach. Przyszedł od drugiej strony, to znaczy jakby od Niebieskiego Okrętu, i chyba mu się spieszyło...

– Spieszyło?

– Tak, zbiegał po tych schodach.

– Jak wyglądał?

– No, to trwało tylko chwilę, ale miał na sobie taki cienki płaszcz, który trochę mu zwisał, no i kapelusz. Taki ze spuszczonego rondem, zsunięty do przodu. Więc jeśli chodzi o twarz, to gównie – przepraszam za wyrażenie – widziałem.

– Jakiego koloru był płaszcz?

– Jakiego koloru? Brązowy albo granatowy. Coś takiego. W każdym razie dosyć ciemny.

– A kapelusz?

– Jeszcze ciemniejszy, ale nie czarny. Wie pan, to trwało sekundę, no i wtedy się nad tym nie zastanawiałem. Dopiero kiedy Kovan powiedział mi, że ktoś zarąbał Simmela...

– Kovan?

– Kowalski... Radon Kowalski, mieszka pode mną. W porządku facet.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś?



– No, to chyba było następnego dnia... Tak, na pewno wtedy, tak pod wieczór. Wpadliśmy na siebie na schodach no i mi powiedział. „Słyszałeś, że Rzeźnik zarabiał Ernsta Simmela?”, powiedział.

– A mimo to dopiero wczoraj wybrałeś się na policję – stwierdził Bausen ostrym tonem.

Peerhovens zamilkł i spuścił wzrok na kubek z kawą.

– Ja... ja... – zaczął się jąkać. – Sam nie wiem dlaczego. Myślałem, że to bez znaczenia. No i byłem wtedy trochę wstawiony... Ale potem słuchałem radia i...

– Ile wypiliśmy w środę?

– Trudno powiedzieć. Niech pomyślę – zastanawiał się Peerhovens. – Siedziałem w barze parę godzin, więc raczej niemało. No i Wauters przyniósł ze sobą własną flaszkę.

– Rozumiem. Więc nie poznałbyś tej osoby, gdybyś ją jeszcze raz spotkał.

Peerhovens pokręcił głową.

– A jak on w ogóle wyglądał? Był niski, wysoki? Szczyły czy potężny?

– Aż tak mu się nie przyjrzałem. Ale chyba taki średni. Nie, nie poznałbym go...

Bausen pokiwał głową.

– A płaszcz i kapelusz? Też byś ich nie rozpoznał?

Peerhovens przez chwilę się wahał. Bausen podał mu papierosa.

– Dziękuję. Nie – zdecydował w końcu. – Szczerze to ich też bym nie rozpoznał.

Bausen się zaciągnął. Wstał i zostawił Vincenta Peerhovensa samego sobie. Wiedział już, że Peerhovens nie jest na tyle głupi, żeby nie zdawać sobie sprawy, że zobaczenie Rzeźnika może pociągać za

sobą pewne ryzyko.

– Marie Zelnik? – zapytała Beate.

Uświadomiła sobie, że siedząca na czerwonej sofie kobieta musi być od niej młodsza o parę lat. To trochę zbiło ją z tropu. Z jednej strony czuła budzący się w niej instynkt opiekuńczy, z drugiej – musiała powstrzymać uczucie niechęci i niesmak. Stłamsić w sobie obrzydzenie.

Niechęć była zresztą odwzajemniona. Marie Zelnik usiadła rozparta, z nogą założoną na nogę, tak że skórzana spódniczka podjechała jej wysoko w górę. Zelnik paliła i oglądała sobie paznokcie.

– Chciałabym zadać kilka pytań.

– Proszę bardzo.

– Żyje pani z prostytutki?

– Między innymi.

– A co jeszcze pani robi?

Milczenie.

– Chciałabym, żeby opowiedziała mi pani trochę o Ernście Simmelu. Był jednym z pani klientów, prawda?

– A co chce pani wiedzieć?

– Wszystko, co może mieć znaczenie dla dochodzenia. Na przykład od jak dawna utrzymywaliście... jak długo się znaliście?

– Od około pół roku. Odkąd wrócił do kraju.

– A jak często się spotykaliście?

Zelnik wzruszyła ramionami.

– Nie za często. Raz w miesiącu, czasami rzadziej. Częściej bywał u Katii.

– Katii Simone?

– Tak.

– Inspektor Kropke już z nią rozmawiał.

– Słyszałam.

Zgniotła peta i od razu zapaliła następnego. Obrzydliwe, pomyślała Beate.

– I jaki on był?

– Simmel? Zwyczajny jeleni.

Beate zapisała w notatniku: „JELEŃ”.

– Jak się z panią kontaktował?

Marie Zelnik chwilę myślała.

– Najczęściej tego samego dnia. Nigdy nie umawiał spotkania z wyprzedzeniem. Dzwonił z baru i pytał, czy może przyjść.

– I mógł?

– Czasami.

Beate zastanawiała się, o co by tu jeszcze zapytać. Powinna była dokładniej się przygotować do tej rozmowy. Czego właściwie chciała się dowiedzieć?

– Kiedy spotkaliście się ostatnio?

– Mniej więcej tydzień przed jego śmiercią.

– I jak się zachowywał?

– Jak zwykle. Był napalony, ale nie był długodystansowcem.

Beate z zakłopotaniem stwierdziła, że się rumieni.

– Rozmawiał z panią?

– O czym?

– O życiu, o swojej rodzinie? Może o żonie?

– Nigdy.

– Nie pytała pani?

– A po co?

– A płacił... jak trzeba?

Co za głupie pytanie! Beate czuła, że zaczyna tracić kontrolę. Chyba trzeba się stąd zabierać, zanim palnę coś gorszego, pomyślała.

– Oczywiście, że płacił.

Marie Zelnik spojrzała na nią z lekkim rozbawieniem. Beate spróbowała jeszcze raz.

– Czyli w jego zachowaniu nie było nic szczególnego. Nic, co według pani mogłoby się jakoś wiązać z zabójstwem? O czym powinniśmy wiedzieć?

– Niby co?

– Nie wiem – przyznała Beate. – A ile pani bierze? – wyrwało się jej, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– To zależy.

– Od czego?

– O jakie pieprzenie chodzi. Jest kilka różnych wariantów, ale może pani inspektor nie do końca się orientuje... Poza tym biorę tylko facetów.

O ty pindo! Powinnaś być wdzięczna, że nie nasłałam na ciebie Bausena! Chwilę zastanawiała się, o co jeszcze zapytać tę arogancką dziwkę, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Dziękuję bardzo. – Beate się podniosła. – To była bardzo ciekawa rozmowa. Bardzo. Gdyby nie to, że jestem na służbie, zrzygałabym się na tę tandetną wykładzinę...

Kiedy to powiedziała, poczuła, że powoli wraca jej opanowanie.

## 13

W czwartek spał do późna.

Zasłużył na to. Już tydzień minął, odkąd zlikwidował Ernsta Simmela w miejskim lasku, a jak dotąd nic nie wskazywało na to, że policja trafiła na jakiś ślad. Po prostu nic.

Zresztą zupełnie się tego nie obawiał. Od początku wiedział, że te dwa pierwsze zabójstwa nie przysporzą mu większych problemów. Jednak ze zbrodnią numer trzy sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Ludzie zrozumieli już, co jest grane. Wiedzieli, że to nie pojedynczy przypadek, jak sądzono po znalezieniu Eggersa. Nie żaden działający przypadkowo zabójca, którego zadowoli jedna ofiara, tylko ktoś, kto na swojej liście ma ich więcej.

Więcej głów musi się, dosłownie, posypać, zanim sprawiedliwości stanie się zadość.

We śnie wciąż nachodziły go obrazy i, dokładnie tak jak się tego spodziewał, teraz pojawił się na nich ten trzeci. Ten, który jeszcze żył, ale był następny w kolejce. Chociaż jego obraz nie był zbyt wyraźny. Nie miał żadnego związanego z nim wyraźnie wspomnienia, żaden konkretny moment nie zapadł mu w pamięć. Może to miejsce w rogu sofy, na którym siedział, okazując dystans i pewną wyższość. Ten młody, dobrze ubrany szczeniak z wyższych sfer, który dzięki pochodzeniu i pozycji społecznej zawsze wychodził na swoje. Który piał się w górę, gdy inni upadali. W czystych bucikach, z gładko

przyczesaną fryzurką.

Który spadał na cztery łapy, gdy inni nie podnosili się po upadku. A niech to, ależ nienawidził tej samozwańczej arystokracji! Ten trzeci był najgorszy ze wszystkich – widać to było czarno na białym, kiedy porównało się go z innymi. To on był głównym sprawcą. To jego wina była największa, więc i kara musiała być najbardziej sroga... również z tego powodu tej zbrodni trzeba poświęcić szczególną uwagę. Tak, by ponad wszelką wątpliwość zaznaczyć, o jaką winę chodzi. To musi być prawdziwy symbol, coś ekstra, planował to już od samego początku. I nie chodziło o to, żeby ludzie zrozumieli, bo i tak nie rozumieją... Przestraszą się, ale nie rozumieją. Nie, on robił to dla siebie.

I dla niej.

Przedpołudnie spędził na praktycznych zajęciach. Zajął się bronią. Wypolerował ją tak, że zrobiła się wręcz niewiarygodnie ostra... potem owinął w muślinową ściereczkę i ukrył tam, gdzie zwykle. Płaszcz i kapelusz spalił w kominku, nadszedł czas na nowe przebranie. Dłuższą chwilę siedział przy kuchennym stole i myślał nad sposobem działania. Zdecydował się na symbol artystyczny, który wprawdzie wiązał się z pewnym ryzykiem, ale niewielkim. Naprawdę niewielkim. No i, patrząc na to z punktu widzenia atrakcyjności medialnej, taki symbol robi ogromne wrażenie. Nie miał wątpliwości, że tym razem ten temat zdominuje zarówno prasę, jak i telewizję. Przynajmniej przez jeden dzień, może kilka...

Zaskakująca perspektywa. Bo przecież absolutnie nie taki cel mu przyświecał. Ale może, tak jak to ktoś kiedyś powiedział, o wiele chętniej umiera się na arenie niż we własnym łóżku! Czyż sama walka

nie ma znaczenia? Walka, ruchy i cała gra.

A może coś źle zrozumiał? Tak czy inaczej, nie dało się zaprzeczyć, że cała ta historia nabrała nowego wymiaru, którego wcześniej nie przewidział. Nie liczył na to. Nieoczekiwanie pojawiły się podniecenie i słodki urok, które, rzecz jasna, nie miały nic wspólnego z sednem sprawy.

Z sednem, czyli z życiem i śmiercią.

Z koniecznością.

Wieczorem poszedł na spacer. Po części po to, by zrobić rekonesans miejsca, które wybrał tym razem, po części po to, by zadośćuczynić tej niejasnej potrzebie poruszania się po mieście. Po jego mieście.

Po Kaalbringen. Bo to było jego miasto. Zabudowania ciągnące się po przekątnej od nizin aż po wysokie wybrzeże na wschodzie. Okrągła zatoka, cypel wychodzący w stronę otwartego morza, wcinająca się w ląd przystań z pomostami i falochronami, nabrzeże, przy którym cumują luksusowe łodzie, ocierając się o drewniane mostki i słupy. Dłuższą chwilę spędził w ruinach klasztoru na S:t Hans. Wokół niego mewy tańczyły na wietrze, przekrzykując się nawzajem. Patrzył na ulice, place, porozrzucane bezładnie domy, kościoły: Bunge, świętej Anny i świętego Piotra. Miedź, wszędzie miedź i cegły. Hotele See Warf i Bendix zwrócone tyłem do lądu, przodem napierające na morze, lasek przypominający zielone ostrze miecza. Wille na Rikken i Werdingen. A po drugiej stronie ledwo widoczne w wieczornej mgle kamienice na Pampas i Vrejsbakk oraz położona za rzeką mała niczym miniaturka dzielnica przemysłowa.

To jego Kaalbringen. Nagle poczuł, że już od dawna nie czuł się tu tak bardzo na miejscu jak teraz. Może tkwi w tym jakiś sens, jakieś

pocieszenie... to on był Rzeźnikiem. U jego stóp rozciągało się miasto, które trzymał w żelaznym uchwycie. Tam, w dole, ludzie wieczorami wychodzili tylko w grupie albo zamykali się w domach. Wisiał nad nimi jego ciężki, ciemny cień. Jeśli w całym kraju zaczną mówić o ich mieście, to będzie jego zasługa.

To właśnie był ten nieoczekiwany wymiar. Jakże odległy od głównego wątku.

Czy mógł coś na to poradzić? Raczej nie. Może wręcz sprawiało mu to jakąś trudną do sprecyzowania radość.

Brigitte. Bitte.

Dopiero kiedy w dole zaczęły zapalać się światła, zorientował się, że zapadł zmrok. Wsadził ręce do kieszeni i wolnym krokiem ruszył z powrotem w stronę miasta. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, jak to rozłożyć w czasie. Da sobie dwa dni, nie więcej. Jutro albo pojutrze wieczorem. Bo rytm ma swoje znaczenie.

To ważne, by słuchać wewnętrznego głosu.



## 14

– Jest między nimi jedno naprawdę niewielkie powiązanie, choć oczywiście nie bardzo można się na tym oprzeć – powiedziała Beate.

– Niby jakie? – zapytał Kropke, nie odrywając wzroku od komputera.

– Zarówno Eggers, jak i Simmel byli nowi w mieście... to znaczy Simmel wrócił tu po latach. Ale chodzi o to, że żadnego z nich nie było w Kaalbringen, powiedzmy, rok temu.

Van Veeteren złożył gazetę i odszedł od okna.

– Kiedy pojawił się tu Eggers? – zapytał. – W maju, tak?

– Raczej na początku kwietnia. Chociaż najpierw jeździł w tę i z powrotem. Simmel wprowadził się do swojego domu w lutym.

– I co w związku z tym? – zapytał Kropke.

– Nic – odparła Beate. – Pomyślałam po prostu, że może warto zwrócić na to uwagę.

Van Veeteren bez powodzenia grzebał w kieszeniach marynarki w poszukiwaniu wykałaczki.

– Może to wcale niegłupi pomysł – wymamrotał. – Ja chyba pójde teraz odwiedzić jeszcze kogoś...

Odwiedzić? – pomyślał Kropke, kiedy za Van Veeterenem zatrzęsnęły się drzwi. Niby kogo?

Po drodze Van Veeteren zajrzał do Bausena, który właśnie opróżniał

szuflady.

– Palisz za sobą mosty?

– Tak. Nie chcę tu zostawić nic kompromitującego. Wiesz przecież, że Kropke potrafi być drobiazgowy do przesady.

– Nie pojawiło się nic nowego?

Bausen pokręcił głową.

– Minęło już dziewięć dni. Mówią, że jeśli nie uporasz się ze sprawą w dwa tygodnie, to już nigdy jej nie rozwiążesz.

– No to mamy jeszcze sporo czasu. Gadałeś już z tym Mandrijnem?

– Tak. Bo co?

– Coś mi przyszło do głowy. Pamiętasz, że obiecałeś mi rewanż dziś wieczorem?

– Zapraszam serdecznie – odparł Bausen. – Tym razem postaw na obronę Nimzowitscha, a na pewno wygrasz.

– Wezmę ze sobą butelkę wina. Nie chcę już nadwyręzać twojej emerytury.

Bausen rozłożył ręce.

– Skoro nalegasz.

Van Veeteren odchrząknął i przycisnął dzwonek u drzwi.

Jeśli dalej będę tak chodził i przesłuchiwał przypadkowych ludzi, to prędzej czy później na niego trafię, pomyślał.

O ile to ktoś z miejscowych. Ale Bausen wyraźnie sugerował, że tak właśnie jest. A kiedy już będę go miał przed sobą, to na stówę się zorientuje, że to on. Zazwyczaj tak było, to właśnie stanowiło o jego sile i przewadze – umiejętność wyczucia sprawcy, kiedy spotka się go twarzą w twarz. Ta niemal kobieca intuicja, która prawie nigdy go nie zawiodła.

Prawie nigdy...

Jeszcze raz nacisnął dzwonek. Usłyszał kroki dobiegające z wnętrza tego nowo wybudowanego domu i po chwili za półprzezroczystymi przeszklonymi drzwiami pojawiła się jakaś postać.

– Chwileczkę!

Drzwi się otworzyły. Doktor Mandrijn najwidoczniej właśnie drzemał. Albo też oddawał się popołudniowym miłosnym igraszkom. Jego czarne włosy sterczały na wszystkie strony, szlafrok był rozchełstany, a do tego stapał na bosaka po marmurowej posadzce w kolorze czerwonego wina.

Trzydzieści pięć lat, ocenił szybko Van Veeteren. Odnoszący sukcesy lekarz internista, mąż i ojciec. Inteligentne spojrzenie. Nieszczególnie wysportowany, nieco przygarbiony. Może krótkowidz? Van Veeteren zamachał mu legitymacją tuż przed nosem.

– Komisarz Van Veeteren. Ma pan może dziesięć minut?

– A o co chodzi?

Przycesał dłonią włosy i zawiązał pasek od szlafroka.

– O morderstwo – odparł Van Veeteren.

– Ach tak, rozumiem. – Mandrijn odchrząknął. – Znów Rzeźnik, tak? Okropna historia. Proszę wejść.

Van Veeteren rozejrzał się po wysokim, urządzonym w białym drewnie pokoju. Duże okno wychodziło na świeżo posadzony trawnik. Drobinki kurzu tańczyły w ukośnie wpadających do środka promieniach słonecznych. To znaczyło, że i dzisiejszy wieczór będzie piękny.

– Sam pan buduje dom?

Mandrin skinął głową.

– W pewnym sensie – projektuję i wykańczam wnętrza. Jak widać,

jeszcze nie skończyłem, ale da się tu mieszkać. W nocy malowałem sufit, dlatego się zdrzemnąłem. Dziś mam nocny dyżur w szpitalu. Co chciałby pan wiedzieć? W zeszłym tygodniu rozmawiałem już z kimś od was.

– Tak, z komisarzem Bausenem. Chciałem tylko dopytać o kilka szczegółów.

Mandrijn skinął dłonią i Van Veeteren usiadł na jednym z dwóch krzeseł, które stanowiły całe umeblowanie pokoju.

– Zatem wynajmował pan willę Simmela, kiedy on był w Hiszpanii? – zaczął. – Niech sprawdzę... od 1988 roku, tak?

– Tak, od sierpnia. Ja i Catrine, moja żona, jednocześnie dostaliśmy etaty w szpitalu. Oboje byliśmy świeżo upieczonymi lekarzami i nie wiedzieliśmy, czy będziemy chcieli tu zostać. Dlatego zamiast kupować czy budować dom, woleliśmy coś wynająć.

– Mają państwo dzieci?

– Dwoje. Są w przedszkolu – powiedział, jakby się tłumaczył. – Catrine pracuje w dzień. Napije się pan czegoś?

Van Veeteren potrząsnął głową.

– A teraz zdecydowali się państwo zostać w mieście?

– Ależ tak. Świetnie się tutaj czujemy. Po prostu myśleliśmy, że będziemy mogli pomieszkać u Simmela jeszcze z pół roku.

– Więc wrócili wcześniej, niż to było planowane?

– Tak. Właściwie to w ogóle mieli nie wracać, ale umówiliśmy się, że dom dostajemy do dyspozycji na pięć lat. Chyba miał zamiar go sprzedać, kiedy już się tam do końca urządzi.

– Tam, czyli gdzie?

– W Hiszpanii, oczywiście.

– A ma pan jego tamtejszy adres?

– Nie. W razie potrzeby kontaktowaliśmy się z nim przez jego adwokata, Klingforta. A do czego potrzebny panu adres?

Van Veeteren nie odpowiedział, tylko pytał dalej.

– Jakie wrażenie zrobili na panu Simmelowie?

Mandrijn wyjrzał przez okno.

– Czy to zostanie między nami? – zapytał po chwili.

– Tak.

– Muszę przyznać, że nie najlepsze. Może i nie byli źli, ale niesympatyczni. Trochę wulgarni. Bogaci i tani... bez klasy, pozwolę sobie stwierdzić. Zwłaszcza on.

– Dlaczego wrócili?

Mandrijn wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Na początku grudnia powiadomili nas, że mają zamiar wrócić i wprowadzić się do domu pierwszego lutego. Nie dali nam za dużo czasu, właściwie to w ogóle, ale nie chcieliśmy się kłócić. Już mieliśmy kupioną działkę, więc pozostało tylko wziąć się do roboty.

Van Veeteren się nad czymś zastanawiał.

– A ma pan jakąś własną teorię na to, dlaczego Ernsta Simmela zamordowano?

Jeśli powie, że nie ma pojęcia albo że to szaleniec, będzie pięćdziesiąty z rzędu, pomyślał. Mandrijn przez chwilę milczał, pocierając palcami płatek ucha.

– Tak – powiedział ku zdumieniu Van Veeterena. – Zastanawiałem się nad tym. Myślę, że to musiał być ktoś, kto nie mógł znieść jego powrotu do miasta. To był drań, komisarzu. Skończony drań.

Doprawdy? – pomyślał Van Veeteren.

Wracając, wybrał drogę naokoło. Wyraźnie czuł, że potrzebuje ruchu,

że musi się nieco od tego wszystkiego oddalić, może uciec. Ale nie było w tym akurat nic dziwnego i godnego uwagi. Wybrał kilka nieznanymi sobie ulic, jakich tutaj oczywiście nie brakowało. Pospacerował po dzielnicach i obrzeżach, których jeszcze dotąd nie widział. I tak powoli wszedł na wzgórze, skąd rozciągał się widok na miasto.

Nie było tu żadnych zabudowań, sama przyroda. Poszedł wzdłuż lasu, na zachód, w stronę restauracji, o której mówił mu Bausen. Niespiesznie spacerował przez pustkowie z rękoma założonymi za plecy i wiatrem smagającym mu twarz. Niektóre drzewa zaczęły już tracić liście – tegoroczne lato było suche. Nagle poczuł, że w powietrzu unosi się jakaś wróżba, zwiastujący coś omen. To rzecz jasna tylko złudzenie, ale omeny tak właśnie dają o sobie znać. Przy ruinach klasztoru przysiadł na chwilę z papierosem i wszystkimi nękającymi go niesprecyzowanymi wątpliwościami. Dopiero kiedy w oddali usłyszał szczekanie, podniósł się i zaczął schodzić po wykutych w wapiennej skale stopniach – były śliskie i trudno było utrzymać na nich równowagę.

Idealne miejsce na nieszczęśliwy wypadek, pomyślał.

Zszedł na wysokość kościoła. Pod wezwaniem Świętego Piotra, o ile dobrze pamiętał. Obok, na wprost morza, znajdował się cmentarz. Kiedy go zakładali, musieli wyrównać teren i zrobić tu taras, pomyślał. Przez chwilę zastanawiał się, jak to jest leżeć w tej miałkiej, sztucznej ziemi pośród wszystkich tych trumien i krypt. Po przekątnej, za grobami, widać było zarys hotelu See Warf. Tym razem postanowił pójść najkrótszą drogą.

Ruszył zwirową ścieżką przez cmentarz, klucząc między kwaterami. Jednym okiem spoglądał na napisy na nagrobkach: ten

zmarł w takim wieku, ten nazywał się tak i tak... Ale dopiero kiedy doszedł do ogrodzenia i położył rękę na klamce żelaznej furtki, zauważył jego – komisarza Bausena. Van Veeteren widział tylko jego szerokie plecy, bo Bausen stał z pochyloną głową nad jednym z kamiennych grobów.

Dwa lata, powiedział mu poprzedniego wieczoru?

Van Veeteren nie wiedział, czy Bausen się modli. Mało prawdopodobne, ale tak czy inaczej były z niego podniosłość, duchowe skupienie... może nawet błogi spokój. Van Veeteren poczuł ukłucie zazdrości. Postanowił, że nie będzie się ujawniać i zostawi Bausena w spokoju.

Jak mogę zazdrościć człowiekowi, który rozpacza nad grobem żony? – pomyślał i szybko wyszedł przez furtkę. Czasami sam siebie nie rozumiem.

W hotelu położył się z nogami opartymi o wezglowie łóżka. Wpatrywał się w sufit, palił papierosa i pozwolił myślom odpłynąć.

I znów palenie stało się jego nawykiem. Jak zwykle, kiedy musiał stawić czoło pracy. Kiedy dochodzenie nie szło tymi ścieżkami, którymi chciał i które sam utorował. Kiedy wszystko utykało w martwym punkcie, a przełom nie nadchodził.

Choć teraz nie do końca tak było.

Przypomniał sobie wspomnianą przez Bausena regułę dwóch tygodni. Jeśli to prawda, to mają jeszcze pięć dni. On spędził w Kaalbringen już tydzień, ale kiedy spróbował podsumować swój dotychczasowy wkład w to dochodzenie, jedynym wynikiem było nieprzyjemnie okrągłe zero.

Zero absolutne.

Nie mam zamiaru czekać pięciu dni, pomyślał. W niedzielę wracam do domu! Hiller będzie musiał przysłać kogoś innego. Rootha albo deBriesa, albo cholera wie kogo! Bo na pewno nikt nie zyska na tym, że będę się tu dalej obijał.

Mieszkał w hotelu. Spijał wino Bausena i dawał mu się ogrywać w szachy! On, sławny komisarz Van Veeteren!

Tak jak parę dni temu spekulował Bausen, teraz sytuację może odmienić tylko jedno.

Kolejne uderzenie Rzeźnika.

A i to z jego – wezwanego tu w roli eksperta – punktu widzenia wiązało się jedynie z nadzieją. Niech zarąbie jeszcze kogoś, a złapiemy go!

Równocześnie jednak wciąż ćmiło się w nim to dziwne, niejasne przekonanie, że jedyne, co im zostało, to grać na zwłokę. Czekać. Że ta sprawa się rozwiąże, sama, wbrew wszelkim regułom. I ani on, ani nikt inny nie będzie miał na to wpływu.

Po tych wojowniczych myślach i po czwartym, może nawet piątym papierosie Van Veeteren poszedł się wykąpać. W wannie z kolei przez godzinę myślał nad wszelkimi możliwymi posunięciami, które będzie mógł wykonać po otwierającej grę obronie rosyjskiej lub obronie Nimzowitscha. Niby bardziej konkretna sprawa, ale i tu nie doszedł do żadnych rozsądnych wniosków.



Kiedy Beatrice Linckx zaparkowała i zamknęła samochód przy Leisner Allé, zegar na kościele Bunge wybił dwudziestą trzecią. Beatrice jechała siedem godzin. Zerwała się z ostatniej, sprawozdawczej części konferencji i teraz marzyła o trzech rzeczach:

O kieliszku czerwonego wina, gorącej kąpieli i o Maurisie.

Spojrzała w stronę mieszkania na trzecim piętrze. Światło w kuchni było zapalone, doszła więc do wniosku, że Maurice na nią czeka. Wprawdzie nie mogła się do niego dodzwonić z drogi, ale wiedział, że wraca dziś wieczorem. Na pewno otworzył już butelkę, a kto wie, może i przygotował jej grzanki. Z krążkami cebuli, pieczarkami, świeżą bazylią i serem... Wyciągnęła walizki z bagażnika i przeszła przez ulicę. Była zdrętwiiała po jeździe, ale ruszała się zwawo. Już chciała stanąć przed drzwiami. Już chciała być w domu.

Niestety Beatrice Linckx nie miała pojęcia, że lampa w kuchni paliła się już od ponad doby, a Maurice wprawdzie był w mieszkaniu, ale bynajmniej nie taki, jakiego sobie wyobrażała. Nikt też nie przyrządził jej grzanek ani nie otworzył wina, żeby nabrało smaku. A i na kąpiel, jak się okazało, musiała długo poczekać. W dodatku musiała się wykapać w łazience sąsiadki, i to w stanie, o jakim wcześniej nawet nie śniła.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Nacisnęła klamkę i weszła.

Później wiele osób, w tym ona sama, dziwiło się, że zachowała się tak, a nie inaczej. Wprawdzie właściwie wszystko można w takiej sytuacji uznać za normalne, ale jednak budziło to pewne zdumienie...

Odstawiła walizkę i zapaliła lampę w przedpokoju. Przez kilka sekund przyglądała się Maurice'owi, po czym chwyciła walizkę i wycofała się na korytarz. Zamknęła za sobą drzwi i zbiegła po schodach. Kiedy była już na chodniku przed domem, zawahała się na sekundę, ale w końcu przeszła ulicę i wsiadła z powrotem do samochodu.

Siedziała, obejmując kierownicę i próbowała przesłonić wejście do swojej świadomości ciężkim kamieniem zapomnienia. Starła się cofnąć zegar chociaż o kilka godzin, tak by wrócić do stanu błogiej niewiedzy. Tylko o kilka godzin – z powrotem do wspaniałej zwyczajności, do dróg, reflektorów samochodów, które mijała. Do sonaty Waldsteinowskiej, która leciała z głośników, do kropli deszczu uderzających o szybę, do torebki miętówek rzuconej na siedzenie obok... do pragnienia, by być już w domu.

Nic nie widziała. Nie weszła wcale do mieszkania. Postanowiła, że posiedzi jeszcze w samochodzie i odpocznie chwilę, zanim wejdzie do Maurice'a. Zanim zje grzanki i wypije wino, zanim owinie się ciepłym szlafrokiem, położy na sofie przykryta kocem, wysłucha kwintetu smyczkowego, zapatrzy się na świeczkę w wysokim świeczniku... Posiedzi tu i poczeka.

Niemal dwie godziny później otworzyła boczną szybę. Do środka samochodu wpadło wieczorne powietrze i odrobina delikatnego deszczu, a wraz z nimi – rzeczywistość. Po raz drugi chwyciła walizki i przeszła przez ulicę. Tym razem nie spoglądała już w stronę okien.

Wiedziała, że na górze jest tylko Maurice. Dziesięć po pierwszej mogła wreszcie zadzwonić na policję i powiedzieć im, że Rzeźnik znalazł kolejną ofiarę.

II

10–24 września

## 16

– To goniec źle stoi – powiedział Bausen.

– Widzę – odparł Van Veeteren.

– F6 byłoby lepsze. Teraz nigdy nie uda ci się go ruszyć. Dlaczego nie wybrałeś obrony Nimzowitscha, jak mówiłem?

– Nigdy do końca jej nie rozumiałem – wymamrotał Van Veeteren.

– Rosyjska jest ciekawsza.

– Owszem, ciekawsza, zawsze ma duże pole rażenia: robi spore wyrwy we własnych sztykach. Poddajesz się?

– Nie. Jeszcze nie zginąłem. – Spojrzał na zegarek. – Cholera, już kwadrans po pierwszej!

– Spokojnie. Noc jeszcze młoda.

– W sumie to jeszcze nie masz nade mną przewagi...

– W tej sytuacji tego nie potrzebuję. Jeszcze trzy, cztery ruchy i zbiłbym cię damą.

Zadzwonił telefon i Bausen zniknął w drzwiach domu.

– Co u licha? O tej porze? – wymamrotał.

Van Veeteren pochylił się i analizował ustawienie. Nie było żadnych wątpliwości. Bausen miał rację. Sytuacja była beznadziejna. Czarne miały szansę zbić zarówno wieżę, jak i środkowy pion, a wtedy linia H będzie wolna. Jego ostatni goniec stał na skrzydle królewskim, zakleszczony pomiędzy własnymi pionami. Fatalnie rozegrane, beznadziejnie... Z przegraną czarnymi mógł się pogodzić,

ale kiedy miał możliwość otwarcia białymi pionkami, i to obroną rosyjską – w takim przypadku nie było żadnego usprawiedliwienia.

Wrócił Bausen.

– Remis, do diabła! – krzyknął. – Znów zaatakował!

Van Veeteren wstał.

– Kiedy?

– Nie wiem. Ktoś zadzwonił pięć minut temu. Chodźże, do cholery, musimy się spieszyć!

Ruszył do przodu przez ogród, ale przy furtce się zatrzymał.

– Cholera, kluczyki!

– Chcesz prowadzić? – zapytał Van Veeteren. – Wypiłeś chyba z litr!

Bausen się zawahał.

– Dobra, pójdziemy – zdecydował. – To tylko paręset metrów stąd.

– No to biegiem!

Jako pierwszy na miejsce przy Leisner Allé przybył aspirant Bang. Zaledwie w parę minut udało mu się obudzić cały dom. Kiedy Bausen i Van Veeteren nadeszli zza rogu, we wszystkich oknach paliły się światła, a na schodach na trzecim piętrze tłoczyli się ludzie.

Bang stanął jednak w drzwiach mieszkania Beatrice Linckx, nie było więc ryzyka, że ktoś nieupoważniony wkroczy na miejsce zbrodni. Uprzejmie, ale stanowczo Bausen zaczął zaganiać sąsiadów z powrotem do mieszkań, natomiast Van Veeteren zajął się młodą kobietą, która, trzęsąc się, siedziała na podłodze obok stażysty Banga. Wszystko wskazywało na to, że to ona znalazła zwłoki i wezwała policję.

– Nazywam się Van Veeteren – przedstawił się. – Czy chce się pani

czegoś napić?

Potrząsnęła głową. Wziął ją za rękę – były lodowate i drżały.

– Jak się pani nazywa?

– Beatrice Linckx. Mieszkamy tu razem. On nazywa się Maurice Rühme.

– Wiemy – wtrącił się Bausen, który już uporał się z sąsiadami. – Na razie może pani wejść do pani Clausewitz, da pani coś ciepłego do picia.

Gruba kobieta wyjrzała zza jego pleców.

– Chodź, bidulko – powiedziała, podając Beatrice żółty koc. – Chodź, ciocia Anna się tobą zajmie.

Beatrice podniosła się na chwiejnych nogach i grzecznie poszła za nią.

– Są jeszcze dobrzy ludzie na tym świecie – stwierdził Bausen. – Nie możemy o tym zapominać. To co, rozejrzemy się trochę? Kazałem Bangowi dopilnować, żeby nikt się tu nie kręcił.

Van Veeteren przełknął ślinę i zajrzał do mieszkania.

– Ożeż... – powiedział Bausen.

Zwłoki Maurice'a Rühmego leżały tuż za drzwiami, na pierwszy rzut oka wyglądały tak, jakby cała krew, co do kropli, wypłynęła z ciała. Duża na pięć metrów kwadratowych wykładzina w przedpokoju była nią tak przesiąknięta, że trudno było się zorientować, jaki miała wcześniej kolor. Van Veeteren i Bausen zatrzymali się w progu.

– Musimy poczekać na techników – powiedział Van Veeteren.

– Tam dalej jest kilka śladów.

– Widzę.

– Mniej więcej taki sam cios.

Na to wyglądało. Rühme leżał na brzuchu, z rękoma pod spodem – jakby upadając, nie zdążył się nimi osłonić. Głowa trzymała się szyi, ale chyba i tym razem niewiele brakowało, by odpadła. Twarz była obrócona w bok i odrobinę w górę – szeroko otwarte oczy Rühmego zdawały się wpatrywać w punkt położony mniej więcej na wysokości kolan Bausena. Z rozciętego gardła wypłynęła nie tylko krew, ale również resztki jedzenia. Zwisало też z niego coś, co przypominało kawałek mięsa i co Van Veeteren zidentyfikował jako język.

– Musi tu leżeć już od jakiegoś czasu – powiedział Bausen. – Czujesz ten smród?

– Przynajmniej dobie. Szybko przyjadą ci technicy?

– Pewnie za pięć minut. – Bausen zerknął na zegarek. – Wygląda na to, że przynajmniej miałem rację, jeśli chodzi o broń.

Tym razem bowiem na miejscu zbrodni pojawiła się pewna nowość. W przypadku Maurice’a Rühmego morderca nie zadowolił się jednym cięciem – po śmiertelnoścym ciosie w gardło wymierzył jeszcze jeden, tym razem w odcinek lędźwiowy. Tam też zostawił swoją broń.

Mocno tkwiła w ciele. Rękojeść była skierowana w górę i przypominała groteskowo dużego, odwróconego do góry nogami penisa. Niewielka, widoczna część ostrza wyglądała tak, jak wcześniej przypuszczali Bausen i Meuritz.

Niezbyt długa rękojeść, krótkie, szerokie ostrze. Prawdopodobnie było to najwyższej jakości narzędzie rzeźnicze.

– Ożeż... – powtórzył Bausen. – Naprawdę możesz tu tak stać i na to patrzeć?

– Nie – odparł Van Veeteren.



Autostrada ciągnęła się bez końca.

A do tego krajobraz był monotornie szary. Wprawdzie od zjazdu na Bokkenheim dzieliło go nie więcej niż sześćdziesiąt kilometrów, ale i tak miał ochotę wykreślić najbliższe pół godziny ze swojego życia. Nie chciał siedzieć za kółkiem i pokonywać kilometra za kilometrem, minuta za minutą, ze znużeniem, które nacierało na oczy niczym ławica ciemnych chmur. Ciemnych i ponurych.

Wstał wcześniej. Kiedy wyjeżdżał, Synn i dzieci jeszcze spały. Wczorajsza wieczorna kłótnia sprawiła, że nie miał ochoty jej budzić. Już kiedy wyjeżdżał z garażu, wiedział, że to błąd.

Choć niewykluczone, że i ona robiła to samo i udawała, że śpi, kiedy on kręcił się po sypialni i pakował ubrania. Nie wiadomo.

Tak czy inaczej, wiedział, że musi zadzwonić, kiedy tylko dotrze na miejsce. Nie chciał, żeby tak to wyglądało. Nie znosił darcia kotów, sporów i niewypowiedzianych pretensji... nie między nim a Synn. Inni mogli tak sobie żyć, oni – nie. Co do tego byli zgodni. On i jego piękna Synn.

W sumie może miała rację. Może tak naprawdę mógł odmówić.

– W Kaalbringen znaleźli kolejną ofiarę – powiedział Hiller. – VV musi mieć na kogo pokrzyzczyć, inaczej nie rozwiąże tej sprawy. Musisz tam pojechać, Münster.

Nie sprzeciwił się i o to poszło. Powinien był zaproponować. Było

przecież co najmniej trzech innych – młodych i równych stopniem – śledczych, których Hiller mógł wysłać: Reinhart, Rooth i Stauff.

Ale wybrał Münstera.

Który przyjął polecenie bez mrugnięcia okiem. Nie przejmując się, że będzie musiał opuścić Synn i dzieci na... no właśnie – na jak długo? Tego nie wiedział nikt. Może na parę dni? Może na tydzień? A może na dłużej? Aż uda się wsadzić tego Rzeźnika za kratki?

Kiedy już raz się zgodził, trudniej było się wycofać... Prędzej czy później Synn się z tym pogodzi, ale powinien był od razu o tej sprawie pomyśleć. To właśnie na tym skończyli wczoraj wieczorem – Synn poszła się położyć, on siedział jeszcze długo... i wiedział, że miała rację. Przynajmniej uświadomił to sobie teraz, kiedy z kiepskim samopoczuciem jechał zdecydowanie za szybko przez tę nieznośnie szarą beznadzieję.

Nie chcę wyjeżdżać i jej zostawiać, pomyślał. Chcę do niej przyjeżdżać. Zbliżyć się, a nie oddalać.

W innych okolicznościach fakt, że Van Veeteren chciał, żeby to właśnie jego wysłano, byłby w pewnym sensie zaszczytem, ale teraz stanowił kiepską pociechę.

Wiem, że jestem dobrym gliną, pomyślał. Gdybym jeszcze był równie dobrym mężem i ojcem... Bez wątpienia zabrzmiało to żałościwie. Münster wyciągnął chusteczkę z kieszeni spodni i wydmuchał nos.

Bokkenheim, Kaalbringen 49, przeczytał na drogowskazie. Przejechał już kolejne dziesięć kilometrów.

Odnalazł hotel See Warf bez problemu, nie musiał się zatrzymywać i pytać o drogę. Komisarza Van Veeterena akurat nie było, jak mu

powiedziano w recepcji, ale czekał na niego zarezerwowany pokój. Ścianę w ścianę z komisarzem.

– Czy przyjechał pan do nas w związku z tą nową, okrutną zbrodnią? – zapytała recepcjonistka.

– Owszem – przyznał. Chwycił walizkę i szybko ruszył po schodach.

Kiedy tylko wszedł do pokoju, chwycił za telefon. Musiał czekać nieznośnie długo, zanim go połączono, ale kiedy już usłyszał sygnał, ku swemu zdumieniu poczuł, że serce bije mu szybciej. Zupełnie jak wtedy, gdy był nastolatkiem i dzwonił do córki aptekarza, rudej Marie, żeby zapytać o pracę domową z francuskiego. Niesamowite, czyż nie?

Odebrał Bart i powiedział mu, że mama wyszła. Nie wiedział, dokąd i kiedy wróci. Była z nimi ciocia Alice... a kiedy tata przyjedzie z powrotem?

– Jak tylko będę mógł – odparł Münster. – Pozdrów Marieke i mamę. Powiedz mamusi, że zadzwonię później i że ją kocham.

– Co za głupie gadanie – stwierdził jego sześciolatek i odłożył słuchawkę.

Münster westchnął. I tak poczuł się odrobinę lepiej. Pora brać się do roboty, pomyślał.

Ale na pewno byłby ze mnie większy pożytek, gdybym najpierw mógł zaliczyć parę godzin południowej drzemki z żoną w objęciach.

## 18

– Mooser, możesz zamknąć drzwi, to zaczniemy? – zapytał Bausen.

Kropke uruchomił rzutnik.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli podsumujemy dotychczasowy przebieg zdarzeń. Będziemy wiedzieć, na czym stoimy, a kolega Münster zorientuje się co i jak.

– Dziękuję – odparł Münster.

– Ofiara – ciągnął Bausen – to niejaki Maurice Rühme, lat trzydzieści jeden, lekarz zatrudniony w szpitalu miejskim, specjalizacja – ortopedia i urazy kręgosłupa. Pracował tam od marca. Naszym gościom – tu skinął głową w stronę Van Veeterena i Münstera – mogę zaznaczyć, że nazwisko Rühme jest znane w mieście. Prawda, Kropke?

– Jean-Claude Rühme jest ordynatorem szpitala – wyjaśnił Kropke.

– Poza tym ma prywatną przychodnię w swoim domu na wzgórzu. Zdaje się, że działa też w Naczelnej Radzie Lekarskiej.

– Maurice to jeden z jego dwóch synów – zabrał znów głos Bausen.

– Drugi przebywa w zakładzie opieki w Kirkenau... na skutek nieszczęśliwego wypadku w dzieciństwie jest upośledzony.

– Jakiego wypadku? – zapytał Münster. Van Veeteren zapisał coś w notatniku.

– Spadł z ambony głową w dół. W kościele Świętego Piotra – wyjaśniła Beate. – Cztery metry, wprost na kamienną posadzkę.

Nawet ja o tym słyszałam. To niemal miejscowe podanie ludowe.

– Ekhm – odchrząknął Bausen. – Zatem Maurice’a Rühme go znaleziono martwego w jego mieszkaniu przy Leisner Allé 6. Znalazła go Beatrice Linckx, jego dziewczyna... lat trzydzieści, psychologka, zatrudniona właśnie w zakładzie Seldona w Kirkenau.

– Aha – powiedział Van Veeteren. Bausen na chwilę zamilkł, ale Van Veeteren nie dodał już nic więcej.

– Znalazła go tuż po dwudziestej trzeciej w czwartek, czyli przedwczoraj, kiedy to wróciła do domu z trzydniowej konferencji w Kiel. Zdaje się, że doznała porządnego szoku, bo wyszła, wsiadła do samochodu i powiadomiła nas dopiero po dwóch godzinach. Bang, bo to on miał wtedy dyżur, otrzymał zgłoszenie jedenaście po pierwszej.

– Zgadza się – potwierdził Bang.

– Ja i Van Veeteren dotarliśmy na miejsce jakieś dwadzieścia po pierwszej – ciągnął Bausen. – Tam mogliśmy stwierdzić, że to nasz przyjaciel Rzeźnik uderzył po raz kolejny... Van Veeteren, może chcesz kontynuować?

– Okej – zgodził się Van Veeteren i wyciągnął wykałaczkę z zębów. – Jak sądzę, najciekawsza w tym wszystkim jest broń. Technicy wciąż ją badają, ale to, że tym razem zostawił ją na miejscu, może sugerować, że dla niego to już koniec i że nie ma zamiaru odcinać głowy nikomu więcej. Ale to oczywiście tylko hipoteza. W każdym razie jest to cholernie efektywne narzędzie – lekkie, poręczne i niezwykle ostre.

– Nawet dziecko mogłoby nim zabić – wtrącił Bausen.

– Zanim się tam pojawiliśmy, Rühme leżał w przedpokoju dość długo – ciągnął Van Veeteren. – Czy to pudło za aspirantem Bangiem to drożdżówki?

– Mooser, czy możesz zejść na dół i poprosić o kawę? – zapytał Bausen i aspirant zniknął za drzwiami. Bang otworzył pudełko i głośno zaciągnął się zapachem bułek.

– Dzisiejsze – oznajmił.

– Cóż – zaczął na nowo Van Veeteren – nawet jeśli Meuritz nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, to możemy przypuszczać, że Rühme nie żył od co najmniej dwudziestu trzech godzin.

– Co daje nam środę późnym wieczorem – stwierdził Bausen. – Możemy chyba wyjść z założenia, że to wtedy uderzył Rzeźnik. No i mamy tego świadka.

– Niejakiego Moena – wtrąciła Beate. – Muszę powiedzieć, że, biorąc pod uwagę okoliczności, mówił całkiem do rzeczy.

– Może najpierw omówmy kwestie techniczne – zaproponował Bausen. – Kropke, rozmawiałeś z laboratorium?

Mooser wrócił z kawą na tacy i zaczął rozdawać kubki.

– No więc – zaczął Kropke – z bronią też jeszcze nie skończyli. Wszystkie ślady na podłodze, te w rozlanej krwi, najprawdopodobniej zostawiła tam Linckx. Mówię tu o odciskach butów i śladach po walizkach. Nie znaleźli żadnych śladów, które nie należałyby do niej lub do niego. Jeśli chodzi o broń, to jest to specjalne narzędzie rzeźnicze. Prawdopodobnie ma już kilka ładnych lat. Nie ma na nim żadnego znaku firmowego, prawdopodobnie zostało zeszlifowane, ale jeśli dopisze nam szczęście, to może dowiemy się, skąd pochodzi. Technicy powiedzieli, że potrzebują paru dni.

– Dlaczego, u licha, zostawił broń? – zapytał Bausen. – Czy ktoś może mi powiedzieć?

– Arogancja – odparła Beate. – Chce nam pokazać, że jest mądrzejszy od nas... że nigdy go nie złapiemy.

– Niewykluczone – stwierdził Van Veeteren. Münster nie umiał powiedzieć, do której części wypowiedzi Beate komisarz się odniósł.

– Potrzeba nam więcej faktów, zanim zaczniemy spekulować – powiedział Bausen. – Jak więc wyglądała zbrodnia, komisarzu?

– Cios padł z góry, w każdym razie wszystko na to wskazuje – wyjaśnił Van Veeteren. – Ostrze wbiło się tak jak przy dwóch poprzednich zbrodniach... no i wynik też był ten sam. Wygląda na to, że ofiara zmarła błyskawicznie.

– Z góry? – zapytał Kropke. – Czy to się trzyma kupy? Przecież, o ile wiem, nie było śladów walki... ani oporu?

Bausen wymienił spojrzenia z Van Veeterenem. Potem odchrząknął i pochylił się nad stołem.

– Otóż komisarz Van Veeteren i ja sądzimy, że mogło to przebiegać mniej więcej tak: raz – morderca dzwoni do drzwi, dwa – Rühme otwiera, trzy – rozpoznaje mordercę i zaprasza go do środka, cztery – morderca przechodzi przez próg i upuszcza coś na podłogę...

– Kartkę papieru, monetę albo cokolwiek – wtrącił Van Veeteren.

– Pięć – Rühme pochyła się, żeby to podnieść, i sześć – morderca uderza!

Przy stole zapadło milczenie. Słyszać było tylko, jak aspirant Bang zawzięcie gryzie drożdżówkę. Inspektor Kropke poluzował sobie krawat, nie wyglądał na zbyt przekonanego.

– Tak – odezwała się wreszcie Beate. – Myślę, że macie rację... ale to nie mogła być moneta. Moneta mogłaby się poturlać po podłodze nie w tym kierunku co trzeba.

– Słusznie – zauważył Van Veeteren. – Nie moneta. W każdym razie zdążył to podnieść, zanim wyszedł.

– No i zdążył solidnie wbić topór – powiedział Bausen. – Wygląda

na to, że nieszczęśliwie się spieszył.

– A nie ubrudził się krwią? – zapytał Mooser.

– Możliwe, ale nie rozniósł jej dalej – odparł Bausen. – Na schodach ani nigdzie indziej nie ma żadnych śladów.

– Hmm. Ogólnie rzecz biorąc, działał dość profesjonalnie, ale myślę, że nie do końca możemy uznać, że Rühme go znał. Jest całe mnóstwo innych możliwości – stwierdził Van Veeteren.

– Mógł na przykład kazać mu uklęknąć na podłodze, grożąc mu pistoletem – powiedziała Beate.

– Na przykład – zgodził się Van Veeteren.

– Świadek – wtrącił Bausen. – Przyjrzyjmy się zeznaniu tego Moena nieco dokładniej. Myślę, że to kluczowa sprawa, nie możemy tu popełnić błędu.

– Niewątpliwie – przytaknął Van Veeteren.

– Bo rozmawiałem z nim i ja, i inspektor Moerk i każde przesłuchanie przyniosło w pewnym sensie inny wynik. Świadek nazywa się Alexander Moen i mieszka nad Rühmem i Linckx. Twierdzi, że widział, jak ktoś wchodził do budynku tuż przed dwudziestą trzecią w środę i wyszedł stamtąd, lekko biegnąc, jakiś kwadrans później. Przez cały ten czas Moen siedział przy kuchennym stole i wyglądał przez okno wychodzące na park Leisnera i Leisner Allé. Słuchał przy tym wiadomości radiowych o dwudziestej trzeciej.

– Nie mamy powodów, żeby mu nie wierzyć – powiedziała Beate.

– Co wieczór tak siedzi. Taki ma zwyczaj, i to prawdopodobnie od trzydziestu lat.

– Przed 1972 rokiem w radiu nie nadawali wiadomości o dwudziestej trzeciej – oznajmił Kropke.

– Naprawdę? – zdziwił się Van Veeteren. – No ale to nie ma



większego znaczenia. Spójrzmy na to, jak opisał tego mężczyznę. Bo to jest w tym najciekawsze. Bausen, zacznij.

– Rozmawiałem z nim jeszcze tamtej nocy. Obudził się z tego samego powodu, co cała reszta domu, taaa... – tu Bausen rzucił spojrzenie Bangowi, który wciąż był pochłonięty jedzeniem drożdżówki. – ...i nie mógł na nowo zasnąć. O wpół do czwartej stał w szlafroku i klapkach na klatce schodowej i chciał złożyć zeznanie.

– Ma dziewięćdziesiąt cztery lata – wyjaśniła Beate Münsterowi.

– W każdym razie twierdzi, że zauważył mężczyznę, który nadszedł od strony parku i wszedł do budynku...

– Drzwi nie były zamknięte? – zapytał Münster.

– Zamek był zepsuty od paru dni – odparł Kropke.

– No więc mężczyzna wszedł do budynku. Był ubrany w strój sportowy. Ciemny z jasnymi napisami. Był wysoki, szczupły i miał ze sobą jakąś paczkę czy zawiniątko... Tak, świadek stwierdził, że to jednak było zawiniątko. Nie widział twarzy mężczyzny, ponieważ była w cieniu, ale wydaje mu się, że miał brodę i dość długie włosy. Minął zatem mniej więcej kwadrans i mężczyzna wyszedł w pośpiechu i udał się w stronę parku. I to by było na tyle, choć pół godziny zajęło nam zdobycie tego zeznania.

– A zawiniątko? – zapytał Kropke. – Wychodząc, już go nie miał?

– Tego Moen nie pamięta. Ogólnie rzecz biorąc, to żadnego szczegółu nie był pewien, począwszy od samego dnia. Ale kiedy przeanalizowaliśmy wiadomości, jakie słyshał w radiu, doszliśmy do wniosku, że to musiała być środa. Pytanie brzmi więc: czy to mordercę widział Moen? Muszę przyznać, że ja mam duże wątpliwości...

– Nawet jeśli to był Rzeźnik, to chyba i tak niewiele nam to

pomoże – zauważył Van Veeteren. – Co pani na to, inspektor Moerk?

– Cóż. – Beate ssała końcówkę cienkopisu. – Sama nie wiem. Rozmawiałam z nim dziś rano. Wydawało mi się, że ten Moen jest nieco rozkojarzony, ale kiedy już weszliśmy na właściwy tor, wydawał się bardziej konkretny. Chyba tak to jest, prawda? Starzy ludzie pewniejsi są szczegółów niż ogółu. Mój ojciec ma już początki demencji, więc mam pewne porównanie.

– Dobrze – wtrącił Kropke – a co Moen miał do powiedzenia dziś rano?

– To samo, co powiedział komisarzowi Bausenowi – odparła Beate. – Godziny się zgadzają, zawiniątko też... tylko opis był inny.

– A co powiedział tym razem? – zaciekał się Mooser.

– Że to była dość niska, przysadzista czy może atletyczna osoba. Choć trzymał się wersji ze strojem sportowym. Włosów, jak twierdzi, nie widział, bo mężczyzna miał nisko naciągniętą czapkę.

– Przypomniałaś mu jego wcześniejsze zeznanie? – zapytał Kropke.

– Tak, ale mówił, że nie pamięta, co powiedział wcześniej. Był środek nocy, a Moen był zmęczony. Myślę, że komisarz ma rację – nie będziemy mieć z niego zbyt wiele pożytku.

– Co nie znaczy, że nie będziemy mieć oczu szeroko otwartych na biegaczy w dresach. Zarówno tych z zawiniątkami, jak i tych bez nich – powiedział Van Veeteren. – Wysokich i niskich. À propos, kiedy już Meuritz określi czas zgonu, przekonamy się, czy ofiara zginęła podczas wiadomości radiowych. Pamiętajcie, że w przypadku Simmela Meuritz trafił co do minuty.

Przełamał wykałaczkę na dwoje i rzucił przeciągłe spojrzenie na paczkę papierosów Bausena.

– No tak – powiedział Bausen. – Więc co myślicie? Mówcie śmiało.

Po lunchu zaplanujemy dalsze działania, ale teraz możemy zrobić burzę mózgów. Więc?

Bang beknął. Kropke zmierzył go spojrzeniem, które zapewne pozwoliło aspirantowi domyślić się, jak będzie wyglądać jego życie, kiedy dni komisarza Bausena dobiegną tu końca... To znaczy, o ile to faktycznie Kropke był następny w kolejce. Van Veeteren oparł się tak, że krzesło aż zatrzeszczało. Münster westchnął.

– Jedno jest pewne – powiedziała Beate. – Mam na myśli motyw. Maurice Rühme to trzecia ofiara Rzeźnika i trzecia osoba, która wprowadziła się do Kaalbringen w tym roku. Nikt mi nie wmówi, że to nie ma znaczenia.

## 19

Gra zapowiadała się obiecująco, ale po dziesięciu minutach okazało się, że wszystko idzie jak zawsze. Zwycięski wynik komisarza, 5:1, przeszedł najpierw w 6:6 i 7:10, aż skończyło się na zwykłym, pewnym 9:15. W kolejnych setach Münster zaczął wykorzystywać swoją ruchliwość i większą precyzję. Krótkie podania pod kątem przeplatał długimi, wysokimi, jak zwykle święcąc triumfy. Zawsze tak było. A może teraz komisarz nie był w najlepszej formie po tych kilku dniach folgowania sobie z papierosami i winem. Po 6:15, 8:15 i 5:15 miał chyba dość i ustąpili miejsca dwóm nastolatkom, którzy przez kilkanaście minut z rozbawieniem przyglądali się ich grze.

– Kiepskie światło mają na tej sali – wymamrotał Van Veeteren, kiedy schodzili do szatni.

– Fatalne – odparł Münster.

– Podłoga też nie najlepsza. Śliska.

– Dokładnie.

– No i trudno się gra pożyczonymi raketami.

– Beznadziejnie.

– Mimo wszystko pojutrze rozegramy sobie rundkę – zdecydował Van Veeteren. – Trzeba trzymać formę, jeśli mamy rozwiązać tę sprawę.

– Czemu nie – zgodził się Münster.

Jadalnia w See Warf była w większej części pusta, kiedy zasiedli do stolika pod jednym z okien. Tylko Cruickshank i Müller siedzieli kilka stolików dalej, tym razem w towarzystwie jakiegoś mężczyzny i kobiety z TV6. Van Veeteren rozmawiał już z całą czwórką na przeprowadzonej parę godzin wcześniej konferencji prasowej. Żadne z nich nie próbowało przerywać mu południowego odpoczynku.

– Ludzie przestali gdziekolwiek wychodzić – stwierdził Van Veeteren, rozglądając się wokół. – Trochę to nielogiczne. Przecież ostatnim razem zaatakował w domu. U Rühmego.

Münster pokiwał głową.

– Nabieram przekonania, że ta historia jest wyjątkowa – ciągnął Van Veeteren, próbując sałatki. – Mają tu wspaniałe ryby. Zwłaszcza turkota, o ile kolega lubi takie smaki.

– Wyjątkowa pod jakim względem? – zapytał grzecznie Münster.

– A cholera wie – odparł Van Veeteren, przełykając. – Po prostu mam przeczucie, a zazwyczaj słucham intuicji.

Münster pochylił się w stronę okna, żeby dojrzeć coś mimo refleksów odbijających się w szybie. Morze było ciemne i wzburzone. Pogoda popsuła się już przed południem, gęste chmury nadciągały z północnego wschodu, przesuwając się to w tę, to w drugą stronę. Przez cały dzień tęcze pokazywały się jedna po drugiej. Łodzie w przystani podskakiwały na wysokich falach. Nagle Münstera naszło wrażenie, że to wyraz wściekłości żywiołów, swoisty protest natury wobec ludzkich czynków... morderca na wolności i takie tam.

A może tak naprawdę chodziło raczej o kłótnię między nim i żoną? Nie udało mu się jeszcze skontaktować z Synn i słuchając zarozumiałych uwag komisarza, czuł ogarniającą go irytację. No, ale miał już pewne doświadczenie, zazwyczaj tak było. Liczył na to, że

i tym razem skończy się jak zwykle, byle tylko udało mu się ją złapać. Choć, delikatnie mówiąc, to dość samolubne rozważać swoje życie prywatne, kiedy społeczeństwo oczekuje od niego, że, najlepiej jak umie, będzie zastawiał pułapki na Rzeźnika. Czy też Człowieka z Toporem. Lub jaki tam przydomek najbardziej do niego pasuje.

– Trudno zrozumieć, jaki miał motyw – powiedział Van Veeteren.

– A musiał, do cholery, mieć dobry powód, żeby odrąbać głowy trzem osobom.

– Nie wierzy pan w wersję z szaleńcem?

– Skądże. Myślę, że wręcz przeciwnie, to szczegółowo zaplanowane zbrodnie. Miał zamiar zabić właśnie tę trójkę: Eggersa, Simmela i Rühmego. I zrobił to. Nie znajdziemy go, jeśli nie domyślimy się motywu, Münster. Motywu!

– A na jego liście nie ma już nikogo więcej?

Komisarz wypił łyk piwa i spojrzał na morze.

– A cholera wie – powtórzył. – Musimy nad tym porządnie przysiąść, Münster. Jest kilka możliwości i chciałbym, żebyśmy wybrali te najważniejsze.

– Jakie to możliwości? – zapytał Münster z obowiązku.

– Taaa – zaczął się zastanawiać Van Veeteren. – Na poczekaniu do głowy przychodzą mi tylko dwie. Pierwsza, najbardziej oczywista, jest taka, że między ofiarami istniał jasny, wyraźny związek. Że Rzeźnik miał istotny powód, by zabić właśnie tę trójkę. Jeszcze nie wiemy, o jaki związek może chodzić, ale możliwe, że gdy tylko go odnajdziemy, wszystko stanie się oczywiste i dostaniemy go na tacy.

Münster pokiwał głową.

– A pomysł Moerk?

– No właśnie. Na razie wpadliśmy tylko na to. Wszyscy trzej

przyjechali do Kaalbringen w tym roku, nie ma co do tego wątpliwości. Oczywiście to może być tylko przypadek, ale nie wydaje mi się. To jest jakaś droga, ale dokąd nas zaprowadzi?

– Niezbyt daleko – odparł Münster.

– No nie. Potrzebujemy czegoś więcej. Choć może jest tak, że już nic ich nie łączy, nic poza związkiem z mordercą. Można by pomyśleć, że lokalna policja powinna rozwiązać ten supeł przed nami, ale jeśli mamy tylko to, to by oznaczało...

– Że wszystko okaże się jasne jak słońce, kiedy go znajdziemy – skończył za niego Münster. – Ale nie wcześniej.

– Wcześniej gównem będziemy wiedzieć – sprecyzował Van Veeteren. – Chcesz coś słodkiego czy samą kawę?

– Samą kawę.

– Nawet jeśli pozwolimy sprawom biec własnym torem – powiedział Münster, starając się przy tym nie okazać zniecierpliwienia – to prędzej czy później wpadniemy na coś. Albo on uderzy kolejny raz. A swoją drogą, ile jest w mieście nowych osób? Może chce zabić je wszystkie...

– Około pięćdziesięciu, tak mówił Bausen. Ale miejmy nadzieję, że ma bardziej drobiazgowy motyw. Chyba powinniśmy być wdzięczni, że gazety nie rozdmuchały jeszcze tezy Moerk. Trochę trudno byłoby zapewnić policyjną ochronę wszystkim imigrantom. I tak już wystarczy tej paniki, którą mamy. Nie, musimy to rozwiązać jak najszybciej. Ja chciałbym jak najprędzej wrócić do domu.

Ja też, pomyślał Münster. Przez chwilę rozważał, czy by nie poprosić o podmianę – żeby zastąpili ich Reinhart i Rooth – ale oczywiście nie było to zbyt realne. Nie, chyba trzeba nastawić się na

to, że najbliższy czas spędzi w Kaalbringen. Kiedy tylko dodzwoni się do Synn, będzie musiał się nasłuchać...

– A jaka jest druga możliwość? – przypomniał sobie.

– Cóż. – Van Veeteren podrapał się po karku. – Taka, że to po prostu blef. Takie ABC... Czytałeś?

Münster potrząsnął głową.

– Zabójca zaaranżował serię morderstw, żeby zakamufłować fakt, że chciał zabić tylko jedną ofiarę. Zabija w porządku alfabetycznym, ale tylko trzecia ofiara, C, jest istotna. To znaczy z jego punktu widzenia.

– Aha – odparł Münster. – Zatem zabójstwo Eggersa i Simmel mogło być tylko manewrem odwracającym naszą uwagę? To o Rühmego chodziło? Przyznaję, że to śmiała teoria.

– Nie zapominaj, że równie dobrze to Eggers albo Simmel mogli być tą najważniejszą ofiarą. Taka teoria byłaby jeszcze śmielsza.

– To znaczy taka, że zabiwszy tę ofiarę, zabija dalej? Nie, to chyba niemożliwe z psychologicznego punktu widzenia.

– Nie niemożliwe, tylko może mniej prawdopodobne – odparł Van Veeteren. Zresztą równie dobrze może chodzić o numer 6 czy 13... choć nie wydaje mi się, żeby to była historia w stylu ABC.

– Więc co to za historia? – odważył się zapytać Münster po chwili milczenia.

Van Veeteren wolno mieszał kawę wykałaczką.

– Ten morderca – powiedział powoli Van Veeteren – jest najzwyczajszym obywatelem tego miasta i miał cholernie dobry powód, żeby zabić Heinza Eggersa, Ernsta Simmela i Maurice'a Rühmego. Wszyscy to mężczyźni, wszyscy wprowadzili się tu niedawno.



Świetnie, pomyślał Münster. To tyle wiemy.

– Ilu mamy kandydatów? – zapytał.

– Próbowałem wyliczyć – odparł Van Veeteren. – Jeśli odliczymy kobiety...

– A możemy?

– Nie, ale i tak je odliczamy. Tak samo starców i dzieci, co w gruncie rzeczy też jest nieuzasadnione. I wychodzi nam mniej więcej piętnaście tysięcy osób.

– Wspaniale. I nie możemy poprosić wszystkich tutejszych mężczyzn w wieku od piętnastu do siedemdziesięciu pięciu lat o zgłoszenie się na komisariat w celu przedstawienia alibi?

– Niestety – odpowiedział Van Veeteren. – Kropke z pewnością nie miałby nic przeciwko temu, żeby ich wszystkich wrzucić do komputera. Pewnie skończyłby przed Bożym Narodzeniem, jak sądzę.

– Przydałaby się jakaś droga na skróty.

– Znajdziemy ją. – Van Veeteren dopił kawę. – Po to tu jesteśmy.

– Ach tak. Tak tylko rozmyślałem na głos.

– A kogo według ciebie powinniśmy obstawić? – zapytał Van Veeteren, kiedy Münster stał z ręką na klamce.

– Proszę?

– Cóż. Nawet jeśli to nie jest historia w stylu ABC, to miło byłoby móc zignorować ze dwa morderstwa. Skupić się tylko na jednym, jakby te pozostałe nigdy nie miały miejsca... Wtedy nie trzeba się dekoncentrować. Jeśli rozwiążemy tę jedną sprawę, to rozwiążemy też te inne. Trzy pieczenie przy jednym ogniu...

Münster pokiwał głową.

– Maurice Rühme – stwierdził. – Po co grzebać się w starych

zwłokach, skoro mamy świeże.

– Też tak sędzę. Daleko zajdziesz, Münster.

– Na razie wystarczy mi, jeśli dojdę do łóżka. Dobranoc, komisarzu.

## 20

Kiedy tylko się obudziła, zeszła do kiosku po gazety.

Był to jeden z jej niedzielnych rytuałów. Zazwyczaj udawało się obrócić w obie strony, zanim zagotowała się woda na herbatę. Dziś wyprawa trwała cztery razy dłużej. Pani Sorensen zatrzymała ją tuż przed drzwiami – chciała, by ktoś rozwiał jej obawy, pan Markovic zagadnął ją z balkonu, bo zamierzał się podzielić swoimi przemyśleniami, a pani deMaar z kiosku odmówiła sprzedania gazet, dopóki nie dowie się, jak posuwa się polowanie na zabójcę. Zaś mieszkająca tu od niedawna rodzina – mąż i żona z małymi, rozwrzeszczanymi dziećmi – wdała się z nią w dyskusję o policji, jej kompetencjach i obowiązku chronienia zwykłych, przyzwoitych obywateli. Udało jej się skończyć rozmowę, dopiero kiedy wspomniała o kilku ważnych przesłuchaniach, które czekają ją po lunchu...

– Przesłuchania? Doprawdy? – mruknął dozorca Geurtze, który pojawił się nie wiadomo skąd. – Cóż, zawsze to coś. A kiedy spodziewacie się znaleźć następną ofiarę?

Nie dało się nie zauważyć tej złośliwej ironii. Ale z drugiej strony Geurtze nigdy nie miał dla nikogo dobrego słowa. Stał się taki, odkąd parę lat temu ktoś podpalił na jego działce domek dla królików. Nawet go rozumiała; w jego oczach dobro zniknęło ze świata. Nie widział powodu, by po innych spodziewać się czegoś innego niż

natręctwa i złych intencji. W ten sposób człowiek przynajmniej oszczędza sobie rozczarowań.

W sumie może to i niegłupie nastawienie, zwłaszcza jeśli jest się samotnym, starszym mężczyzną, mającym problemy z trzymaniem moczu, jaskrę i arytmie.

Jeśli jednak jest się kobietą w kwiecie wieku, powinno się chyba mieć nieco bardziej wyważone podejście do świata.

Głupi dziad, pomyślała Beate, zamykając za sobą drzwi.

Doniesienia wszystkich gazet były w dużej mierze zgodne. Od pierwszej zbrodni upłynęło półtora miesiąca, od drugiej – dwanaście dni, od trzeciej – trzy... chyba czas najwyższy, żeby policja przestała milczeć. Jakie mają tropy? Nad jakimi hipotezami pracują? Czy są konkretni podejrzani? Opinia publiczna ma prawo wiedzieć!

Mimo wszystko krytyka nie była tak zjadliwa jak ta wygłoszona pod kioskiem. Wyglądało na to, że wciąż nie stracono zaufania do Bausena i do dwóch przysłanych tutaj ekspertów. Najwidoczniej stosowane przez Bausena sztuczki tresera odniosły sukces także podczas wczorajszej konferencji prasowej.

Za to bez skrupowania oddano się spekulacjom i domysłom.

Kim naprawdę jest ten straszny zbrodniarz?

Czy to szaleniec? Psychopatyczny zabójca? Przeciętny mieszkaniec Kaalbringen, mąż i ojciec wiodący uporządkowane życie?

Rzecz jasna dla prasy ostatnia hipoteza była najatrakcyjniejsza – w końcu mógł to być ktokolwiek! Ktoś, naprzeciwko kogo siedziało się w autobusie. Z kim rozmawiało się w kolejce na poczcie. Może któryś z nauczycieli zatrudnianych w szkole na zastępstwa? Na ten temat wypowiedzieli się psychologowie różnej maści. Jedna z gazet

w niedzielnym dodatku zamieściła listę podobnych zbrodni z różnych lat, w większości dokonywanych za granicą. Rolliers – morderca z Nicei, Günter Katz – rozpruwacz z Vermsten, Ernie Fisher – ćwiartujący kobiety w Chicago w latach trzydziestych, do tego dusiciel z Bostonu i cała litania innych uznanych osobistości świata zbrodni.

Ponieważ prowadzący dochodzenie nie udzielał zbyt wielu informacji, w prasie roilo się też od teorii i wskazówek. Na pierwszej stronie „Neuwe Blaaf” przedstawiono tak zwaną teorię parku Leisnera. Opierała się na tym, że w przypadku co najmniej dwóch zabójstw (Simmelsa i Rühmego) sprawca wyruszył z tego właśnie miejsca. Dlatego to w tej okolicy należało szukać jego miejsca zamieszkania. C.C. Gautienne z „Poost” napisał, że „przyspieszone tempo, w jakim działa morderca, bez wątpienia wskazuje na to, że kolejnej ofiary można się spodziewać na początku nadchodzącego tygodnia. We wtorek, najpóźniej w środę”. Natomiast w „Telegraaf” można było przeczytać o najskuteczniejszych metodach obrony przed Rzeźnikiem, jak również o przepowiedni wróżki Ywonne, która twierdziła, że następną ofiarą będzie czterdziestodwuletni mężczyzna pracujący w branży budowlanej.

Beate westchnęła.

I wreszcie „de Journaal” – swoisty głos Kaalbringen. Oczywiście to ta gazeta poświęciła morderstwom najwięcej miejsca, bo aż osiemnaście z trzydziestu dwóch stron. Poza tym nagłówek na pierwszej stanowił podsumowanie powszechnego strachu i nastrojów panujących w mieście. Wielkie jak wół litery ciągnęły się na całą szerokość strony:

**KTO BĘDZIE NASTĘPNĄ OFIARĄ?**

Beate zrzuciła gazety na podłogę. Padła z powrotem na poduszkę i zacisnęła powieki.

Gdyby mogła posłuchać jedynie głosu swojego ciała, to najchętniej naciągnęłaby na siebie kołdrę i zasnęła.

Ale była jedenasta. Najwyższy czas na przebieżkę. Trzy kilometry na zachód, wzdłuż morza, a potem cztery, pięć z powrotem przez las. Wciąż wiało, ale nie zanosilo się na deszcz. W tamtą stronę będzie biegła z wiatrem, a to najważniejsze. W lesie już nie, ale tam i tak przecież można liczyć na osłonę drzew.

Bez względu na wszystko nie wychodź sama! – usłyszała wczoraj od mamy, gdy rozmawiały przez telefon. Nie wierz w to, że on nie poluje na kobiety, a to, że jesteś policjantką, niczego tu nie zmienia!

Gdyby powiedział jej to kto inny, może byłaby skłonna choć trochę wziąć tę przestrożę do serca, bo to, co mówiła mama, już dawno nauczyła się wpuszczać jednym uchem, a wypuszczać drugim. Ale tym razem wyjątkowo zapamiętała jej słowa. Zapewne dlatego, że szukała wymówki, żeby się jakoś wymigać.

Rzecz jasna od biegania. Miała ochotę posłuchać, co mówi jej ciało, i zostać w łóżku parę godzin. Odpocząć. O nie! Za nic!

Kwadrans później była już przebrana i gotowa. Zapięła dres wysoko pod szyję, a na włosy założyła szeroką czerwoną opaskę.

Rzut oka w lustro. Całkiem nieźle.

I niestraszny jej wiatr, niepogoda czy nawet zbrodniarz...

Zmierzch nadszedł szybko. Opadł niczym zasłona i kiedy wróciła do domu, zrobiło się już niemal ciemno, chociaż była dopiero siódma. Czuła się do bólu zmęczona. Dwie godziny joggingu i stretchingu, a potem cztery na komendzie. I znów plany i przydział zadań. To

musiało odcisnąć swoje piętno. Trudno się z tym nie zgodzić, nawet jeśli jest się kobietą w kwiecie wieku.

Mimo wszystko nie padła od razu na łóżko. Nie zważając na protesty organizmu, przyrządziła sobie kolację: omlet z warzywami i serem. Pozmywała i nastawiła kawę. Dwie godziny spokojnej pracy przy biurku – taki był jej cel. Dwie godziny spędzone w majestacie samotności, w ciszy i mroku, które niczym kopuła przykryją myśli, notatniki, zapiski i spekulacje. Chciała rozwiązać tę sprawę, pracując właśnie wieczorami. To tutaj, w skupieniu pochylona nad własnym biurkiem, inspektor Beate Moerk miała namierzyć, zidentyfikować i przechytrzyć Rzeźnika!

Jeśli nie dziś wieczorem, to na pewno wkrótce.

Czy w tym kraju znajdzie się jakiś policjant, który miałby bardziej romantyczne podejście do pracy niż ona? Mało prawdopodobne. No ale była też inna zasada, której Beate starała się nie łamać, choć sama nie wiedziała, skąd ją zna:

Jeśli człowiek choć na krótką chwilę nie przysiądzie nad tym, co naprawdę chce robić, to dzień jest stracony.

Święta prawda.

Trójkąt prezentował się bardziej okazale niż kiedykolwiek. Trzy nazwiska – każde w innym wierzchołku. Eggers – Simmel – Rühme. A pośrodku – znak zapytania.

Znak zapytania, który zniknie, odsłaniając nazwisko zabójcy... nazwisko, które ludzie będą mieli na ustach przez długie lata. Jeśli nie wszyscy, to przynajmniej mieszkańcy Kaalbringen. Bo ludzie nie zapominają o sprawcach złych czynów. Politycy, artyści, gwiazdy mogą zniknąć w mroku dziejów, ale nazwiska morderców przetrwają

w pamięci.

Trzy ofiary. Trzech mężczyzn, którzy niedawno wprowadzili się do miasta. Tak różnych od siebie, jak tylko można sobie wyobrazić. Bo czy istnieją większe skrajności?

Wyrzutek społeczeństwa – narkoman z kilkoma wyrokami.

Szanowany, zamożny, ale niezbyt sympatyczny przedsiębiorca.

Młody lekarz, syn jednej z najbardziej szanowanych w mieście osób.

Im dłużej wpatrywała się w te nazwiska, swoje notatki, przypuszczenia i bazgroły, tym bardziej nabierała przekonania, że pojawienie się trzeciej ofiary absolutnie nie zwiastowało przełomu.

Wręcz przeciwnie. Im więcej, tym gorzej, jak sądzono.

Kwadrans przed dwudziestą trzecią stwierdziła, że oczy same jej się zamykają. Zgasiła światło, umyła zęby i wsunęła się do łóżka.

Jutro popracuje. Jutro będzie nowy dzień. I znów zmudna młocka: pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź... A może to właśnie taka mozolna robota przyniesie wreszcie skutek. Z całej masy faktów, protokołów i nagrań powoli wyłoni się jakiś punkt, jakaś podstawa do tego, by zadać to najważniejsze pytanie:

Kim on jest?

A po tym pytaniu pojawi się też odpowiedź.

Ale o ile bardziej chciałaby, by twarz mordercy pokazała się jej we śnie: kontur za konturem, rysa za rysą. Gdyby tylko ciemności wyrzeźbiły portret, na tyle wyraźny, że można by go złożyć jutro rano na biurku Bausena.

Droga na skróty. Jakaś ściągą, bryk pozwalający przejść całe to męczące dochodzenie.

O ileż chętniej przyjąłaby takie rozwiązanie.



## 21

Jean-Claude Rühme w pełni wyglądał na przedstawiciela swojej klasy. Barczysty sześćdziesięciolatek z posiwiałą grzywą i ostrymi, ale całkiem zastygłymi rysami. Coś w pół drogi między człowiekiem a posągiem, pomyślał Van Veeteren. A może skamieniał z żalu?

Przyjął go w swoim gabinecie, siedząc za ciemnym biurkiem intarsjowanym drewnem w kolorze czerwonej ochry. Wstał wyprostowany i przywitał się z nim.

– Proszę o wybaczenie, panie komisarzu. Od czasu tego nieszczęścia nie najlepiej śpiam. Proszę siadać. Napije się pan czegoś?

Głos miał głęboki i przekonujący.

– Poproszę szklankę wody – odparł Van Veeteren. – O ile to nie problem. Proszę przyjąć szczerze wyrazy współczucia, doktorze Rühme.

Rühme krzyknął coś do telefonu i po pół minuty pojawiła się ciemnoskóra dziewczyna z dwiema butelkami na tacy.

– Dziękuję, że daliście mi tych parę dni. Teraz jestem gotowy, by odpowiedzieć na wasze pytania.

Van Veeteren pokręcił głową.

– Powiem krótko, panie doktorze. Mam tylko kilka konkretnych pytań, ale najpierw chciałbym pana prosić, żeby, pomagając nam, użył pan całej swojej inteligencji i intuicji. To niezmiernie ważne.

Zabójstwo pańskiego syna chciałbym potraktować jako pojedynczy przypadek, nie łączyć go z dwoma pozostałymi.

– Dlaczego?

– Powodów jest wiele. Chyba przede wszystkim wynika to z techniki prowadzenia śledztwa. Łatwiej jest się skupić na jednej rzeczy, nie na wszystkim naraz.

– Rozumiem.

– Jeśli więc ma pan choć najmniejsze podejrzenie co do motywu, jaki mógł stać za... co do tego, kto mógł chcieć usunąć pana syna, to proszę się nie wahać i skontaktować się ze mną. Jestem do dyspozycji całą dobę. Może już teraz coś panu przychodzi do głowy?

– Nie... nie mam pojęcia.

– Rozumiem, że żal może człowieka paraliżować, ale jeśli tylko coś się panu nasunie...

– Oczywiście, panie komisarzu, choć zapewniam, że... No ale mówił pan, że ma konkretne pytania?

Van Veeteren wypił łyk wody. Odruchowo szukał ręką wykałaczki, ale tym razem postanowił dać sobie z nią spokój.

– Jak opisałby pan relację między panem i pańskim synem?

W odpowiedzi doktor Rühme uniósł brew o milimetr. Tylko tyle.

– Dziękuję, rozumiem – odparł Van Veeteren.

Nabazgrał coś nieczytelnie w notatniku i przez kilka sekund się nie odzywał.

– Nie, nie sędzę, żeby pan rozumiał. Nasze relacje opierały się na ogromnym wzajemnym szacunku.

– Właśnie to sobie zapisałem. Czy jest pan żonaty?

– Rozwiodłem się dwanaście lat temu.

– Więc pana syn miał wtedy... dziewiętnaście lat, tak?

– Tak. Czekaliśmy z rozwodem, aż on wyprowadzi się z domu. Przeprowadziliśmy separację jeszcze tego samego miesiąca, kiedy Maurice zaczął studia medyczne w Aarlach.

– Od tamtej pory syn mieszkał w Aarlach?

– Tak, dopóki w marcu tego roku nie dostał posady w naszym szpitalu.

– Rozumiem. – Van Veeteren wstał i zaczął powoli krążyć po pokoju z rękoma założonymi za plecy. Przystanął przed regałem i przejrzał kilka tytułów. Potem podszedł do okna i wyjrzał na elegancko przycięte krzewy i trawnik. Doktor Rühme zerknął na zegarek i chrząknął.

– Za dwadzieścia minut mam pacjenta – powiedział. – Może pan komisarz przejdzie do następnych pytań? To znaczy, jeśli jeszcze jakieś pan ma.

– Kiedy ostatnim razem odwiedził go pan na Leisner Allé?

– Nigdy tam nie byłem.

– Jakie wrażenie zrobiła na panu Beatrice Linckx?

– Dobrze. Odwiedziła mnie kilka razy. Sama, bez Maurice’a.

– Żeby przekazać wiadomość od niego?

Doktor Rühme nie odpowiedział.

– Pański syn zaczął studia lekarskie w 1982 roku, czyli przed jedenastu laty. Kiedy dostał dyplom?

– Dwa lata temu.

– Studiował dziewięć lat? To chyba długo?

– Zdarzają się tacy, którym zajmuje to jeszcze dłużej.

– A pan jak długo studiował?

– Pięć lat.

– Czy studia Maurice’a przedłużały się z jakiegoś konkretnego

powodu?

Doktor Rühme się zawahał, ale tylko przez sekundę.

– Tak – odpowiedział.

– Ma pan coś przeciwko temu, żeby go zdradzić?

– Kokaina – powiedział doktor i splótł dłonie na biurku. Van Veteren pokiwał głową i znów coś zapisał.

– Kiedy z tym skończył?

– Dowiedziałem się o tym w 1984 roku. Skończył definitywnie dwa lata temu.

– Czy wyciągnięto wobec niego jakieś konsekwencje prawne?

Doktor pokręcił głową.

– Nie, nic z tych rzeczy.

– Rozumiem. Rozumiem, że trudności udało się mimo wszystko pokonać?

Doktor nie odpowiedział.

– A ta posada w szpitalu? Z tego co wiem, o nią niełatwo. To też dało się jakoś załatwić?

Rühme wstał.

– To pańskie słowa, nie moje. Proszę o tym pamiętać.

– Pamięć mam dobrą.

– Dziękuję, panie komisarzu. Obawiam się, że nie mam już czasu na więcej pytań...

– Nie szkodzi. Nie muszę już o nic pytać.

– Przyszedłem, żeby porozmawiać z panią o pani synu, Maurisie – powiedział Bausen.

– Maurice nie żyje – odparła Elisabeth Rühme.

Bausen pokiwał głową i chwycił ją pod ramię.

– Lubi pani spacerować po parku?

– Lubię liście. Zwłaszcza kiedy już opadną z drzew... Ale teraz jeszcze nie zaczęły opadać. Wciąż mamy wrzesień, prawda?

– Tak – odpowiedział Bausen. – Często spotykała się pani z Maurice'em?

– Z Maurice'em? Nie, nie za często. No, może czasami. Ale ona, Beatrice, przychodzi często z kwiatami i owocami. Chyba nie przestanie przychodzić teraz, kiedy...?

– Na pewno nie.

– Czasami czuję się samotna. Oczywiście lubię być sama, ale czasami miło, gdy ktoś człowieka odwiedzi. Choć, co dziwne, zazwyczaj największą przyjemność sprawia mi to potem. To znaczy, kiedy ktoś był z wizytą i już sobie poszedł. Wtedy czuję się taka podniesiona na duchu... spełniona. Trudno to wyjaśnić.

– Kiedy widziała pani Maurice'a po raz ostatni?

Elisabeth Rühme przystanąła i zdjęła okulary.

– Muszę je przetrzeć. Nic nie widzę. Ma pan chusteczkę?

– Niestety nie.

Założyła okulary z powrotem.

– Kiedy ostatnio spotkała pani Maurice'a? – powtórzył Bausen.

– Trudno powiedzieć. Jest pan z policji, tak?

– Nazywam się Bausen. Jestem przełożonym komisariatu w Kaalbringen. Nie rozpoznaje mnie pani?

– No tak. Nazywa się pan Bausen.

Bausen delikatnie ją zawrócił i ruszyli z powrotem w stronę żółtego pawilonu.

– Ładnie tutaj – powiedział.

– Tak. Zwłaszcza kiedy liście opadną.

– A pani drugi syn... Pierre?

– Jest chory. Już nigdy nie wyzdrowieje. To po tym wypadku w kościele. Nie słyszał pan o nim?

– Słyszałem.

– Od dawna go nie widziałam – powiedziała zamyślona. – Może teraz on będzie mógł zostać lekarzem... zamiast Maurice’a. Myśli pan, że da się to jakoś załatwić?

– Może – odparł Bausen. Na spotkanie wyszła im pielęgniarka w białym czepku.

– Dziękuję za spacer i rozmowę – powiedział Bausen. – Poproszę Beatrice, żeby panią odwiedziła w przyszłym tygodniu.

– Dziękuję. Miło było się z panem przejść. Mam nadzieję, że nie sprawiłam kłopotu.

– Najmniejszego – zapewnił ją Bausen. – Najmniejszego.

Ordynator Rühme i jego wspaniała rodzina, pomyślał, idąc w stronę parkingu, i sięgnął po fajkę.

– Pójdziemy – powiedziała Beate. – Nie ma sensu jechać samochodem te osiemset metrów.

I tak oto spacerował teraz ulicami Kaalbringen u boku pani inspektor. Nagle znów przyszła mu do głowy Marie, córka aptekarza. Myśl pojawiła się sama, wolał nie wnikać dlaczego. Dwie rozmowy z Synn nie wyjaśniły wszystkiego, ale z pewnością jakoś się to ułoży. Tak, na pewno znów wszystko będzie jak zwykle, jeśli tylko uda mu się stąd wrócić. Jeśli tylko uda mu się ją wkrótce zobaczyć.

Nie ma co do tego wątpliwości.

Inspektor Moerk nie miała rudych włosów. Przeciwnie – były ciemnobrązowe, wręcz czarne. Pilnował się, żeby nie iść z nią ramię w ramię... Utrzymanie właściwego dystansu wymagało sporo skupienia i kiedy już doszli na miejsce, nie bardzo pamiętał, o czym rozmawiali w drodze.

Mała strata, pomyślał. Pewnie w większości rozmowa dotyczyła nazw ulic i placów, które mijali, ale i tak zdziwił się, że nie pamięta. Najwidoczniej był wytrącony z równowagi. Dręczył go niepokój, którego nie dało się tak łatwo zlekceważyć. A na pewno duchowe rozterki nie są najlepszym punktem wyjścia w pracy śledczego. Co się z nim, do cholery, dzieje?

– I jesteśmy. Wejście jest tam. Jak widać, park Leisnera jest po drugiej stronie ulicy.

Münster pokiwał głową.

– To co, wejdziemy? – zaproponował, jakże odkrywco.

– Jasne – odparła i spojrzała na niego nieco zakłopotana.

Beatrice Linckx powitała ich i posłała im niewyraźny uśmiech. Münster zauważył, że na podłodze w przedpokoju leży nowy dywan. Po krwi nie było ani śladu, ale Münster wiedział, że drewniana podłoga pod spodem i tak jest nią przesiąknięta.

Plam z krwi się nie czyści, tylko zakrywa – mawiał Reinhart.

Była też jakaś historia o Odyseuszu, który umył ręce w morzu, ale brudna woda wciąż wracała na brzeg. Münster nie pamiętał jednak, o co dokładnie chodziło.

Słońce wpadało do salonu przez wysokie okna, wyraźniej obnażając nie najlepszy stan Beatrice.

Wprawdzie wyglądała na opanowaną i wypoczętą, ale ta wierzchnia warstwa była naprawdę cienka. Nie grubsza od lodu, który pojawia się w nocy i znika rano. Münster miał nadzieję, że Beate się zorientuje i nie będzie naciskać.

Po chwili zrozumiał, że niepotrzebnie się niepokoił. To było jej przesłuchanie, Beate. To ona trzymała cugle i pilnowała, by nic nie wymknęło się spod kontroli. Nie podzielili się wcześniej zadaniami, ale w miarę jak rozmawiali, jak opróżniały się kolejne filiżanki herbaty, a mdłe ciasteczka (które najwidoczniej Beatrice kupiła w pośpiechu w sklepie na rogu) znikwały z talerza, Münster nabierał coraz większego respektu. Sam lepiej by tego nie poprowadził. Zresztą w pełni zadowoliła go dość bierna rola – siedział cicho w rogu kanapy i jedynie od czasu do czasu wtrącił jakieś pytanie od siebie.

Absolutnie go to zadowoliło. Okazało się, że Beate ma nie tylko



piękne włosy i jest ładna, ale do tego jest też cholernie dobrą policjantką.

– Od jak dawna pani i Maurice byliście razem?

– Nie tak długo.

Beatrice Linckx odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

– Parę lat?

– Tak. Spotkaliśmy się we wrześniu 1988 roku. Zamieszkaliśmy razem jakiś rok później.

– Czyli byliście ze sobą od czterech lat?

– Tak.

I to nie jest tak długo? – pomyślał Münster.

– Urodziła się pani w Aarlach?

– Nie, w Geintz, ale mieszkałam w Aarlach od dwunastego roku życia.

– Ale nie spotkała pani Maurice’a Rühmego przed rokiem 1988? Wtedy mieszkał w Aarlach już od sześciu lat, jeśli się nie mylę.

– Aarlach nie jest małym miastem – odparła Beatrice Linckx, posyłając im kolejny błady uśmiech. – Nie tak małym jak Kaalbringen... choć na pewno parę razy minęliśmy się w tłumie. Nawet kiedyś o tym rozmawialiśmy.

– Wie pani, jak wyglądało jego życie, zanim się spotkaliście?

Beatrice się zawahała.

– Tak. Wiem całkiem sporo. Ale nie rozmawialiśmy o tym. Nie chciał, to był dla niego zamknięty rozdział.

– Rozumiem. I nie miał żadnych starych znajomych z tamtego okresu? To znaczy takich, z którymi wciąż utrzymywał kontakty?

– Niewielu.

– Ale jakichś miał?

Beatrice zaczęła się zastanawiać.

– Dwóch.

– Czy może nam pani podać ich nazwiska?

– Teraz?

– Tak.

Beate wręczyła jej swój notatnik i Beate zapisała w nim nazwiska w dwóch rzędkach.

– Numery telefonów też podać?

Beate skinęła głową. Beatrice zniknęła w drzwiach i po chwili wróciła ze swoim notesem.

– Dziękuję – powiedziała Beate, kiedy już dostała z powrotem notatnik. – Czy to dla pani bardzo nieprzyjemne, że tak drążymy?

– Wykonujecie tylko swoją pracę, jak rozumiem.

– Dlaczego przeprowadziliście się do Kaalbringen?

– Cóż. – Beatrice znów się zawahała. – Oczywiście na początku Maurice był bardzo negatywnie nastawiony do tego pomysłu. Nie wiem, czy wiedzą państwo, że jego ojcem jest Jean-Claude Rühme?

Beate przytaknęła.

– Obawiam się, że to ja go namówiłam. Przede wszystkim chodziło o pracę, chyba państwo rozumiecie. Te dwa wolne etaty ogłoszono równocześnie, tego samego dnia. Uznałam, że to... znak. Maurice sądził, że to coś innego.

– A gdzie państwo pracowali w Aarlach?

– Maurice był czasowo zatrudniony na oddziale paliatywnym. To nie była jego specjalizacja. Ja pracowałam w trzech, czterech szkołach.

– I nagle każde z was dostało wymarzoną pracę w Kaalbringen?

– Nie do końca wymarzoną, ale i tak o wiele lepszą. Współmierną

do naszego wykształcenia.

Beate Moerk przełożyła kartkę w notatniku i chwilę się zastanawiała. Beatrice dołała im herbaty. Münster ukradkiem przyglądał się im obu. Trzeci fotel był pusty – w tym miejscu próbował sobie wyobrazić Synn, ale nie bardzo mu to szło. Uderzyło go, że wszystkie trzy były mniej więcej w tym samym wieku. Zaczął się więc zastanawiać, czemu tak go to zdziwiło. Może nadeszła kolej na jego pytanie? Czy na to czekała Beate?

– Może przejdziemy do najważniejszego – zaproponował. – Tak, żebyśmy nie musieli pani zbyt długo męczyć.

– Dobrze.

– Czy domyśla się pani, kto mógł zabić pani narzeczonego?

Bez wątpienia pytanie było nieco brutalne. Widział, że Beate na niego spojrzała, ale Beatrice odparła zupełnie spokojnie.

– Nie. Nie mam pojęcia.

– Czy Maurice miał jakichś wrogów? – Beate podchwyciła temat, skoro już Münster go wywołał. – Czy był ktoś, kto z jakiegoś powodu mógł go nie lubić?

– Nie, wydaje mi się, że większość osób go lubiła.

– Nie miał wrogów? Może w pracy? – próbował dalej Münster, ale Beatrice tylko pokręciła głową.

– Zanim stąd pójdziemy – powiedziała Beate – chciałabym panią prosić o spisanie listy znajomych, z którymi Maurice miał najbliższy kontakt. Chyba że już teraz najważniejsze nazwiska przychodzą pani do głowy.

– Chodzi pani o takich, którzy mogli go zabić?

Po raz pierwszy w jej głosie dała się słyszeć lekka wrogość.

– W większości przypadków zbrodni dokonują bliscy – wtrącił

Münster. – Trudno się z tym pogodzić, ale tak niestety jest.

– Ale czego wy właściwie szukacie? – zapytała Beatrice. Na jej policzkach zaczęły się pojawiać rumieńce. – Nikt nie przychodzi mi do głowy... nie mam żadnych, ale to żadnych podejrzeń. Byłam pewna, że to ten szaleniec. Myliłam się? Przecież zabił już dwie osoby, które nie miały nic wspólnego z Maurice'em.

– Proszę wybaczyć – powiedziała Beate. – Musimy niestety zadawać wszelkie możliwe pytania. Czasami mogą się wydawać dziwne lub wścibskie. Ale czy przynajmniej może nam pani obiecać, że się pani odezwie, jeśli przypomni sobie pani cokolwiek, co może się wiązać z zabójstwem?

– Może chodzić o jakąś rozmowę przez telefon, może ktoś powiedział coś dziwnego, może Maurice dziwnie się zachował w tej czy innej sytuacji – dodał Münster.

– Tak, oczywiście – odparła Beatrice. – Absolutnie nie mam zamiaru krytykować policji. Oczywiście chcę tylko, żebyście go znaleźli.

– Dobrze – powiedział Münster. – A skoro już wspomnieliśmy o znajomych... Czy Maurice utrzymywał jakiegokolwiek kontakty z doktorem Mandrijnem? On też pracuje w szpitalu.

Beatrice chwilę się zastanawiała.

– Może trochę, ale nie za dużo. Nie jestem pewna, o kogo chodzi, ale Maurice kiedyś o nim wspominał.

Beate coś zanotowała i przygryzła długopis.

– Pani pracuje w zakładzie Seldona w Kirkenau? – zapytała.

– Tak.

– Jako kuratorka?

– Raczej jako psycholożka.

- A czy ma pani jakiś kontakt z Pierre'em, bratem Maurice'a?
- Z nim nikt nie ma kontaktu.
- Rozumiem.

Kiedy wyszli, znów się rozpadało. Beate zaproponowała więc piwo w barze Pod Niebieskim Okrętem – zgodził się bez większych oporów. Wprawdzie wiali w siebie tyle herbaty, że przez najbliższych kilka godzin nie groziło im odwodnienie, ale zapoznanie się z tym miejscem było niegłupim pomysłem. O ile dobrze pamiętał, to właśnie stąd druga ofiara, Ernst Simmel, wyruszyła w ostatnią przechadzkę w swoim życiu.

Otworzył drzwi do baru i szarmancko się uklonił, przepuszczając Beate.

Co ja, do cholery, wyprawiam? – pomyślał.

– Jesteś żonaty? – zapytała, kiedy tylko usiedli.

Münster wyciągnął portfel ze zdjęciem Synn.

– Bardzo ładna – powiedziała Beate. Świetnie, w takim razie nie muszę się wysilać, dodała w myślach.

– Mam też dwoje dzieci. A ty?

– Ani jednego – uśmiechnęła się Beate. – Na razie.

– Na zdrowie! – Münster odwzajemnił jej uśmiech.

## 23

– Kokaina? – zapytał Bausen.

– W każdym razie jest to jakieś ogniwo łączące Rühmego z Eggersem – powiedział Kropke.

– Mało prawdopodobne – stwierdził Münster.

– To raczej słabe ogniwo – dodał Van Veeteren. – Nie zapominajmy, że kokaina to dość luksusowy narkotyk. Nie sądzę, żeby Heinz Eggers i jego kumple ćpali coś tak wyrafinowanego... To po prostu nie ta półka.

Bausen pokiwał głową.

– Tak czy inaczej, musimy zbadać ten trop. Chociaż biorąc pod uwagę, ilu ludzi teraz ćpa, to zapewne wynik reguł statystyki, nic więcej.

– Dwóch na trzech? – zapytała Beate.

– Przyznaję, wysoki odsetek. Zajmiemy się tym. Zresztą nie za bardzo jest się za co złapać.

– Jak daleko jest z Selstadt do Aarlach? – zapytał Münster.

– Jakież sto pięćdziesiąt, dwieście kilometrów – odpowiedział Bausen

– Sto osiemdziesiąt pięć – sprecyzował Kropke.

– Po prostu chciałem cię sprawdzić – odparł Bausen. – Van Veeteren?

Van Veeteren przestał przekładać monetę między knykciami.

– No więc – powiedział – sądzę, że cholernie ważne jest, żebyśmy tak szybko jak to możliwe, dowiedzieli się wszystkiego o latach, które Rühme spędził w Aarlach. Rozmawiałem z Melnikiem, tamtejszym szefem policji, obiecał, że przydzieli do tego zadania dwóch ludzi. Właściwie już to zrobił. Prześlę nam raport, kiedy tylko będą gotowi. Za parę dni, mam nadzieję. Może za tydzień.

– I co wtedy? – zapytał Kropke.

Zobaczymy – odparł Van Veeteren. – Jeśli nic się nie znajdzie, możemy przynajmniej porównać wszystkie nazwiska z tymi z materiałów dotyczących Eggersa i Simmela. To chyba zadanie dla pana i pańskiego komputera?

Kropke zmarszczył czoło, ale po chwili twarz mu się rozjaśniła.

– No dobrze. Może to niegłupi pomysł.

– No tak – wtrącił się Bausen. – A co z sąsiadami? Mooser, jak wam poszło?

Mooser nerwowo przeglądał swoje notatki.

– Udało nam się porozmawiać ze wszystkimi z wyjątkiem dwóch osób. Razem dwudziestu sześciu. W środę między dwudziestą drugą a drugą w nocy nikt nic nie widział. Bo o te godziny nam chodziło, prawda?

– Zgadza się – odparł Bausen. – Meuritz obstawia ten przedział czasowy. W tym przypadku woli nie precyzować... sądzę zresztą, że się nie da. Tak sobie myślę, że nasz kochany Rzeźnik ma cholerne szczęście. Simmela śledził przez, praktycznie rzecz biorąc, całe miasto. Teraz przeszedł sobie przez ulicę, zadzwonił do Rühme'go i zabił go. I nikt go nie widział. Ani jeden świadek...

– Nie licząc Moena – sprostowała Beate.

– No tak – westchnął Bausen. – Mamy Moena i Peerhovensa...

dziewięćdziesięcioczerolatka i lekko wstawionego amatora nocnego życia.

– No nic, i tak go złapiemy – powiedział Van Veeteren. – Myślę, że niedługo zwęszymy jakiś trop.

– A co robimy teraz? – zapytała Beate.

Bausen przekartkował notatnik.

– Ty i może... Münster... Co pan na to?

Münster skinął głową.

– Zajmiecie się szpitalem. Znajomi z pracy i te sprawy. Zobaczcie, czego można się tam dowiedzieć. Daję wam wolną rękę.

– Dobrze – przytaknęła Beate.

– Kropke i Mooser... myślę, że musicie jeszcze trochę porozmawiać z sąsiadami. Pochodźcie też po domach wokół parku Leisnera... Kropke, przygotujesz plan. Aha, i weźcie ze sobą Banga, potrzebuje trochę ruchu. Tylko pamiętajcie, że absolutnie musicie najpierw spisać pytania. Kropke, oczywiście kontynuuj sprawdzanie hiszpańskiego okresu w życiu Simmela. Na nic jeszcze nie trafiłeś?

Kropke pokręcił głową.

– Sporo tego jest, ale nic istotnego.

– A ja i komisarz Van Veeteren zbadamy kwestię tego topora. Technicy są dość tajemniczy, ale przypuszczają, że to specjalne narzędzie rzeźnicze wyprodukowane jakieś dziesięć, dwanaście lat temu. Mamy czterech producentów, którzy wchodzi w rachubę, a do tego jakieś dziesięć punktów sprzedaży. Małe szanse, ale możemy na to poświęcić jeden dzień. Aha, jest jeszcze syn i córka Simmela – przyjeżdżają jutro. Nie możemy o nich zapomnieć, choć też nie stawiałbym na to, że nam pomogą. Ale nigdy nic nie wiadomo. Są jakieś pytania?



– Kto zajmie się przyjaciółmi i znajomymi Rühmego? – zapytał Münster.

– Wy – odparł Bausen. – Szpital to początek. Macie listę?

– A nie powinniśmy wysłać kogoś do Aarlach? – zapytała Beate. – To właśnie tam mamy największą szansę na coś trafić.

– Komisarzowi Melnikowi na pewno nie spodoba się, że ktoś mu się wtrąca. Ale facet, jeśli tylko ma wenę, potrafi określić, jak stare jest psie gówno.

– Aha, więc to taki typ – odparła Beate.

– Ja spotkam się też z kilkoma panienkami od Simmela – dodał Van Veeteren. – Nie mogę się doczekać.

Boże, pomyślała Beate, kiedy już wyszła z komendy. Co za dołujące spotkanie.

– Jak daleko jest stąd do szpitala? – zapytał Münster.

– Daleko – odpowiedziała. – Weźmiemy twój samochód.

## 24

Rozejrzał się wokół. Potem usiadł przy jednym z wolnych stolików na przeszklonym tarasie, zamówił ciemne piwo i rozłożył przed sobą „de Journaal”. Zadowolony zrobił głęboki wdech. Już dawno nie było go w Fisherman’s Friend.

Wypił kilka dużych łyków i zaczął czytać artykuły dotyczące zbrodni. Miał przy tym niemały ubaw. Od ostatniego zabójstwa minęło już pięć dni, temat wciąż zajmował sporo miejsca, bo ponad dwie strony. Wiadomości jako takich było mało, a teorie były jeszcze bardziej absurdalne. Skrytość policji bez wątpienia irytowała dziennikarzy, wyglądało na to, że ich zaufanie zaczynało się wyczerpywać.

Niesamowite, pomyślał, spoglądając na morze. Niesamowite. W oddali w stronę otwartego morza zmierzał samotny trawler. Niebo i woda zlewały się w szarą zasłonę, jakby tego dnia światło odmówiło pokazywania się światu. Ponury widok.

Ponury? Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego akurat to słowo przyszło mu na myśl.

Jak dotąd zabił trzy osoby, a policja, jak się wydawało, nie trafiła na żaden trop. Ciekawie byłoby dowiedzieć się, co piszą w innych gazetach, niestety wszystkie były już wyprzedane. Z dość oczywistych powodów. Pociągnął kolejny łyk piwa, na tyle solidny, że w kącikach oczu pojawiły mu się łzy. Wszystko wskazywało na to, że jest

bezpieczny.

Nie do schwytania, nie do ukarania.

Dziwne uczucie, bez wątpienia, choć z drugiej strony chyba właśnie na to liczył. A może nie? Czy w ogóle liczył na cokolwiek? Czy było dla niego jakieś „potem”? Czy wyobrażał sobie, jak to będzie później? Jak będzie wyglądać ten przedłużający się epilog?

Obserwował mewy krążące w powietrzu. Niektóre podlatywały tak blisko, że ocierały się skrzydłami o okna. Nagle przypomniał sobie, że kiedyś, gdy tu siedział, jedna z mew wleciała wprost na szybę. Rozpędzona na całego. Najwidoczniej szklana obudowa tarasu była zupełnie przezroczysta i śmiertcionośne zderzenie z zimnym szkłem musiało być dla nieszczęsnego ptaka ogromnym zaskoczeniem. Śmierć bez ostrzeżenia, bez zapowiedzi – zupełnie jak cios toporem, przyszło mu do głowy. Dłuższą chwilę rozmyślał o ptaku, o plamie krwi i wnętrznościach rozmazanych na szybie. Nie wiedzieć czemu, ten widok stanął mu przed oczami. A wtedy pomyślał też o niej – o motywie całej tej historii. Jej śmierć nie przyszła z zaskoczenia, przypominała raczej dojrzały owoc. Zastanawiał się, czy to już naprawdę koniec. Czy już wszystkie krzywdy zostały wyrównane, sprawiedliwość wymierzona? Czy mogłaby mu dać jakiś znak? A jeśli tak, to gdzie miałyby go szukać?

Chociaż, jeśli się zastanowić, w grę wchodziło tylko jedno miejsce.

I co miał począć z tą nową pustką, która teraz wypełniła jego wnętrze i która czasami zdawała się niczym kosmos – przytłaczająca i bezkresna, a mimo to zamknięta w środku.

Wykopując jedną dziurę, zakopałem drugą, pomyślał. A ta nowa jest o wiele większa. Daj mi znak, Bitte!

– To miejsce robi wrażenie – powiedział Van Veeteren, rozglądając się.

– Najlepszy jest taras – odparł Bausen. – Siedzi się na nim niczym na czubku świata.

Van Veeteren usiadł. Przez chwilę na myśl przyszedł mu bar Pod Niebieskim Okrętem. Tutaj też było pustawo, choć może wieczorami lokal się zapełniał. Teraz siedział tu tylko samotny mężczyzna czytający gazetę pod panoramicznym oknem i dwie kobiety w kapeluszach przy stoliku w rogu. Pojawił się też ubrany na czarno kelner, który z ukłonem podał im oprawione w skórę menu.

– W takim razie zapraszam na lunch – powiedział Van Veeteren. – Teraz moja kolej. Najedz się, żeby ci na długo wystarczyło. Najlepiej się pracuje z pełnym żołądkiem. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Przecież rozmawiasz ze starym wygą – odparł Bausen.

– Już nie mogę – powiedziała Beate. – Jeśli będę musiała porozmawiać z jeszcze jednym lekarzem, to go uduszę.

– Może wyjdź i na razie zczekaj w samochodzie – zaproponował Münster. Ja porozmawiam jeszcze tylko z tym Mandrijnem. Będzie tu za pięć minut.

– To ten, co mieszkał u Simmela?

Münster przytaknął.

– Dobra – powiedziała Beate. – Wyciągnij z niego, co się da. Ja się położę pod kocem na tylnym siedzeniu.

– Okej.

– Inspektor Kropke – przedstawił się Kropke.

– Dziwne nazwisko, ale proszę wejść – powiedziała kobieta,

ziewając.

– Jak rozumiem, była pani sąsiadką państwa Simmelów w Las Brochas?

– Tak.

– Utrzymywaliście stosunki towarzyskie?

– Bynajmniej.

– Dlaczego nie?

Kobieta lekko uniosła brew.

– Dlaczego? Oczywiście dlatego, że nie chcieliśmy się z nimi spotykać. Widzieliśmy się na jednym czy na dwóch przyjęciach, ale oni po prostu nie mieli klasy. Jeszcze mój mąż miał o czym rozmawiać z Ernstem Simmelem, ale ja jej nigdy nie rozumiałam.

– Jej?

– Żony... Grete czy jak jej tam.

– Czy z tą rodziną coś było nie tak?

– Nie tak? Co ma pan na myśli?

– Może coś obito się pani o uszy... Czy mieli jakichś wrogów? Może słyszała pani o jakichś lewych interesach? Wciąż szukamy motywu.

– Drogi panie, w Las Brochas nie wężymy za takimi sprawami. Tam każdy każdego zostawia w spokoju. Wielu z nas przeniosło się tam, żeby nie musieć znosić wścibskich władz, które bez przerwy wtykają nos w nieswoje sprawy.

I ona mówi o klasie, pomyślał Kropke.

– Aha. Więc może uważa pani, że nie powinniśmy szukać zabójców i tym podobnych?

– Ależ skąd! Róbcie swoje! Przecież za to wam płacą. Ale zostawcie przyzwoitych ludzi w spokoju. Czy ma pan jeszcze jakieś

pytania?

– Nie, dziękuję. Myślę, że to mi wystarczy.

– Nazwisko i miejsce zamieszkania – powiedział Bang.

– Niby po co? – zapytał dwunastolatek.

– To jest dochodzenie.

– Uwe Klejmert – odparł chłopiec. – A to mój adres.

Bang zanotował.

– Gdzie byłeś w środę, ósmego września wieczorem?

– Chodzi o zeszły tydzień?

– Tak.

– Wtedy, kiedy Rzeźnik zabił Maurice'a Rühmego?

– Tak.

– No to wtedy byłem w domu.

– Tutaj?

– Tak. Do dziesiątej oglądałem film, potem poszedłem spać.

– Zauważyłeś coś niezwykłego?

– Tak, siostra pościeliła mi łóżko.

– Coś jeszcze?

– Nie. A on krzyczał?

– Kto?

– Rühme.

– Nie sądzę – odparł Bang. – Ja przynajmniej nic nie słyszałem, a byłem tam pierwszy. Rodziców nie ma w domu?

– Nie. Pracują. Będą w domu po szóstej czy jakoś tak.

– Aha. Dopilnuj, żeby zgłosili się na policję, jeśli zauważyli coś istotnego.

– Istotnego, czyli jakiego?

– Jeśli widzieli lub słyszeli coś tajemniczego.

– Tak, żebyście mogli złapać Rzeźnika?

– Otóż to.

– To obiecuję – powiedział Uwe Klejmert.

Bang wcisnął notatnik do wewnętrznej kieszeni marynarki i zasalutował.

– A nie zapyta pan, dlaczego siostra pościeliła mi łóżko?

– No dobrze. Dlaczego? Bo w życiu nie słyszałem, żeby komuś siostra pościeliła.

– Pożyczyła mojego walkmana i zepsuła słuchawki.

– Te dziewczyny – skomentował Bang.

– Miło spędzacie wieczory w hotelu? Ty i komisarz? – zapytała Beate.

– Bardzo.

– Gdyby się okazało, że nie, zaprosiłabym cię na grzanki i lampkę wina.

– Dziś wieczorem?

– Na przykład. Ale obawiam się, że nie dałabym rady rozmawiać o pracy.

– Nic nie szkodzi – odparł Münster. – Czuję, że powinniśmy rozwiązać tę sprawę jak najszybciej.

– Całkowicie się z tobą zgadzam.

## 25

Rzuciła się na niego tuż za drzwiami. Musiała czekać ukryta przy krzakach ligustru, które rosły przed hotelem, na całej długości budynku. A może stała za jedną z topoli.

Wysoka, żylasta kobieta około pięćdziesiątki. Ciemny, kwiecisty szal ciasto przykrywał włosy i opadał na wyciągnięte ramiona. Przez chwilę pomyślał, że to jego nauczycielka z liceum, ale to było tylko chwilowe skojarzenie. Nigdy nie mógł zapamiętać jej nazwiska, ale to oczywiście nie mogła być ona.

– Komisarz Van Veeteren?

– Tak.

Położyła mu dłoń na ramieniu i spojrzała prosto w oczy z bliskiej odległości. Wpatrywała się, jakby była krótkowidzem albo jakby starała się nawiązać z nim jakiś niesamowity kontakt.

– Czy mogę z panem porozmawiać kilka minut?

– Oczywiście. O co chodzi? Może wejdziemy?

Czy to wariatka? – pomyślał.

– Gdyby tylko zechciał się pan ze mną przejść po okolicy. Wolałabym porozmawiać na dworze. To zajmie tylko pięć minut – poprosiła.

Głos miała głęboki i smutny. Van Veeteren pokiwał głową i ruszyli w stronę przystani. Przy ulicy Dooms skręcili w prawo, pomiędzy pochylone domy. Dopiero kiedy znaleźli się w cieniu, zdradziła



wreszcie swój problem.

– Chodzi o mojego męża – wyjaśniła. – Nazywa się Laurids i od zawsze ma problemy z nerwami. To nie jest nic nie do przeskoczenia, nigdy nie musiał iść do szpitala czy coś takiego. Po prostu zawsze był trochę niespokojny. Ale teraz boi się wychodzić z domu...

Kobieta zrobiła pauzę, ale Van Veeteren milczał.

– Od zeszłego piątku, to już prawie tydzień, siedzi w domu, bo boi się Rzeźnika. Nie chodzi do pracy, a teraz powiedziano mu, że jeśli tak będzie dalej, to go wyrzucą.

Van Veeteren przystanął.

– Co pani powie?

Kobieta puściła jego ramię. Też się zatrzymała i spuściła wzrok, jakby się zawstydziała.

– Pomyślałam, że powinnam pana znaleźć i zapytać, jak się mają sprawy... powiedziałam o tym mężowi i możliwe, że zdecydowałby się wyjść, gdybym wróciła z jakimś zapewnieniem albo uspokajającą informacją od pana.

Van Veeteren pokiwał głową. Dobry Boże! – pomyślał.

– Proszę powiedzieć mężowi, pani... Jak się pani właściwie nazywa?

– Christine Reisin. A mój mąż to Laurids Reisin.

– Proszę mu powiedzieć, że może być zupełnie spokojny. Może chodzić do pracy. Mamy nadzieję złapać mordercę za... najdalej sześć, osiem dni.

Kobieta podniosła wzrok i wpatrzyła się w Van Veeterena z bliska.

– Dziękuję, panie komisarzu – powiedziała po chwili. – Bardzo dziękuję. Czuję, że mogę panu zaufać.

Obróciła się na pięcie i zniknęła w jednej z wąskich alejek. Van

Veeteren spoglądał za nią.

Jak łatwo jest oszukać kobietę, pomyślał. I to taką, którą się spotkało pięć minut temu.

Van Veeteren nie mógł zapomnieć o tej scenie i teraz, stojąc pod prysznicem, starał się wymazać ją z pamięci. Zrozumiał, że Laurids Reisin będzie go prześladował niczym wyrzut sumienia dopóty, dopóki nie skończy się dochodzenie.

Człowiek, który boi się wyjść z domu.

Jeszcze trochę i straci pracę. A zapewne i godność. I to tylko dlatego, że on, Van Veeteren i inni – Münster, Bausen, Kropke i Moerk – nie potrafią dotrzeć do tego przekłętego zabójcy.

Może takich ludzi jak Reisin jest więcej? Bo czemu nie?

Ile strachu i niepokoju było teraz – razem wzięwszy – w Kaalbringen? I czy w ogóle da się to zmierzyć?

Van Veeteren wyciągnął się na łóżku i wpatrzył się w sufit.

Liczył.

Sześć dni minęło od zabójstwa Maurice'a Münstera.

Piętnaście od zabójstwa Simmela.

A Eggersa? Dwa i pół miesiąca.

I co mieli?

No właśnie, co? Chaos informacyjny. Prawdziwy zalew doniesień to o tym, to o owym i nic z tego nie układało się w żaden wzór.

Ani cienia podejrzenia, żadnego logicznego ciągu.

Trzech mężczyzn, którzy sprowadzili się tu w tym roku.

Jeden z Selstadt, drugi z Aarlach, trzeci z Hiszpanii.

Dwóch było uzależnionych od narkotyków, z czego jeden skończył z tym wiele lat temu. Wiedzieli już, jakiej broni użyto, bo zabójca sam

im ją podetknął.

Protokół od Melnika? Jeszcze nie doszedł, ale czy można było na cokolwiek liczyć? Materiały zgromadzone w sprawie Eggersa i Simmela i ta garść informacji o Rühmem jak dotąd nie wykazywały żadnych analogii, nie licząc podobnej metody czy przebiegu zbrodni. Ani jednego wspólnego nazwiska, które pojawiłoby się w ich życiorysach... zero. Czy dowiedzą się czegoś z Aarlach? Wątpił.

Niech to cholera!

Nie miał nawet żadnego przeczucia, choć zazwyczaj jakieś się pojawiało. Ani jednego, choćby najmniejszego pomysłu, który tkwiłby w umyśle, przyciągając uwagę. Żadnych dziwnych faktów, niewiarygodnych zbiegów okoliczności, nic.

Nic a nic.

Jakby cała ta sprawa w ogóle nie miała miejsca. Albo toczyła się za ścianą. Za grubą szybą pancerną, przez którą mógł jedynie dojrzeć poszczególne wydarzenia i bliżej niezidentyfikowanych ludzi tańczących wolno do układu choreograficznego, którego nie rozumiał. Wszyscy poruszali się osobno, bez sensu, nie łącząc się ze sobą.

Przedstawienie dla jednego, całkiem ślepego widza – komisarza Van Veeterena.

Jakby to go nie dotyczyło.

No i ten Laurids Reisin.

A może tak jest zawsze? – pomyślał i zaczął sprawdzać kieszenie w poszukiwaniu paczki papierosów. Czy to znane poczucie bycia obok, bycia poza nie nachodziło go od czasu do czasu?

Do diabła z tym! – powstrzymał natłok myśli. Wyciągnął papierosa, zapalił i podszedł do okna. Wyjrzał na rynek.

Nad miastem zapadały ciemności. Sklepy już pozamykano, ludzi

na ulicach było niewielu. Sprzedawcy z placu przed Saluhallen właśnie składali stoiska. Nieco dalej, pod arkadami, grało kilkoro muzyków, których nikt nie słuchał. Van Veeteren podniósł wzrok. W oddali widać było cmentarz i wzniesienie. Spojrzał w lewo – zobaczył wysokie domy przy Dünningen. W prawo – lasek, Rikken i tę drugą dzielnicę, której nazwy zapomniał.

Gdzieś tam siedzi teraz zabójca i czuje się całkiem bezpieczny.

Muszę znaleźć jakieś otwarcie, jak w szachach, pomyślał Van Veeteren. Już czas.

Choćby dlatego, żeby ludzie nie bali się wychodzić z domów.

Bausen już ustawił pionki.

– Twoja kolej na białe – powiedział Van Veeteren.

– Zwycięzca dostaje czarne – odparł Bausen.

– Zgoda. – Van Veeteren ruszył pionem królewskim.

– Przyniosłem butelkę wina. Myślisz, że perrault rocznik '81 pomoże nam się wygrzebać z tego bałaganu?

– Trudno sobie wyobrazić lepszą pomoc.

– No wreszcie! – krzyknął półtorej godziny później. – Już myślałem, że mi się wywiniesz!

– Nieźle rozegrane – powiedział Bausen. – Dziwne otwarcie, chyba nigdy takiego nie widziałem.

– Sam je obmyśliłem. Wymaga skupienia i nie da się go zastosować dwa razy z tym samym przeciwnikiem.

Bausen wzniosł toast i wychylił resztkę wina. Potem siedział w milczeniu, wpatrzony w pusty kieliszek.

– Cholera – powiedział. – Jeśli mam być szczery, to ta cała sprawa

zaczyna mi grać na nerwach. Myślisz, że ją rozwiążemy?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Nie wiem...

– Keysenholt dzwonił pół godziny przed twoim przyjściem – ciągnął Bausen. – To szef policji naszego regionu. Pytał, czy nie chciałbym zostać jeszcze na stanowisku. To znaczy, dopóki nie skończymy tej sprawy.

Van Veeteren skinął głową.

– Najgorsze, że wcale nie poprosił wprost, żebym został. Pytał tylko, co o tym sądzę... Chciał, żebym to ja zdecydował. Wspaniałe pożegnanie, nie ma co! Wy tłumacz się z niekompetencji i wtedy możesz odejść na emeryturę.

– Ależ... – zaczął Van Veeteren.

– Co gorsza, sam nie wiem, co zrobić. To mało chwalebne, dać sobie parę dodatkowych miesięcy, a potem i tak nie rozwiązać tej sprawy. Nie sądzisz?

– Hm. Dość ryzykowne, przyznaję. Może w takim razie lepiej będzie złapać go przed pierwszym.

– Otóż to. Ale i tak muszę coś odpowiedzieć temu przekłętemu Keysenholtowi. Ma zadzwonić jutro.

– To Kropke wchodzi na twoje miejsce?

– Przynajmniej do końca roku. Oficjalne mianowanie nowego szefa odbywa się w styczniu.

– Powiedz Keysenholtowi, że nie rozumiesz, o co mu chodzi. Rzeźnika złapiemy za jakieś sześć do ośmiu dni.

– Jak, do cholery, mogę coś takiego zadeklarować? – zapytał Bausen zrezygnowany.

– Ja obiecałem rozwiązać sprawę właśnie w tym czasie.

– A niech to, no to już czuję się spokojny. I jak masz zamiar to zrobić?

– Sam do końca nie wiem. Ale gdybyś przyniósł... no powiedzmy jakiegoś porządnego merlota, to ja w międzyczasie poustawiam pionki. Znajdziemy jakieś otwarcie gry.

Bausen się uśmiechnął.

– Domowej roboty? – zapytał, wstając.

– Najlepiej tak.

Bausen zniknął w piwnicy.

Jak łatwo można oszukać przyzwoitego, starego szefa policji, pomyślał Van Veeteren. Co ja wyprawiam?

## 26

– Ale jeśli... – zaczęła Beate, zdrapując z obrusu płamę z wosku. – Jeśli Rühme otworzył drzwi, bo znał mordercę, to znaczy, że musimy mieć jego nazwisko na naszych listach.

– Jakiś przyjaciel albo dobry znajomy z pracy – powiedział Münster. – Ktoś ci się rzucił w oczy?

– Przyniosę moje notatki... Skończyłeś jeść?

– Najadłem się jak nigdy. Było przepyszne. Naprawdę szkoda, że mieszkasz sama.

– Dlatego że umiem przyrządzać grzanki?

Münster się zaczerwienił.

– Nie, nie. Tak w ogóle... Faceci powinni żałować, że żadnemu nie udało się zdobyć twojego serca...

– Bzdury – powiedziała Beate i zniknęła w gabinecie.

Ależ ze mnie taktowny rozmówca, no doprawdy, pomyślał Münster.

– Jeśli decydujemy się na mężczyznę, to zostaje nam dziesięć osób.

– Nie więcej? – zapytał Münster. – A ile zostanie, jeśli postawimy na tych, którzy mieszkają w mieście?

Beate policzyła.

– Sześć – powiedziała. – Sześciu znajomych. Trochę mało, nie?

– Dopiero niedawno się wprowadzili. Nie mogą mieć zbyt dużego

grona przyjaciół. O których sześciu mówimy?

– Trzech kolegów z pracy, z którymi miałeś okazję się spotkać...

No i trzy pary.

– Nazwiska?

– Genner, Sopinski, Kreutz – to znajomi z pracy, lekarze.

A przyjaciele to Erich Meisse, też lekarz zresztą i... poczekaj chwilę...

Kesserling i Teuvers. I tyle. Co ty na to? Meisse to chyba znajomy

Betrice Linckx.

Münster wziął do ręki notatnik i zaczął się zastanawiać.

– Spotkałem się ze wszystkimi, z wyjątkiem Teuversa i Meissego.

Nie wydaje mi się, żeby to był ktoś z nich, ale nie mogę niczego zagwarantować. Chociaż może jednak to... Teuvers?

– No dobrze. To rozwiązaliśmy sprawę. Jest tylko jedno małe ale...

– Jakie?

– Od trzech tygodni jest na wyjeździe. Gdzieś w Ameryce Południowej. Jeśli się nie mylę.

– Szkoda.

– To obstawiamy, że to jednak nie był nikt znajomy?

– Czemu nie. Na pewno nie ktoś z nich. To mógł też być ktoś powszechnie znany. Kogo wszyscy kojarzą. Minister finansów, Meryl Streep – ktoś w tym stylu.

– Otworzyłbyś drzwi Meryl Streep?

– Tak sądzę.

Beate westchnęła.

– To nas donikąd nie zaprowadzi. Chcesz kawy?

– Poproszę. Kiedy ty będziesz ją robić, ja mogę pozmywać.

– Świetnie. Chyba nie sądziłaś, że odmówię?

– Skądże znowu.



– Masz doświadczenie w prowadzeniu takich spraw?

– Raczej nie – odparł Münster.

– Ile morderców ścigacie w ciągu roku?

Münster chwilę się zastanowił.

– Chyba od dziesięciu do piętnastu... Choć większości z nich nie musimy ścigać. Sami się nam napataczają. Zgłaszają się do nas, a czasami wystarczy ich zgarnąć jak jabłka z drzewa. Większość spraw rozwiązuje się w parę tygodni.

– A takie przypadki jak ten jak często się trafiają?

Münster się zawahał.

– Niezbyt często. Raz może dwa razy do roku.

– Ale rozwiązujecie wszystkie?

– Większość. Komisarz nie lubi niedokończonych spraw. Potrafi być nieznośny, jeśli coś ciągnie się zbyt długo. Ja znam tylko jedną sprawę, z którą nie dał rady – przypadek G. To było jakieś pięć, sześć lat temu. I chyba wciąż nie daje mu spokoju.

Beate pokiwała głową.

– Więc myślisz, że i tę sprawę rozwiąże właśnie on?

Münster wzruszył ramionami.

– Bardzo możliwe. Najważniejsze, żeby trzymać się blisko niego. Przecież chwały starczy dla wszystkich.

Beate się zaczerwieniła. Odwróciła głowę i zaczesła ręką włosy, ale Münster i tak zauważył jej reakcję.

Aha, więc to tak – żadna sławy młoda pani inspektor. Czyżby bawiła się w prywatnego detektywa?

– A masz jakieś własne teorie?

– Własne? Nie, skądże. Oczywiście dużo o tym myślę, ale do

niczego nie doszłam.

– Zazwyczaj tak jest.

– Jak?

– Człowiek myśli, że drepcze w miejscu, a potem nagle wszystko rusza do przodu. Pojawia się jakiś szczegół, nabiera znaczenia, a później już wszystko szybko idzie.

– Hmm. – Beate zamieszała kawę i zdrapała kolejną plamę z obrusu. – Mogę ci się do czegoś przyznać? – powiedziała po chwili.

– Jasne.

– To wszystko jest dość ekscytujące. To znaczy...

– Tak, wiem, o co ci chodzi.

– Wiem, że powinnam myśleć, że to przede wszystkim straszne i okrutne, i powinnam szukać Rzeźnika, bo jest bezwzględny mordercą, i złapać go, żeby porządni obywatele mogli spać spokojnie. I oczywiście tak jest, ale muszę przyznać, że poniekąd trochę się przy tym bawię. To chyba dość perwersyjne, nie sądzisz?

Münster się uśmiechnął.

– Nie wydaje mi się.

– Ty też tak myślisz?! – krzyknęła podniecona. I nagle, przez krótką chwilę, Münstera naszło jakieś dziwne uczucie. Jej pełne autentyzmu spojrzenie, kiedy to mówiła, ten pełen świeżości, nieco dziecinny wyraz twarzy. Sama szczerść, żadnych masek. Münster sam nie wiedział, co dokładnie tak go uderzyło, a przy tym też przypomniało mu o tym, co stanowiło zamknięty rozdział jego życia. O tym, co już kiedyś przerobił, czym się nacieszył i przed czym skapitulował. Naturalnie powinien był się tego spodziewać, no i się spodziewał... Chodziło chyba o ten wspólny spacer przez miasto, wspólne piwo w Niebieskim Okręcie, ich rozmowy między

przesłuchaniami – tak radosne, że niemal bezmyślne... Chodziło o coś tak banalnego i tak łatwego do nazwania, że aż bał się to ubrać w słowa.

– Cóż – odpowiedział. – Kiedyś tak myślałem. To znaczy na początku. Potem człowiek może się trochę sparzyć.

To nie była jej wina. Przeciwnie. Prawdopodobnie to, że wiedziała, że jest żonaty, że jest z Synn, sprawiło, że pozwoliła sobie na swobodę. Pozwoliła mu podejść blisko, bo czuła się bezpiecznie.

Bezpiecznie? A czy on był bezpieczny?

– O czym myślisz?

Zorientował się, że znów na niego patrzy i że chyba się zamyślił na kilka sekund.

– Sam nie wiem... Chyba o Rzeźniku.

– Co twoja żona sądzi o twojej pracy?

– A dlaczego pytasz?

– Najpierw odpowiedz.

– Co Synn sądzi o mojej pracy?

– Tak. O tym, że musisz wyjeżdżać. Jak na przykład teraz.

– Nie jest zadowolona.

– Pokłóciliście się przed twoim wyjazdem?

Zawahał się.

– Tak, pokłóciliśmy się.

Beate westchnęła.

– Wiedziałam. Pytam, bo chciałam wiedzieć, czy naprawdę da się pracować w policji i mieć męża lub żonę.

– Od dawna wszyscy się nad tym zastanawiają.

– Wiem. A możesz mi na to odpowiedzieć, skoro już jakiś czas

robisz w tym fachu?

Münster się zastanawiał.

– Tak, musi się dać.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

– To dobrze. Dzięki tobie kamień spadł mi z serca.

Münster odchrząknął i gorączkowo zastanawiał się, co by tu mądrego odpowiedzieć. Beate mu się przyglądała.

– Może zmienimy temat? – powiedziała po chwili.

– Może tak.

– Możemy przyjrzeć się bliżej moim prywatnym rozważaniom?

O Rzeźniku, oczywiście.

– Czemu nie.

– Chyba że uważasz, że już jest za późno.

– Późno?

Jedynie, co ją powstrzymuje przed uwiedzeniem mnie, to ona sama, pomyślał. Mam nadzieję, że jest silna. Inaczej nie mógłbym jutro spojrzeć sobie w oczy.

– Chcesz jeszcze wina?

– Nie! – odparł Münster. – Poproszę czarną kawę.

– Melnik miał atak kamieni żółciowych – powiedział Kropke.

– Że co? Zresztą wcale się nie dziwię – stwierdził Van Veeteren.

– To dlatego zwlekają z raportem – wyjaśnił Bausen. – Dzwonił ze szpitala.

– Osobiście? – zapytał Van Veeteren. – Proszę, proszę. To co dziś robimy?

Bausen westchnął.

– Kontynuujemy zbieranie informacji, jak sądzę. Jeszcze trochę, a w tej sprawie będziemy mieć zeznanie każdego mieszkańca Kaalbringen. Całkiem pokaźna dokumentacja. Może kiedy skończymy, spróbujemy to sprzedać do muzeum pamięci...

– O ile kiedyś skończymy – wtrącił Kropke. – Co z toporem?

Van Veeteren położył na stole papierosa i wykałaczkę.

– Niewiele – odpowiedział. – Nie sądzę, żebyśmy dotarli do sklepu, w którym go sprzedano. O ile w ogóle taki sprzęt sprzedaje się w sklepach. No i żaden ekspedient nie będzie pamiętał, kto kupił topór jakieś dwanaście czy piętnaście lat temu, nawet gdyby to był on sam. Nie, z tym tropem musimy sobie dać spokój.

– A dzieci Simmela? – Beate podniosła wzrok znad swoich notatek.

– Niczego się nie dowiedzieliśmy – powiedział Bausen. – Nie utrzymywali bliższych stosunków z rodzicami od dziesięciu lat. Ani syn, ani córka. Spotykali się jedynie na Boże Narodzenie i okrągłe

rocznice urodzin. Co przemawia na ich korzyść. No i odwiedzili rodziców w Hiszpanii tylko jeden jedyny raz.

Van Veeteren pokiwał głową i wetknął wykałaczkę między zęby. Kropke wstał.

– Cóż – powiedział. – W takim razie wracam do siebie, zrobię sobie małe podsumowanie. Chyba że ma pan dla mnie inne zadania, komisarzu?

Bausen wzruszył ramionami.

– My też wracamy do roboty – powiedział, rzucając spojrzenie Van Veeterenowi.

– Tak – potwierdził Van Veeteren i zapalił papierosa. – Tylko sobie nie myślcie, że cały ten bałagan to coś niezwykłego. Idzie nam jak po grudzie, nie mamy żadnych rozsądnych tropów, żadnych jasnych podejrzeń, nic, tylko całą masę informacji... ale prędzej czy później wszystko się wyjaśni. Trzeba tylko trochę cierpliwości.

Choć niewykluczone, że nic się nie wyjaśni, dodał w myślach.

– Czy Melnik powiedział, kiedy skończą raport? – zapytała Beate.

– Nie podał konkretnego terminu – odparł Kropke. – Mówił, że może za parę dni. Facet chyba jest dokładny.

– Można tak powiedzieć – wtrącił Van Veeteren.

– No dobra – powiedział Bausen. – To lecimy dalej, każdy z tym, w czym akurat tkwi.

A w czym ja utknąłem? – pomyślał Münster.

Miasteczko Kirkenau nie było duże. Stacja kolejowa, skupisko domów w dolinie rzeki Geusse, która w tej górzystej i jałowej okolicy przechodziła w wydłużone jezioro. Van Veeteren nie widział tu sklepów, poczty czy choćby szkoły. Nawet ponury kamienny kościół

leżący tuż przy drodze wydawał się równie opuszczony, jak reszta miasteczka.

Droga do zakładu Seldona biegła w przeciwnym kierunku, opadała ze stoku i przecinała pas rzadkiego lasu iglastego. Dojazd zajął mu mniej więcej dziesięć minut i kiedy już zaparkował przed murem, zaczął się zastanawiać, czy to przypadkiem nie jest jakieś stare sanatorium. Powietrze było tu świeże, dzięki czemu, zanim wszedł w bramę, bez trudu stłumił w sobie chęć na papierosa.

Erich Meisse był wysoki i szczupły. Chyba wcześniej wyłysiał, trudno więc było ocenić jego wiek. Zapewne nie ma więcej niż trzydzieści pięć lat, pomyślał Van Veeteren. Oczywiście gdyby okazało się to istotne, miał gdzieś zapisaną tę informację. Meisse uściskał mu dłoń, uśmiechnął się szeroko i poprosił, by Van Veeteren usiadł w jednym z foteli stojących przed drzwiami balkonowymi.

– Kawy, herbaty? – zapytał.

– Poproszę kawę.

Doktor wyszedł. Van Veeteren usiadł i spojrzał na park – duży, pagórkowaty i elegancko przystrzyżony trawnik, a na nim – tu i ówdzie – stare, sękaty drzewa owocowe. Zagrabione ścieżki i solidne, choć wyblakłe ławki ogrodowe. Pod murem wznosiło się kilka cieplarni. Był też ogrodnik czy ktoś w tym stylu – pchał taczkę z kompostem. Nieco dalej, na lewo, od strony niskiego, żółtego pawilonu nadchodziły dwie ubrane w czarne płaszcze pielęgniarzy prowadzące nieco inny pojazd przypominający wózek.

Van Veeteren przełknął ślinę.

Na wózku siedziały dwie postacie. Dopiero po chwili zrozumiął, że to ludzie.

– Nie trafiają do nas przypadkowe osoby – wyjaśnił Meisse. – Bierzemy tylko najtrudniejsze przypadki. Nie mamy ambicji, by kogoś wyleczyć, chcemy im tylko zapewnić w miarę przyzwoite życie. O ile to jest możliwe...

Van Veeteren pokiwał głową.

– Rozumiem. Ilu macie pacjentów?

– To zależy. Pomiędzy dwudziestoma pięcioma a trzydziestoma. Większość z nich zostaje tu aż do śmierci, takie jest zresztą założenie naszego zakładu.

– Jesteście ostatnią przystanią?

– Można tak powiedzieć. Mamy swoją filozofię... Nie wiem, czy zna pan koncepcję profesora Seldona?

Van Veeteren pokręcił głową.

– No tak, ale może o tym porozmawiamy innym razem. Zapewne nie przyjechał tu pan, żeby wysłuchiwać o sposobach opieki nad osobami ciężko chorymi psychicznie.

– Istotnie. – Van Veeteren odchrząknął i wyciągnął z teczki notatnik. – Był pan dobrym przyjacielem Maurice’a Rühmego... znaliście się już w Aarlach, jeśli dobrze zrozumiałem?

– Tak, poznałem go mniej więcej pięć lat temu. Przez moją żonę. Ona i Beatrice, Beatrice Linckx, są koleżankami, chyba jeszcze z dzieciństwa, a na pewno ze szkoły.

– Kiedy po raz pierwszy spotkał pan Maurice’a Rühmego?

Doktor Meisse zastanawiał się przez chwilę.

– Nie pamiętam dokładnie, kiedy nas sobie przedstawiono, ale na pewno zaczęliśmy się spotykać na przełomie 1988 i 1989 roku. Przynajmniej od czasu do czasu.



Van Veeteren zrobił krótką pauzę.

– Czy to dzięki panu dostała tę pracę?

Meisse się zaśmiał.

– Nie – odparł. – Niestety nie jestem aż tak wpływowy. Tylko ją zarekomendowałem. A dlaczego pan o to pyta?

Van Veeteren wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział.

– Rühme, kiedy jeszcze mieszkał w Aarlach, był uzależniony od kokainy. Co pan o tym wie?

Meisse spowaźniał i przesunął dłonią po łysinie.

– Nie za wiele. Nie znam żadnych szczegółów, Maurice nie chciał o tym mówić. Po prostu pewnego wieczoru, kiedy sporo wypiliśmy, mi się zwierzył. Ale to był chyba jedyny raz, kiedy poruszyliśmy ten temat. Przecież skończył z tym... myślę, że miał prawo oddzielić ten etap życia grubą kreską.

– Znał pan Ernsta Simmela albo Heinza Eggensa?

Doktor się wzdrygnął.

– Tych dwóch pozostałych? Nie, skądże. Nie rozumiem...

– A Rühme? – przerwał mu Van Veeteren. – Czy według pana mógł mieć jakiś związek z tą dwójką?

Doktor Meisse chwilę myślał. Wyciągnął chusteczkę i otarł czoło.

– Nie – powiedział po chwili. – Zastanawiałem się nad tym, ale nic nie przyszło mi do głowy.

Van Veeteren westchnął i znów wyjrzał przez okno. Rozwazał, czy ma jeszcze jakieś rozsądne pytania do tego młodego lekarza, a w międzyczasie śledził wzrokiem trzy osoby, które wolno zbliżały się do szklarni. Mężczyzna i kobieta szli po bokach zgarbionej, zasłaniającej się rękoma postaci. Podtrzymywali ją – Van Veeteren poznał, że to kobieta – obejmując za wygięte plecy. Kobieta ciągnęła

stopami po żwirze i momentami wyglądało to tak, jakby jej opiekunowie nieśli ją nad ziemią. Nagle Van Veeteren uświadomił sobie, że zna tego mężczyznę. Wysoka, szczupła figura, ciemne, gęste włosy... to doktor Mandrijn, nikt inny. Jeszcze chwilę wpatrywał się w tę trójkę, a potem odwrócił się do doktora Meissego.

– Co tutaj robi doktor Mandrijn? – zapytał.

– Doktor Mandrijn?

Van Veeteren wskazał mu postać w ogrodzie.

– Ach tak, Mandirjn. To jego krewna. Siostrzenica, z tego co pamiętam. Brigitte Kerr. Jedna z naszych najnowszych pacjentek. Przyjeliśmy ją jakiś miesiąc temu. Biedna dziewczynka.

– Na co choruje?

Doktor Meisse rozłożył ręce.

– Niestety obawiam się, że niektórych tematów nie mogę poruszać. Obowiązuje nas milczenie, nie tylko wobec...

– Bzdury – przerwał mu Van Veeteren. – Wprawdzie nie mam przy sobie żadnego upoważnienia, ale to tylko kwestia czasu. Mogę pana zwolnić z nakazu milczenia. Przypominam panu, że prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa.

Meisse zaczął się wahać.

– Po prostu proszę mi dać jakąś wskazówkę – zaproponował Van Veeteren. – To wystarczy. Czy na przykład w grę wchodzi narkotyki?

Doktor uniósł wzrok.

– Tak. Częściowo tak. Ale ona nie jest moją podopieczną, więc nie wiem za dużo.

Van Veeteren przez chwilę milczał. Potem spojrzął na zegarek i wstał.

– Bardzo panu dziękuję – powiedział. – Chciałbym jeszcze

zamienić kilka słów z panią Linckx. Mogę zadać jeszcze tylko ostatnie pytanie?

– Oczywiście – odparł Meisse. Rozparł się w krześle i znów się uśmiechnął.

Van Veeteren zrobił dramatyczną pauzę.

– Kto według pana zabił Maurice’a Rühmego?

Uśmiech znikł z twarzy doktora.

– Że co... kto? Ależ nie mam pojęcia. Gdybym się domyślał, kim jest Rzeźnik, zapewne już dawno doniósłbym o tym policji!

– No tak, oczywiście. Proszę mi wybaczyć, że zająłem pański cenny czas.

Zdaje się, że to miejsce niesamowicie przyciąga ludzi, pomyślał, kiedy już zostawił doktora Meissego w spokoju i ruszył na poszukiwania gabinetu Beatrice Linckx. Właściwie ile to już osób spośród tych, które spotkał, miało w jakiś sposób do czynienia z tym ponurym zakładem?

Zaczął liczyć, ale zanim skończył, wpadł na korytarzu na Beatrice Linckx i postanowił odłożyć swoje rozważania na potem.

Kiedy godzinę później odjeżdżał z parkingu, zastanawiał się przede wszystkim, jakie wrażenie zrobiła na nim piękna Beatrice Linckx. I czy faktycznie było tak, jak mówiła, to znaczy, czy jej związek z Maurice’em Rühmem rzeczywiście opierał się na tej najmocniejszej z trójki, czyli na szacunku, szczerości i miłości?

Brzmi rozsądnie, stwierdził i zaczął sobie przypominać, jak to było z jego nieudanym małżeństwem.

Ale ledwo pomyślał o Renate, zaczęło lać jak z cebra, musiał więc

skupić całą uwagę na wpatrywaniu się w przednią szybę, by nie wypaść z drogi.

Wczesnym rankiem ktoś przyznał się do winy. Według późniejszego zeznania niejaki Wollner stał w deszczu przed komendą już od szóstej, ale wpuszczono go parę minut przed siódmą, kiedy to pojawiła się panna deWitt prowadząca policyjne biuro.

– O co chodzi? – zapytała, kiedy już usadziła go na obitej brązowym płótnem sofie dla petentów, zdjęła kapelusz i płaszcz i nastawiła kawę na zapleczu.

– Chcę się przyznać – powiedział Wollner, spuszczaając wzrok.

Panna deWitt posłała mu spojrzenie znad wąskich okularów.

– Do czego?

– Do morderstwa.

– Jakiego morderstwa?

– Toporem.

– Aha – odparła panna deWitt, po czym nagle zakręciło jej się w głowie i, jak jej się wydawało, nie miało to chyba nic wspólnego ze związanymi z menopauzą dolegliwościami, które męczyły ją od jakiegoś czasu. Złapała się blatu lady i mocno zacisnęła powieki.

W końcu wzięła się w garść. Żaden z policjantów nie pojawi się tu przed wpół do ósmej, tego mogła być pewna. Zmierzyła wzrokiem skurczoną postać na sofie i stwierdziła, że mężczyzna chyba nie ma topora schowanego pod ubraniem. Wyszła więc zza lady, położyła mu rękę na ramieniu i poprosiła, by poszedł za nią.

Posłuchał bez słowa protestu. Pozwolił się poprowadzić wzdłuż wąskiego korytarza i zamknąć w jednej z dwóch cel – tej, która miała zamek.

– Proszę tutaj poczekać – powiedziała panna deWitt. – Wkrótce zostanie pan przesłuchany. Wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu.

Zastanowiła się, po co właściwie dodała to ostatnie zdanie. Wollner usiadł i zaczął pocierać dłonią o dłoń. Panna deWitt postanowiła zostawić go samego. Przez chwilę rozważała, czy nie zadzwonić po aspiranta Moosera, który miał dyżur, ale zrezygnowała. Zamiast tego skończyła parzyć kawę i zaczęła na inspektora Kropkego, który przyszedł równo o wpół do ósmej.

– Rzeźnik się przyznał – powitała go.

– Że co? – nie zrozumiał Kropke.

– Zamknęłam go w celi.

– O czym pani mówi? – zapytał, tym razem precyzyjniej Kropke. – Kto... kto to jest?

– Nie wiem. Ale powiedział, że nazywa się Wollner.

Po krótkim namyśle Kropke postanowił zaczekać na któregoś z komisarzy, tak więc dopiero za dwadzieścia dziewięć mogło się rozpocząć pierwsze przesłuchanie domniemanego mordercy. Nie licząc Kropkego i Bausena, mieli wziąć w nim udział inspektor Moerk i aspirant Mooser.

Na wszelki wypadek na czas rozmowy uruchomiono dwa dyktafony – po części z myślą o przygotowaniu dokumentacji do ewentualnego procesu, a po części dlatego, że dwaj przysłani tu eksperci z pewnością powinni móc zapoznać się dokładnie

z przebiegiem sytuacji.

Bausen: Imię i nazwisko proszę.

Wollner: Peter Mathias Wollner.

Bausen: Data urodzenia?

Wollner: Piętnasty grudnia 1936 roku.

Bausen: Adres?

Wollner: Morgenstraat 16.

Bausen: W Kaalbringen?

Wollner: Tak.

Bausen: Żonaty?

Wollner: Nie.

Bausen: Wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu. Ma pan prawo milczeć, jeśli pan chce. Czy chce pan adwokata?

Wollner: Nie.

Bausen: Dlaczego pan tu przyszedł?

Wollner: Żeby się przyznać do zabójstwa.

Bausen: Zabójstwa Heinza Eggersa, Ernsta Simmela i Maurice'a Rühmego?

Wollner: Tak.

Bausen: Proszę opowiedzieć, jak pan działał?

Wollner: Zabiłem ich toporem.

Bausen: Jakiego rodzaju toporem?

Wollner: Miałem go już od paru lat. To chyba topór rzeźnicki.

Bausen: Może go pan opisać?

Wollner: Ostry, dość lekki. Ostrze wbijało się raczej gładko.

Bausen: Jak go pan zdobył?

Wollner: Kupiłem go, będąc w podróży, jakieś cztery, pięć lat

temu.

Bausen: Gdzie?

Wollner: We Włoszech... Nie pamiętam, w jakim mieście.

Bausen: Dlaczego zabił pan Eggersa, Simmela i Rühmego?

Kropke: Dlaczego nie odpowiada pan na pytanie?

Milczenie.

Bausen: Mógłby pan opisać nieco bardziej szczegółowo przebieg zbrodni?

Wollner: Której?

Bausen: Na przykład tej na Maurisie Rühmem.

Wollner: Zadzwoiłem do drzwi, on otworzył... no i uderzyłem.

Moerk: Dlaczego?

Wollner: Po to tam poszedłem.

Bausen: Proszę dokładnie opisać, jak to wyglądało!

Wollner: Powiedziałem mu, że mam problemy z kręgosłupem. Upuściłem zegarek na podłogę, a ponieważ nie mogłem się schylać, doktor to zrobił. Wtedy przeciąłem mu kark.

Kropke: Czy już wcześniej znał pan doktora?

Wollner: Byłem jego pacjentem.

Moerk: Wiedział, że pan przyjdzie?

Wollner: Tak.

Moerk: To znaczy, że o tej porze przyjmował pacjentów w domu?

Wollner: Chciałem z nim trochę porozmawiać.

Bausen: Jak był ubrany?

Wollner: W golf... szarozielony. Czarne spodnie, ciemne skarpety.

Bausen: Która była godzina?

Wollner: Około jedenastej.

Kropke: A co miał na sobie Ernst Simmel, kiedy go pan zabił?



Wollner: Białą koszulę i krawat. Marynarkę i spodnie. Brązowe buty. Tak mi się wydaje, było ciemno...

Bausen: Cholera, zgadza się. Moerk?

Moerk: Nie bardzo panu wierzę, panie Wollner. Dlaczego pan to zrobił?

Wollner: Jestem przygotowany na karę.

Pauza. Krótka przerwa w nagraniu.

Bausen: Twierdzi pan, że zabił trzy osoby, panie Wollner. Teraz proszę mi, do cholery, wyjaśnić dlaczego! Mamy co innego do roboty i nie mamy czasu wysłuchiwać jakiegoś masochisty, który chce zaistnieć!

Moerk: Ale...

Wollner: Zabiłem ich, bo byli złymi ludźmi.

Bausen: Złymi?

Wollner: Złymi ludźmi.

Bausen: I to był jedyny powód?

Wollner: Wystarczający.

Kropke: Dlaczego właśnie tych trzech?

Żadnej odpowiedzi.

Bausen: Co miał pan na sobie tego wieczoru, kiedy zabił pan Ernsta Simmela?

Wollner: Co miałem na sobie?

Bausen: Tak, w co był pan ubrany?

Wollner: Nie pamiętam dokładnie... chyba w kapelusz i płaszcz.

Moerk: A kiedy zabił pan Rühmego?

Wollner: W dres.

Bausen: Dlaczego zostawił pan topór w ciele doktora Rühmego?

Wollner: On był ostatnią ofiarą.

Bausen: Ostatnią? Nie ma już więcej złych ludzi na tym świecie?

Wollner: Dla mnie już nie. Jestem gotowy na karę.

Bausen: Nie ma pan zamiaru więcej zabijać?

Wollner: Nie.

Kropke: A dlaczego przyszedł pan do nas właśnie dziś?

Wollner: Musiałem.

Bausen: Musiał pan? Gdzie pan pracuje?

Wollner: Jestem dozorcą.

Bausen: Gdzie?

Wollner: W kościele „Światło życia”

Pauza. Szepty i szuranie krzesel.

Bausen: Czy ktoś kazał panu popełnić te zbrodnie?

Wollner: Miałem zadanie.

Bausen: Kto je panu polecił?

Bez odpowiedzi.

Moerk: Może Bóg?

Wollner: Tak.

Cisza.

Bausen: Przerwiemy na chwilę. Mooser, wyprowadź tego pajaca i zamknij go... Ten fragment potem wykasujemy.

– Więc – zapytał Bausen. – Co sądzicie?

– Cóż, w każdym razie jest wystarczająco stuknięty – powiedział Kropke.

– Kłamie – wtrąciła Beate.

– A jego zeznanie? Skąd znałby szczegóły?

Beate wzruszyła ramionami.

– Pewnie z gazet.

- Pisali o ubraniach? – zapytał Mooser.
- Nie wiem. Trzeba sprawdzić. Ale pisali o tym całkiem sporo.
- Nie zdziwiłbym się, gdyby to jednak był on – powiedział Kropke.
- Wszyscy oni ze „Światła życia” są nienormalni.
- Bez dwóch zdań – odparł Bausen. – Ale na ile nienormalni? Chyba nie chodzą po ulicach i nie zabijają ludzi?
- A gdzie są dziś nasi goście? – zapytał Kropke, jakby chciał coś zasugerować.
- Zdaje się, że komisarz Van Veeteren przesłuchuje jakiegoś krewnego Rühmege. A Münster pewnie niedługo się pojawi.
- Beate cicho zakasłała.
- Stawiam pięćdziesiątka, że w gazetach słowem nie pisali o ubraniach – powiedział Kropke.
- A dlaczego sądzisz, że chciałem cię o to zapytać? – prychnął Bausen.
- Religijny maniak – wymamrotała Beate. – Nie, nie wierzę w to. A zresztą, czy nie jest tak, że zawsze się zgłaszają tacy narwańcy? Tacy, co to przyznaliby się do czegokolwiek?
- Tak sądzę – odparł Bausen. – Musimy to przedyskutować z naszymi ekspertami, kiedy już się pojawią.
- Dzień dobry – powiedział Münster i wszedł do pokoju. – Czy coś się stało?
- Nic takiego. Po prostu mamy Rzeźnika w celi – odparła Beate.
- To nie on – stwierdził dwie godziny później Van Veeteren. – Wypuście go albo odeślijcie do szpitala. Ale obciążcie go za to, że zajął nam czas.
- Skąd ta pewność, komisarzu? – zapytał Kropke.

– Mam trochę doświadczenia. To widać... Ale możecie go przemaglować, jeśli chcecie sobie poćwiczyć. Co na to komisarz Bausen?

– Zgadzam się – odparł Bausen. – Choć nie jestem pewien na sto procent.

– Zna sporo szczegółów – wtrąciła Beate. – Skąd może wiedzieć, co miał na sobie Rühme?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale jest kilka możliwych wyjaśnień.

– Na przykład jakie? – chciał wiedzieć Kropke.

– Zwyczajna ludzka gadatliwość ma szerokie pole rażenia. Na przykład Beatrice Linckx mogła komuś powiedzieć.

– Wątpię – wymamrotał Kropke. – Myślę, że powinniśmy to najpierw dokładnie sprawdzić. Szukamy sprawcy już od paru miesięcy i kiedy wreszcie pojawia się podejrzany, nie możemy go ot tak sobie wypuścić.

– Róbcie, jak chcecie – powiedział Van Veeteren. – Ja w każdym razie mam się czym zajmować.

– Dobrze – postanowił Bausen. – Poświęcimy mu trochę czasu.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że trwa przesłuchanie – powiedział Bang. – Cześć, PM!

– Cześć – odparł Wollner.

– Co, do cholery... – jęknął Kropke.

– Znacie się? – zapytał Bausen.

– W pewnym sensie – odpowiedział Bang. – To mój sąsiad. Co on tutaj robi?

Wollner wbił wzrok w podłogę.

– Bang – powiedział Bausen, starając się mówić spokojnie. – Czy ostatnio gadałeś z tym delikwentem o swojej pracy?

Aspirant Bang z niespokojną miną przestąpił z nogi na nogę.

– Chodzi panu komisarzowi o sprawę Rzeźnika?

– Tak, chodzi mi o Rzeźnika.

– Niewykluczone – odparł Bang. – A to ważne?

– Dosyć.

– Skończony idiota – powiedział Kropke.

– No to straciliśmy na niego niemal cały dzień – podsumował Bausen.

– Przepraszam, że cię nie posłuchałem.

– Najlepiej nigdy nikogo nie słuchać – odpowiedział Van Veeteren.

– Jeden dzień w tę czy we w tę chyba nie ma aż takiego znaczenia

– wtrącił Kropke. – I tak nic innego nie robimy, tylko tracimy czas.

– A masz jakieś konstruktywne propozycje? – zapytał Bausen.

Kropke nie odpowiedział.

– Która godzina? – zapytał Mooser.

– Dochodzi czwarta – odparł Bausen. – Może na dziś wystarczy.

Czy ktoś ma jakieś pomysły?

Van Veeteren złamał wykałaczkę. Mooser podrapał się po karku. Münster wpatrywał się w sufit. Co za cholerne dochodzenie, pomyślał. Spędzę tu resztę życia. Już nigdy nie zobaczę Synn i dzieci. Równie dobrze mógłbym teraz rzucić tę robotę... Wieczorem wsiądę w samochód i pojedę do domu!

Do pokoju weszła Beate z naręczem papierów.

– Czy to stypa? – zapytała. – Wreszcie doszedł.

– Co doszło? – zapytał Kropke.

– Raport z Aarlach. Od... jak mu tam... Melnika. Wygląda na kawał

porządnej roboty – trzydzieści pięć stron.

– Nie więcej? – zapytał Van Veeteren.

– Niech zerknę. – Bausen przechwycił papiery. Przez chwilę je kartkował.

– Zawsze to jakaś szansa – wymamrotał. – Myślę, że weźmiemy go ze sobą jako pracę domową. Skseruję to, żeby każdy dostał jedną kopię na jutro.

– Dobrze – zgodził się Van Veeteren.

– Czy w tę sobotę też pracujemy? – zapytał Mooser.

– Zbierzemy się jutro przed południem – postanowił Bausen. – Ten, kto znajdzie Rzeźnika, zasłuży na medal. Za pół godziny każdy dostanie swoją kopię.

– Ja też? – zapytał Mooser.

– Oczywiście – odparł Bausen. – Wszyscy należymy do jednego klubu.

– Jakiego klubu? – nie zrozumiał Mooser.

– Ślepych kur – odrzekł Bausen.

## 29

– Chyba potrzebuję spaceru – powiedział Van Veeteren, kiedy wyszli z hali sportowej. Weźmiesz moją teczkę do hotelu?

– Oczywiście – zgodził się Münster. – Co pan sądzi o raporcie Melnika?

– Nic, dopóki go nie przeczytam. Jeśli zaprosisz mnie dziś wieczorem do baru na piwo, możemy go trochę przeanalizować. Trochę procentów na dobry sen. Około jedenastej – pasuje?

– Czemu nie – odparł Münster.

– Ciepły wiatr – zauważył Van Veeteren, robiąc głęboki wdech. – Chociaż wieje z północy. Niezwykłe... brak równowagi w przyrodzie. Chyba zrobię sobie rundkę po plaży.

– Do zobaczenia – powiedział Münster i wsiadł do samochodu.

W holu wpadł na Cruickshanka, który zmierzał właśnie do baru ze zwojem gazet pod pachą. Pozostali dziennikarze zniknęli parę dni temu. Tylko Cruickshank z jakiegoś powodu jeszcze tu został.

– Dobry wieczór – powitał Münstera. – Jest coś nowego?

Münster pokręcił głową.

– Dlaczego tak tu pana przetrzymują? – zapytał. – Chyba nic pan nie napisał od tygodnia?

– Jestem tu na własne życzenie – odparł Cruickshank. – Mam nieciekawą sytuację rodzinną.

– Ach tak?

– Żona nie chce mnie widzieć w domu. Nie to, żebym miał jakieś pretensje, ale cholernie mało motywujące jest bezczynne tkwienie w tej dziurze. Próbuję pisać serię artykułów o uchodźcach, ale tylko po to, żeby z nudów nie gryźć ścian.

– Ojej – odparł Münster.

– A pan? – zapytał Cruickshank. – Pańska sytuacja też chyba nie jest za ciekawa, co?

Münster chwilę się zastanawiał.

– No nie, trudno ją nazwać ciekawą.

Cruickshank westchnął i wzruszył ramionami.

– Miałem zamiar chwilę posiedzieć w barze. Jakby co, zapraszam.

– Dziękuję – odparł Münster. – Mam sporo do przeczytania, ale może później.

Cruickshank poklepał go po ramieniu i ruszył w stronę baru. Kiedy przechodził obok, Münster zauważył, że czuć od niego koniakiem. Cóż, trzeba jakoś to wszystko przetrwać. Münster podszedł do recepcji i wziął klucz.

– Chwileczkę – powiedziała recepcjonistka i schyliła się za ladą. – Jest też list do pana.

Odebrał od niej białą kopertę i wetknął ją do kieszeni. Kiedy był już w pokoju, rozerwał ją długopisem i przeczytał:

Cześć!

Właśnie przejrzałam raport z Aarlach. Zastanowiła mnie jedna rzecz.

To dość dziwne, ale muszę to jeszcze sprawdzić.

Wracam z joggingu około ósmej. Zadzwoń.

Ściskam,



B.

Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po siódmej. Czy faktycznie w raporcie mogło się coś kryć? – pomyślał, sięgając po plik papierów leżący na stoliku nocnym. *Kres taki byłby celem na tej ziemi najpożądańszym<sup>1</sup>.*

Byle tylko ruszyć z miejsca. Ale najpierw trzeba zadzwonić do Synn.

Van Veeteren spacerował najpierw promenadą wzdłuż zachodniego nabrzeża, potem zszedł na plażę. Zaczął już zapadać zmierzch, ale światła dziennego z pewnością mogło jeszcze starczyć na godzinę. Wprawdzie nikłego, ale – jak sądził Van Veeteren – wystarczającego, by się nie zgubić. Tutaj, nad morzem, mocniej czuło się ciepły wiatr i przez chwilę zastanawiał się, czy nie zdjąć butów i nie iść bosą po rozgrzanym piachu ciągnącym się przy krawędzi obmurowanej promenady. Zrezygnował jednak z tego pomysłu. Morze wyglądało na rozleniwione, zupełnie jak wtedy, gdy Van Veeteren był w swoim domku; spienione fale wydawały się znudzone, zupełnie bez życia.

Chyba mamy już siebie dość, morze i ja, pomyślał. Uświadomił sobie przy tym, że takie samo poczucie kończyło wszystkie kolejne wakacje, gdy był jeszcze dzieckiem – tęsknił za domem, chciał do siebie, jak zwykł wtedy mówić. Marzył, by wieczność się skurczyła, stała się uchwytana. Miał ochotę wziąć w ramy cały ten bezczas i bezmiar, który ciągnął się bez końca pod nadmorskim niebem.

Czy i tym razem tak było?

Czy po prostu nad morzem trudniej było opanować wszystkie sprawy? Czy obecność tego bezkresnego szarego lustra oznaczała, że wszystko staje się nieuchwytnie, nie do ogarnięcia... że to dochodzenie

jest przytłaczająco beznadziejne? Reinhart zwykł z całym przekonaniem twierdzić, że to właśnie tutaj – na granicy między lądem, morzem i niebem – każda rzecz zyskuje prawdziwą wagę i znaczenie.

Może być nazwana, określona.

Trudno powiedzieć. Może tak naprawdę jest dokładnie na odwrót. W każdym razie wyraźnie można było odczuć, że tutaj myśli ulatują, stają się niejasne. Kiedy spojrzał przed siebie, na lekko wygiętą linię brzegu ginącego w dali, na zachodzie, w coraz ciemniejszej mgle, trudniej niż kiedykolwiek było mu się skupić i skierować świadomość w jasno określonym kierunku. Jakby wszystko wokół zniknęło w wieczność i ponadczasową ciemność... Tak, bez wątpienia Reinhart się mylił. To cholerne morze zupełnie zamulało myśli.

Chociaż z drugiej strony tutaj człowiek łatwiej chłonał otaczającą go rzeczywistość. Cały ten proces działał w obie strony – żadnych blokad, zarówno jeśli chodziło o impulsy, jak i wnioski. Mówiąc z angielska: *input* i *output*. Wystarczyło tylko utrzymać w sobie wrażenia do momentu, kiedy mógł je przeanalizować, choćby przez chwilę.

A sprawa? Jakie to związane z Rzeźnikiem wrażenia przyniósł ze sobą ciepły wiatr?

Chyba wiało w złym kierunku, coś tu było nie tak. Czuł to już od jakiegoś czasu, a teraz – z każdym kolejnym krokiem stawianym na milczącym, zbitym piachu – utwierdzał się w tym przekonaniu. Kiedy spojrzał wstecz, zrozumiał, że podczas jego rozmowy z Beatrice Linckx coś go uderzyło. Nie pamiętał dokładnie co, wtedy też do końca tego nie wychwytał. Chodziło o którąś jej wypowiedź, coś, co powiedziała mimochodem, jakąś wzajemną zależność między

słowami. Ich nietypową konstelację. To wystarczyło, by pojawiło się w nim jakieś przeczucie.

To i jeszcze coś, co Bausen powiedział podczas ostatniej partii szachów... przesunął właśnie piona i zyskał przewagę, choć właśnie takiego ruchu Van Veeteren się spodziewał, bo był mu na rękę.

Właśnie wtedy Bausen zapalił fajkę i coś powiedział.

Coś równie niejasnego. Jakiś nieuchwytny wątek, który zniknął równie szybko, jak się pojawił, ale który odcisnął swój ślad w pamięci.

Mój Boże! – pomyślał i wypluł przeżutą wykałaczkę. Co za myślowy bełkot! Co za brak precyzji! To pewnie tak się czuje człowiek, kiedy alzheimer dopada na całego.

Chociaż z drugiej strony – tu szybko przerzucił mosty między jedną skrajnością a drugą – to, że pamięć zawodzi, nie jest wcale pierwszą oznaką demencji starczej. Przeciwnie! U starszych bowiem pamięć jest otwarta na oścież i wpuszcza do siebie wszystko. Bez wyjątku.

Jak morze. Jak fale. Trzeba tylko wybrać – wszystko albo nic.

Kim on jest? Kim jest Rzeźnik? Jak długo jeszcze będzie musiał tu tkwić, zanim wreszcie uda im się schwytać tego drania? Co to za dziwne zestawienie słów usłyszał od Beatrice Linckx? I co powiedział Bausen?

A Laurids Reisin? Siedział gdzieś tam, zamknięty w domu, i prawdopodobnie powtarzał sobie w głowie zapewnienie policji, które przekazała mu żona. Czy teraz można było na nim polegać? Co takiego im obiecał? Sześć do ośmiu dni? Kiedy to było? Czy przypadkiem już nie przekroczył terminu, który sam wyznaczył?

Z pewnością tak. Van Veeteren westchnął.

Nagle dwadzieścia metrów przed nim pokazała się ubrana w czerwony dres kobieta. Zbiegła właśnie z promenady. Ciemne włosy miała związane przepaską w tym samym odcieniu co bluza. Ruszyła w stronę wody, na mokry piach, skręciła na zachód, zaledwie w parę sekund znajdowała się już dwa razy dalej. Było w niej coś dziwnie znajomego, dopiero po chwili zorientował się co.

Oczywiście, to inspektor Moerk!

Co takiego powiedział Bausen, kiedy pierwszy raz przyjechali na komisariat?

Uroda i intuicja? Coś w tym stylu... Tak czy inaczej, Van Veeteren mógł się podpisać pod takim podsumowaniem jej osoby.

Westchnął i włożył ręce do kieszeni. Pod palcami wyczuł paczkę papierosów i chwilę toczył ze sobą walkę. A co tam, stwierdził w końcu i zapalił jednego. W tym momencie Beate Moerk już zniknęła w zmroku.

Jak wessana.

Zmrok, pomyślał, głęboko się zaciągając. Tylko on jest na tyle duży, by objąć morze.

Całkiem niegłupia myśl. Będzie musiał ją kiedyś przedstawić Reinhartowi.

Chociaż może jednak morze jest większe, niemal natychmiast poprawił sam siebie. Z pewnością nad innym brzegiem już jest ranek. A zawsze jest jakiś inny brzeg.

Zaparkowała tam gdzie zawsze, obok wędzarni. Zamknęła samochód i rozpięła nieco kurtkę. Wcześniej nie poczuła, że jest aż tak ciepło, na pewno nieźle się spoci.

Ruszyła biegiem i od razu poczuła to wewnętrzne podniecenie rozprzestrzeniające się po ciele, sięgające aż do podskakujących stóp. Na początku narzuciła sobie szalone tempo. Wiedziała, że przyjdzie jej za to zapłacić, ale nie mogła się powstrzymać. Teraz musi przyspieszyć i porządnie się zmęczyć, żeby jakoś uporządkować myśli. Żeby wypocić z siebie tę nerwowość i napięcie, to przyprawiające o drzenie, niemal histeryczne przeczucie nadchodzącego zwycięstwa. Przeczucie podpowiadające, że już wkrótce znajdzie rozwiązanie.

Przełom wreszcie nastąpił. To znaczy może to za dużo powiedziane, ale gdyby tylko mogła pójść tym tropem, który niejasno wyłonił się z raportu Melnika i który teraz, po pierwszym sprawdzeniu, okazał się... No właśnie – jaki?

W każdym razie nic mu nie przeczyło, nic a nic. Ale czy coś z tego wynika?

Zeskoczyła na plażę i podbiegła do wody. Tutaj wiatr był jeszcze cieplejszy, pożałowała, że nie włożyła na siebie czegoś lżejszego.

Zatem nic mu nie przeczyło. Wręcz przeciwnie – wiele, może wręcz wszystko, wskazywało na to, że tak mogło być. Jeśli tylko dziś wieczorem będzie mogła spokojnie wyłożyć wszystko Münsterowi, na

pewno sprawa okaże się jasna...

Zapadał już zmierzch, zaczęła się więc zastanawiać, czy robić dziś całą trasę. Pewnie w lesie, którym zazwyczaj wracała, będzie już ciemno, choć z drugiej strony znała go na pamięć – kojarzyła każdy korzeń, każdą zwisającą gałąź. Ale skrócenie trasy to trochę jak fuszerka, a Beate Moerk fuszerki nie tolerowała.

I przecież Münster nie zadzwoni przed ósmą. Miała sporo czasu.

Zakwasy zaczęły jej dokuczać dość szybko. Dziwne, pomyślała i wreszcie zwolniła. W końcu nie musi dawać sobie takiego wycisku, żeby ostatni odcinek pokonać na czworakach.

Przed oczami stanął jej nagłówek prasowy:

„Policjantka schwyciła Rzeźnika!”.

A poniżej tekst brzmiący mniej więcej tak: „Mimo że do Kaalbringen przysłano ekspertów ze stolicy, to miejscowa policjantka, Beate Moerk, rozwiązała tę słynną już w całym kraju sprawę mordercy z toporem. Mieszkańcy naszego miasta są jej dozgonnie wdzięczni, teraz bowiem mogą znów spacerować wieczorami po ulicach i spać spokojnie...”.

Trudno było nie ulec temu podniecającemu uczuciu satysfakcji i Beate znów przyspieszyła tempo.

Nie zdążyła jednak dojść do końca artykułu, bo oto nagle na myśl przyszedł jej kolejny nagłówek. Tym razem był to tytuł książki, której nigdy nie czytała, ale która wpadła jej w ręce wiele lat temu na wyprzedaży w jej rodzinnym mieście, Friesen. Była to angielska książka zatytułowana:

*The Loneliness of a Long Distance Runner.*

Samotność długodystansowca?

Krzywo stanęła i runęła na piach.

Dlaczego, na Boga, wspomnienie tej książki wypłynęło gdzieś z dna pamięci właśnie teraz?

Porzuciła szybko tę myśl i obejrzała się przez ramię. Plaża była pusta, ani przed nią, ani za nią nie było nikogo. Spojrzała na zegarek. Dwadzieścia po siódmej... za kilka minut powinna być przy kamieniu i tunelu biegnącym pod drogą. Potem ten łatwy odcinek przez las i do domu...

Beate Moerk rozwiązuje zagadkę mordercy z toporem!

Samotność długodystansowca.

Kiedy zbliżała się do szczytu ostatniego wzniesienia, była już porządnie zmęczona. Dokuczały jej zakwasy w udach, a w przełyku czuła, że serce pompuje krew jak szalone. Teraz muszę dać z siebie wszystko, pomyślała. To tylko kwestia silnej woli; zacisnąć pięści, zagryźć wargi i przebiec te ostatnie metry. Dalej, po drugiej stronie wzgórza, biegnie się z górki... tam zwolni kroku, pozwoli ciału się zregenerować, a potem znów dociśnie na tym ostatnim, pięknym odcinku prowadzącym przez bukowy zagajnik aż do wędzarni i parkingu...

Myśl o tym łatwym finiszu, oczekującym na nią samochodzie i gorącym prysznicu niosła ją pod górę, dając jej pozytywnego kopa. Jednak nawet gdyby nie była tak zmęczona i gdyby tego letniego, wrześniowego wieczoru światło było lepsze, to i tak prawdopodobnie nie spostrzegłaby w porę tego ciemnego, stalowego drutu.

Był rozciągnięty na wysokości kolan, na samym wierzchołku wzgórza... dokładnie tam, gdzie gęste listowie brzozy rzucało pogłębiający mrok cień. Padła na ziemię jak długa i zanim się

zorientowała, co się dzieje, on już stał nad nią.



– Myślę, że musimy prosić prasę, żeby na chwilę zostawiła nas w spokoju – powiedział Van Veeteren, kładąc rękę na ramieniu Cruickshanka. – Ale chętnie przejmę pana krzesło.

Münster podniósł wzrok. Komisarz trzymał pod pachą raport Melnika, miał zacięty wyraz twarzy. Układające się w sieć popękane naczyńka zmieniły kolor z czerwonego na niebieski. Worki pod oczami miały ciemną oprawę. Dobry znak, nie ma co.

– A niech mnie – odparł Cruickshank. – Więc po siedmiu chudych latach nastąpił przełom? Czy mogę być pierwszym, który wam pogratuluje? I jak on się nazywa?

– Kto? – zapytał Münster.

– Rzeźnik, oczywiście.

– Jutro dopuścimy pana pod sam ring i pozwolimy przeprowadzić wywiad – powiedział Van Veeteren. – Jeśli tylko teraz grzecznie położy się pan spać.

Cruickshank wypił duszkiem resztki whisky i wstał. Zakołysał się i przez chwilę wyglądał, jakby znów musiał wylądować na krześle, ale w końcu odzyskał równowagę. Potrząsnął głową i odchrząknął.

– Nie ma sprawy. To mamy dżentelmeńską umowę. Dobranoc panom. Jakby co, znacie numer mojego pokoju.

Podziękował Münsterowi za towarzystwo i, kołyszając się, wyszedł.

– Biedaczyna – powiedział Münster.

– Dlaczego? – zapytał Van Veeteren. – Idź mi kupić duże piwo.

– No i? – Van Veeteren podniósł kufel i spił piankę. – Najpierw młodzież! Co znalazłeś?

Münster wyciągnął plik papierów i zaczął je kartkować.

– Tak... Więc mamy tego Podworsky'ego...

Komisarz pokiwał głową.

– Eugen Podworsky, no tak. I co o nim sądzisz?

– Nic o nim nie wiem – odparł Münster. – Ale na pewno coś jest na rzeczy. Myślę, że innym, to znaczy Bausenowi i inspektorom, łatwiej to ocenić. Wiedzą, czy jest znany w mieście i tak dalej...

Van Veeteren zapalił papierosa.

– Właśnie rozmawiałem z Bausenem – powiedział. – Stwierdził, że to nie jest niemożliwe. Wygląda na to, że to właściwy typ. Samotnik, mieszka na jakimś wrzosowisku w okolicach Lindenhället. To jakieś pięć kilometrów w głąb lądu. Siedział już za zabójstwo, chociaż to było wieki temu. Cóż, jest to jakaś opcja. To może być on.

– Nienawiść do ludzi? – zapytał Münster.

– Na pewno rozgoryczenie. Według Bausena. No i facet ma trochę nierówno pod sufitem. Nieczęsto kontaktuje się z ludźmi. Chyba w 1975 roku przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Sprawdzimy to jutro... chyba lepiej trochę się przygotować, zanim się na niego rzucimy. Nawet jeśli to nie on, może nam przysporzyć parę problemów.

Münster pokiwał głową. Van Veeteren pociągnął kilka większych łyków i zadowolony delectował się smakiem.

– Cholera, Münster – powiedział. – Jeśli tylko będę go miał przed sobą, będę wiedział, czy to on, czy nie. Już czas wracać do domu, nie

sądzisz?

Münster zaczął się nerwowo wiercić.

– Co się dzieje, Münster? Coś się stało?

– Nie, nic, to tylko drobnostka. Dostałem wiadomość od inspektor Moerk. Jakaś myśl przyszła jej do głowy i prosiła, żebym zadzwonił.

– I?

– Nie odbiera. Miała być w domu o ósmej... dzwoniłem już wiele razy.

Van Veeteren spojrzął na zegarek.

– Pięć po jedenastej. Spróbuj jeszcze raz, zanim pójdziesz spać. Pewnie po prostu spotkała się z jakimś facetem.

Tak, pewnie tak, pomyślał Münster.

III

24–27 września

Bausen, choć nieogolony, wyglądał rześko. Zawiesił swoją burą marynarkę na krześle i zakasał rękawy wysoko za łokieć.

– Eugen Podworsky – zaczął i wskazał żółtym cienkopisem na Kropkego. – Co o nim wiemy?

– Całkiem sporo – entuzjastycznie odparł Kropke. – Zacząć od początku czy...?

– Tak – zdecydował Bausen. – Chyba nikomu nie umknęło, że jego nazwisko pojawia się w dwóch przypadkach, ale zanim zaczniemy, dobrze będzie poznać tło całej tej historii.

– Chwileczkę – powiedział Van Veeteren. – Myślę, że musimy poświęcić chwilę inspektor Moerk.

Bausen rozejrzał się dokoła stołu, jakby dopiero teraz się zorientował, że w szeregach kogoś brakuje.

– A co z nią? Dlaczego jej tutaj nie ma?

– Ekhm – odparł Van Veeteren. – Myślę, że Münster powinien wyjaśnić.

Münster wziął głęboki wdech.

– No więc wczoraj inspektor Moerk zostawiła mi w hotelu wiadomość. Prosiła, żebym zadzwonił do niej do domu. Trafiła na coś w związku z raportem Melnika, tak napisała, ale wygląda na to, że od wczorajszego wieczoru nie było jej w domu. Nie udało mi się z nią skontaktować.

– Co, do cholery? – zapytał Bausen. – Trafiła na coś... to znaczy na Podworsky'ego?

Münster rozłożył ręce.

– Nie wiem. Prawdopodobnie, ale to nie jest pewne. Pisała, że musi coś sprawdzić.

– Sprawdzić?

– Tak.

– Ale co? – zapytał Kropke.

– Nie mam pojęcia – odparł Münster.

– Zachował pan tę wiadomość?

Münster skinął głową i wyciągnął kopertę z wewnętrznej kieszeni. Kątem oka widział, że Van Veeteren go obserwuje. Poczuł, że się czerwieni. Oczywiście nic nie mógł na to poradzić, ale w tej sytuacji nie miało to żadnego znaczenia. W nocy nie spał więcej niż dwie godziny i odkąd tylko wstał, miał przed oczami widok pokoju zebrań. Albo Beate będzie siedzieć na swoim zwykłym miejscu przy regałach, albo nie. Albo faktycznie spotkała się z jakimś facetem, albo z kimś innym. Nawet przed samym sobą bał się przyznać, że nieco mu ulżyło, kiedy ta pierwsza możliwość się nie sprawdziła. Że to po prostu nie jakiś facet! Rzecz jasna ewentualne skutki tej drugiej możliwości od razu przesłoniły poczucie ulgi, ale owo poczucie pojawiło się i to niewątpliwie powinno dać mu sporo do myślenia.

Bausen przejrzał wiadomość i posłał kartkę dalej.

– Ja już ją widziałem – powiedział Van Veeteren, kiedy doszła do niego. Münster odebrał od niego kopertę.

– „Będę w domu koło ósmej” – powiedział Bausen. – Do licha! Chyba nie sądzicie, że...?

– Co było dalej? – zapytał Kropke. – „To naprawdę dziwne”?

– „To dość dziwne, ale muszę to jeszcze sprawdzić” – sprecyzował Münster.

Bausen wyciągnął fajkę i przez chwilę trzymał ją w ręku.

Nagle cisza w pokoju stała się wręcz namacalna. Bang zuł gumę. Van Veeteren z zainteresowaniem przyglądał się dwóm wykałaczkom – porównał je dokładnie, po czym jedną wetknął do kieszonki, drugą – między zęby. Kropke powoli bębnił palcami, a Mooser wyglądał przez okno.

Dobry Boże! – pomyślał Münster. Wszyscy mają ją przed oczami! Przełknął ślinę. Coś zimnego i mokrego podeszło mu do gardła i ścisnęło mu przeponę.

– Przepraszam – wydusił z siebie. Wstał i wyszedł do łazienki.

– Kropke – zarządził Bausen. – Idź do siebie i zadzwon!

Kropke zniknął w swoim pokoju. Van Veeteren wyciągnął wykałaczkę.

– Kiepski pomysł – powiedział. – Próbowaliśmy już dwa razy z hotelu. Chyba słyszałeś, co mówił Münster?

Bausen pokiwał głową i podszedł do okna. Wyglądając na podwórko, przejechał dłonią po zaroście i westchnął ciężko. Wrócili Münster i Kropke. Kropke pokręcił głową.

– Nie odpowiada – powiedział. – I co sądzicie?

– Podworsky? – Bausen odwrócił się od okna. – Myślicie, że naprawdę... że naprawdę wpadłoby jej do głowy jechać do Podworsky’ego?

Kropke chrząknął.

– Nie – powiedział. – To nie w jej stylu.

– Czyste szaleństwo – wtrącił Mooser. – Nikt nie pojechałby tam z własnej woli. Nawet gdyby chodziło o zwykłą sprawę. A już jeśli

ktoś podejrzewa, że to on jest Rzeźnikiem, to nie rozumiem po co...

W tym momencie Münster miał dość.

– Przestańcie! – wrzasnął i walnął pięścią w stół. – Chyba najwyższa pora, żebyśmy coś zrobili, zamiast siedzieć tu i gadać! Chyba zostaje nam tylko wsiąść w samochód i pojechać do tego typu. Na co czekamy?

Bausen spoglądał na niego z uniesionymi brwiami.

– Stanowczo uważam... – zaczął.

– Brawo, Münster! – przerwał mu Van Veeteren. – Jestem skłonny się z tobą zgodzić. Trzeba działać.

Münster oparł się na krześle i westchnął.

– Przepraszam – powiedział.

– Dobrze już – odparł Bausen. – Paskudna sprawa. Może w takim razie powinniśmy...

– Chwileczkę – przerwał znów Van Veeteren, pochylając się nad stołem. – Myślę, że zanim poczynimy jakieś kroki, musimy wyjaśnić kilka rzeczy. Po pierwsze, nie wydaje mi się zbyt prawdopodobne, żeby inspektor Moerk wybrała się do tego Podworsky'ego... według mnie taka możliwość nie wchodzi w rachubę.

– A dlaczego? – zapytał Kropke.

– Czas – odparł Van Veeteren. – Nie starczyłoby jej czasu. Wczoraj wyszła stąd o tej samej godzinie co my, prawda? Mniej więcej o wpół do piątej.

Kropke i Mooser przytaknęli.

– W teczce miała raport Melnika, tak jak my... Według recepcjonistki dwadzieścia po szóstej zostawiła wiadomość w hotelu. Napisała, że ma zamiar coś sprawdzić. Zauważcie, że wtedy jeszcze tego nie zrobiła... Między wpół do piątej a szóstą dwadzieścia ledwo



co zdążyła przeczytać raport i wskoczyć w dres.

– Zgadza się – przytaknął Bausen.

– Cokolwiek miała zamiar sprawdzić, musiała to zrobić po wyjściu z hotelu... mniej więcej pomiędzy wpół do siódmej a piętnaście po. Zatem miała na to czterdzieści pięć minut.

– Piętnaście po siódmej? Skąd ta pewność, komisarzu? – zapytał Kropke.

– Stąd, że ją widziałem.

– Widziałeś ją?! – aż krzyknął Bausen. – Gdzie?

Van Veeteren wypluł wykałaczkę.

– Widziałem ją na plaży, jakiś kwadrans po siódmej.

– Co ona tam robiła? – zdziwił się Mooser.

– Biegła. Na zachód.

W pokoju znów zapadła cisza.

– Miała być w domu około ósmej – powiedział Münster.

– Była sama? – zapytał Kropke.

Van Veeteren wzruszył ramionami i spojrzał na Münstera.

– Tak, zupełnie sama. Może ja i Münster powinniśmy tam pojechać i trochę się rozejrzeć. Chyba aspirant Mooser mógłby jechać z nami?

Bausen pokiwał głową.

– To co, widzimy się tutaj za dwie godziny? – zaproponował. – W międzyczasie ja i Kropke wybierzemy się do Podworsky'ego. Zbadamy teren, a może uda się zrobić coś więcej.

– To ten? – zapytał Van Veeteren.

Mooser pokiwał głową.

– Na pewno?

– Oczywiście, że na pewno. To jej samochód. Mazda 323.

Pomagałem jej zmienić pasek klinowy.

– To ten – wymamrotał Münster.

– Tak – powiedział Van Veeteren. – To mniej więcej tutaj ją widziałem. Jakieś dwieście, trzysta metrów stąd.

Wskazał ręką na plażę. Absolutnie nie była tak pusta jak wczorajszego wieczoru. Spacerowali po niej ludzie, dla których niedziela była dniem wolnym. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Długowłose nastolatki grały w piłkę nożną, wokół ganiały psy. Dwa identyczne latawce szybowwały na wietrze. Na tle przejrzystego nieba wyglądały jak żółte kawałki masła podskakujące na patelni. Zachmurzenie i nieustępujące ostatnio mgła i tęcze jakby zniknęły w ciągu ostatniej nocy. Mewy znów latały wysoko, a powietrze było czyste. Przesycone zapachem soli, rześkie.

Münster zagryzł wargę. Van Veeteren kołysał się z pięty na palce i, co do niego niepodobne, wyglądał, jakby nie wiedział, co robić. A może to tylko poza, pomyślał Münster. Nie zdziwiłbym się.

W końcu Mooser przerwał milczenie.

– Myślicie, że...?

– Nic nie myślimy – przerwał mu Van Veeteren. – Co pan, do cholery, sugeruje, aspirancie?

– No ale...

– Cisza! – krzyknął Van Veeteren. – To nie jest dobry moment na zgadywanki. Wie pan, jaką trasą biegła?

– Chyba tak. Po prostu biegła w tę i z powrotem wzdłuż plaży. Albo może wracała przez las.

– Hmm. Zawsze biegła sama? – zapytał Van Veeteren.

– Nie – odparł Mooser. – Czasami ćwiczyła razem z Gertrude Dunckel.

- Kto to? – zapytał Münster.
- Koleżanka. Pracuje w bibliotece.
- Nie ma chłopaka?

Mooser chwilę się zastanawiał.

– Nie... To znaczy akurat teraz nie. Zadawała się z takim jednym przez parę lat, ale odszedł. No i był też Janos Havel, ale z nim też już skończyła.

– No właśnie, skończyła. Czy przerobimy cały jej życiorys, zanim wreszcie stąd ruszemy?

Mooser odchrząknął.

– Plażą w tę stronę, lasem z powrotem?

– Idziemy tylko lasem – zdecydował Van Veeteren. – Na plaży już by ją znaleźli. On nie ma w zwyczaju skrzętnie ukrywać ofiar.

– Cholera – powiedział Münster.

– Myślę, że zaczynała przy samochodzie i do niego dobiegała – ciągnął Van Veeteren niewzruszenie. – Mooser, wie pan, czy przez ten las prowadzi kilka ścieżek?

– Nie sądzę. To przecież tylko wąski pas drzew. Jest jedna, której wszyscy używają. To dość pagórkowaty szlak. Spróbujemy tam?

– Ruszamy! Nie ma czasu do stracenia!

## 33

– Nie jedź tak szybko, do cholery – powiedział Bausen. – Musimy się zastanowić, co i jak robimy, kiedy już będziemy na miejscu.

Kropke zdjął nogę z gazu.

– Komisarzu, wziął pan broń? – zapytał.

– No tak. Przecież wiedziałem, że to wyjątkowa akcja. Ale rozumiem, że ty też masz swoją?

Kropke poklepał się po boku.

– Dobrze przynajmniej, że nie wisi ci u pasa – wymamrotał Bausen. – Stop! Tutaj jest zjazd.

Kropke przyhamował i skręcił w wąską drogę biegnącą przez wrzosowiska. Stado dużych czarnych gawronów poderwało się od jakiejś niewielkiej padliny. Kiedy tylko je wyminęli, ptaki usiadły z powrotem.

Skrzeczwały przy tym pewne siebie. Bausen rozejrzał się po tym pustkowiu. Gdzieś w dali widać było szkielety kilku niskich budynków, mniej lub bardziej zrujnowanych... ściany bez okien, dziurawe dachy. Ale Bausen pamiętał, że jakieś pół wieku temu i one pełniły swoją funkcję – wtedy to z tych bagnistych terenów wciąż wydobywano torf. Niesamowite, że te torfowe szopy wciąż stoją, pomyślał. Przypomniawszy sobie też, że kiedy był młody, miały one i inne zastosowanie – było to prawdziwe miłosne gniazdko dla tutejszej, niemającej własnych mieszkań młodzieży. Oczywiście trzeba było

trochę zachodu, żeby się tu dostać, ale jeśli tylko komuś się to udało, te samotnie położone budynki oferowały nieograniczone możliwości, jeśli chodzi o intymne spotkania... Jak na mongolskich stepach, pomyślał. Świątynia miłości. Pamiętał co najmniej dwa, nie, trzy razy, kiedy naprawdę udało mu się...

– To tam z przodu, prawda? – zapytał Kropke.

Bausen spojrzął przed siebie i skinął głową. To tu. Nieco schowany za świerkami stał dom Eugena Podworsky'ego. Bausen znał jego historię. Wzniesiono go pod koniec dziewiętnastego wieku i przez kilka dziesięcioleci mieszkali w nim rodziny brygadystów z torfowiska. Potem, na początku lat dziewięćdziesiątych, ów przemysł stał się nieopłacalny i wreszcie go zlikwidowano, a wkrótce, jak wiele innych działek w Kaalbringen i w okolicy, także ten teren wpadł w ręce Ernsta Simmela. A później trafił pod niezbyt troskliwą opiekę Eugena Podworsky'ego.

– Okropny widok – powiedział Kropke, parkując obok mocno rozrośniętego świerka.

– Wiem – odparł Bausen. – Widzisz gdzieś ciężarówkę?

Kropke potrząsnął głową.

– To chyba kiepski pomysł, żeby się zakradać – stwierdził Bausen.

– Jeśli facet jest w domu, to miał nas na oku od pięciu minut... wystarczająco dużo czasu, żeby naładować broń i usadowić się w kuchennym oknie.

– Dziwne, że Simmelowi nie udało się go stąd wyrzucić – powiedział Kropke.

– W ogóle nie rozumiem, po co próbował. Myślisz, że ktoś chciałby to kupić?

Kropke się zastanowił.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Może jakiś ekolog amator. To co robimy?

– Musimy wejść do środka i sprawdzić co i jak – powiedział Bausen. – Skoro już i tak tu jesteśmy... Pójdę pierwszy. Ty trzymaj się kawałek za mną. Jakby coś się działo, sięgniesz po broń. Nigdy nie wiadomo...

– Okej.

– Chociaż wydaje mi się, że nie ma go w domu.

Bausen wysiadł z samochodu. Ruszył wzdłuż rzędu wybudowanych świerków i wszedł przez furtkę. Wisząca na niej przerdzewiała i odrapana skrzynka na listy świadczyła o tym, że poczta zadawała sobie trud, żeby przejechać te parę dodatkowych kilometrów. Prawdopodobnie Podworsky groźbami wymusił na dyrektorze dostarczanie korespondencji, pomyślał Bausen i wyciągnął ze skrzynki gazetę.

– Dzisiejsza – stwierdził. – Możesz schować pistolet do kabury. Nie ma go w domu.

Poszli wydeptaną ścieżką do werandy. Z jednej strony drzwi stał wytarty skórzany fotel, z drugiej – wisiał hamak. Najwidoczniej Eugen Podworsky miał w zwyczaju cieszyć się tu ciepłymi, letnimi i jesiennymi wieczorami. Pod ścianą piętrzyły się puste butelki, wokół leżały sterty gazet, a na chwiejnym metalowym stoliku stało radio, puszka po konserwach wypełniona piachem i petami oraz brudnawa szklanka od piwa. Szaro-żółty kot otarł im się o nogi, drugi – o nieco ciemniejszej sierści – leżał wyciągnięty przed drzwiami.

– No dobrze. To co robimy? – zapytał znów Kropke.

– Cholera wie – powiedział Bausen. – Kto przeszukiwał Podworsky'ego po zabójstwie Simmela? Bo chyba go

przesłuchiwaliśmy...?

Kropke podrapał się pod pachą.

– A niech to – odparł. – Moerk... tak, ona. Na pewno.

Bausen zapalił papierosa. Wszedł na werandę i zastukał do drzwi. Kot zasyczał i przesunął się na bok.

– Otwarte – zauważył Bausen. – Wejdziemy?

Kropke pokiwał głową.

– Myśli pan, komisarzu, że w środku będzie lepiej niż na zewnątrz?

– Byłem tu raz, jakieś dwanaście, piętnaście lat temu – powiedział Bausen i wszedł w półmrok przedpokoju. Rozejrzał się wokół. – Wydaje mi się, że chyba raczej nie udekorował sobie mieszkanie od tamtego czasu...

Dwadzieścia minut później siedzieli z powrotem w samochodzie.

– Mało owocna wyprawa – stwierdził Kropke.

– Może i tak – odparł Bausen. – Miał całe mnóstwo książek.

– I co pan sądzi?

– A co sądzi mój następca?

– Sam nie wiem. – Kropke starał się ukryć zakłopotanie. – Trudno powiedzieć. W każdym razie ta wyprawa nic nam nie dała. Musimy przecież go schwytać. Potem porządne przesłuchanie... wydaje mi się, że w tych okolicznościach chyba mamy prawo mocniej go docisnąć.

– No tak.

Kropke odpalił silnik.

– Jak pan myśli, gdzie on jest? – zapytał.

– Pewnie na rynku – stwierdził Bausen. – Coś mi się wydaje, że w niedziele lubi tam wystawać. Zauważyłeś tę cieplarnię na tyłach

domu?

– Tak, oczywiście. To co, złapiemy go na rynku? Czy musimy dać sobie z nim spokój, bo nie znaleźliśmy zakrwawionych ubrań pod łóżkiem?

Bausen milczał przez chwilę.

– Myślę, że najpierw musimy to przedyskutować z naszymi gośćmi – powiedział w końcu. – Pojawiła się przecież ta sprawa z Moerk, chyba nie zapomniałeś?

Kropke zabębnił palcami o kierownicę.

– Myśli pan komisarz, że ją... znaleźli?

– Mam nadzieję, że nie. Przynajmniej nie w takim stanie, w jakim sugerujesz.

Kropke przełknął ślinę i przyspieszył. Nagle przed oczami stanęły mu w połowie odrąbane głowy poprzednich ofiar. Spuścił wzrok i zorientował się, że zbieleły mu knykie.

Mój Boże, chyba nie doszło do...



## 34

– Nic? – zapytał Bausen.

– Nic – odparł Van Veeteren. – I może dzięki Bogu. Ale obawiam się, że nie ma się z czego cieszyć... Po bieganiu nie wróciła do domu.

– Skąd wiecie?

– Samochód. Wciąż stoi przy wędzarni – wtrącił Mooser.

Bausen pokiwał głową.

– A jak u was? – zapytał Münster.

– Nie było go. – Bausen wzruszył ramionami.

– A na rynku? – zapytał Mooser. – Zazwyczaj sprzedaje tam warzywa.

Kropke potrząsnął głową.

– Nie, właśnie stamtąd wracamy. Dzisiaj go tam nie było.

– No tak. – Van Veeteren zawiesił marynarkę na krześle. – Najwyższy czas, żeby wziąć się w garść. Zrobił nam się tu niezły bajzel.

– Bang – powiedział Bausen – idź do Sylvie i powiedz jej, że dziś potrzebujemy czegoś ekstra.

Bang zasalutował i wyszedł. Pozostali rozsiedli się wokół stołu, z wyjątkiem Van Veeterena, który otworzył okno i wyglądał przez nie na okoliczne dachy. Bausen się pochylił i oparł głowę na dłoniach. Wziął głęboki wdech i zapatrzył się na wiszące na przeciwległej ścianie portrety swoich trzech poprzedników.

– Dobra – powiedział po chwili. – Co robimy, do cholery! Bądźcie tak mili i powiedzcie staremu glinie, który zaraz przejdzie na emeryturę! Co, do cholery, robimy?

– Hm. Dobrze pytanie – stwierdził Münster.

– Zostało mi siedem dni do końca pracy – dodał Bausen i wydmuchał nos. – Chyba ktoś chce, żebym te ostatnie dni poświęcił na szukanie jednego z moich inspektorów. Żebym znalazł ją z odciętą głową w jakimś cholernym rowie... To się dopiero nazywa piękne zakończenie lat pracy.

– Cholera – zgodził się z nim Münster.

Zapadła cisza. Bausen splótł dłonie przed sobą i zamknął oczy. Przez chwilę Münsterowi wydawało się, że szef się modli, ale po chwili otworzył oczy i znów się odezwał.

– Beznadziejna sprawa – powiedział.

– Nie da się ukryć. – Van Veeteren usiadł. – Może być beznadziejna. Ale może zamiast przeklinać, spróbowalibyśmy do czegoś dojść. Choć to oczywiście tylko skromna propozycja.

– Przepraszam – powiedział Bausen i wziął głęboki wdech. – Oczywiście masz rację. No ale i tak czekamy na kawę, prawda? Kropke, wróć do życiorysu Podworsky’ego, tak jak było w planach.

Kropke skinął głową i zaczął przeszukiwać swoje notatki.

– Podamy to do wiadomości publicznej? – zapytał Mooser. – Że zaginęła?

– Potem się tym zajmiemy – odparł Van Veeteren. – Trzeba się nad tym chwilę zastanowić.

– Podworsky – powiedział Kropke. – Eugen Pavel. Urodzony w roku 1935. Przyjechał do Kaalbringen jako imigrant pod koniec lat

pięćdziesiątych. Imał się różnych zajęć. Na początku mieszkał w barakach robotniczych, ale kiedy je zburzono, przeniósł się do domu na wrzosowiskach. Budynek stał pusty już od kilku lat, a wprowadził się dlatego, że był zaręczony i mieszkał z Marią Massau, siostrą Grete Simmel.

– Aha! – powiedział Münster. – Szwagier Ernsta Simmela.

– Mniej więcej tak – powiedział Bausen. – Kontynuuj.

– Można powiedzieć, że Podworsky od zawsze był dziwakiem. Trudno było z nim wytrzymać, potwierdziło to wiele osób. Od czasu do czasu miał problemy z piciem. I pomyśleć, że wyciągnął na wrzosowiska tę biedną kobietę... cóż, z pewnością niewesoło jej się żyło.

– Mów dalej – wtrącił Bausen.

– W roku 1968 doszło do zabójstwa. Z jakiegoś powodu Podworsky zaprosił do domu paru znajomych... o ile dobrze pamiętam – samych mężczyzn?

Bausen pokiwał głową.

– Nietrudno zgadnąć, że porządnie sobie popili i jeden z nich zaczął zaczepiać Marię... trochę flirtował, nic więcej chyba nie wchodziło w grę, ale Podworsky się wściekł. Zaczął prawdziwą rozróbę, która skończyła się tak, że przepędził do domów wszystkich z wyjątkiem tego delikwenta. Jego zatrzymał, a potem – w nocy – zatłukł pogrzebaczem. Mężczyzna nazywał się Klaus Molder.

– Skazano go za zabójstwo – kontynuował Bausen. – Przesiedział sześć lat w Klejmerhuus. W międzyczasie Maria Massau zachorowała na białaczkę. Podobno choroba zaczęła się w dzieciństwie, ale latami nie była aktywna. Coraz bardziej jej się pogarszało, w końcu zmarła w tym samym miesiącu, kiedy go zwolniono.

– Dostał jakieś warunkowe zwolnienie, żeby się z nią zobaczyć? – zapytał Van Veeteren.

– Tak, ale nie chciała go widzieć – ciągnął Kropke. – No i chyba też nie czuła takiej potrzeby. Przez większość czasu mieszkała u Simmelów, a pod koniec życia – głównie w szpitalu. Kiedy wyszedł, od razu wprowadził się do domu, chociaż ten teoretycznie należał do Simmela. Ale ten, ze względów rodzinnych, oddał dom do dyspozycji Podworsky’emu. Potem Simmel kilkakrotnie próbował go wyrzucić, ale w końcu się poddał.

– Dlaczego? – zapytał Van Veeteren.

– Nie wiadomo – odparł Kropke.

– No właśnie – dodał Bausen. – To trochę niejasne: albo się zmęczył, albo kryło się w tym coś innego. W każdym razie zrodziły się z tego plotki, które przetrwały do dziś.

– Jakie plotki? – zainteresował się Münster.

– Wszelkie możliwe – powiedział Bausen. – Na przykład że Podworsky pewnie nastraszył Simmela tak, że ten – mówiąc obrazowo – aż się posrał w gacie. Albo że miał na niego jakiegoś haka.

Van Veeteren pokiwał głową.

– No proszę. Z tego co zrozumiałem, nie byli szczególnie lubiani w mieście? – zapytał.

– Zgadza się – potwierdził Kropke.

– Dlaczego Podworsky przeszedł na wcześniejszą emeryturę? – zapytał jeszcze Van Veeteren. – To było tuż po tym, jak wyszedł?

– Prawie – odpowiedział Bausen. – W więzieniu nabawił się urazu kręgosłupa czy czegoś takiego. Właściwie nie miał szans na znalezienie roboty.

– Więc od tamtej pory mieszkał sam na tym bezludziu – dokończył Kropke. – Od 1974 roku. Prawdziwy wilk stepowy.

– Potem wchodził jeszcze w konflikt z prawem? – zapytał Münster.

– Nie – odparł Bausen. – Krążyły plotki o tym, że pędzi i sprzedaje bimber albo że kupuje towar bez cła ze Wschodu. Byłem u niego pod koniec lat siedemdziesiątych, ale niczego nie znalazłem. Może ktoś go ostrzegł.

Van Veeteren podrapał się po głowie długopisem.

– Taaa – powiedział. – No i tu dochodzimy do tej historii z Aarlach.

– Muszę przyznać, że to cholernie dziwny zbieg okoliczności – powiedział Bausen. – Nie sądzicie? Co on tam robił, u licha? To w końcu dwieście kilometrów stąd, a Podworsky nigdy nie sływał z zamiłowania do podróży. Kiedy to było?

– Piętnastego marca 1983 roku – wyjaśnił Kropke. Nie wiedzieć czemu wdał się w barze w jakąś porządną bijatykę z dwoma studentami medycyny, z których jednym był Maurice Rühme. Straty z powodu dewastacji lokalu sięgnęły kilku tysięcy guldenów, a zarówno Podworsky, jak i kumpel Rühmego wylądowali w szpitalu na kilka tygodni. Miał być proces, ale skończyło się na ugodzie.

– Sprawka Jean-Claude’a Rühmego? – zapytał Van Veeteren.

– Prawdopodobnie – odparł Bausen. – Chyba musimy dokopać się trochę głębiej, jeśli chodzi o tę sprawę. Rozwinąć tę historię z raportu Melnika i znaleźć tego drugiego studenta, Christiana Bleuwego, tak?

– Niestety tak – stwierdził Van Veeteren.

– Dlaczego Niestety?

– Bleuwe nie żyje. Nie napisano o tym w raporcie, ale dzwoniłem

wczoraj do Melnika – potwierdził to. Zginął w jakimś wybuchu dwa lata temu. Prosiłem Melnika, żeby dowiedział się, o co chodziło z tą awanturą w barze. Ma się do nas odezwać.

Kropke coś zanotował. Bausen zmarszczył czoło.

– Wybuch? – zapytał.

Van Veeteren pokiwał głową i sięgnął dłonią do kieszonki.

– Skończyły mi się wykałaczkki. Masz może papierosa? – zapytał.

Bausen podał mu paczkę.

– Więc co to był za wybuch? – zapytał.

– Wyglądało na jakiś zamach terrorystyczny – odparł Van Veeteren, pstrykając zapalniczką. – Baskijscy separatyści, jak twierdził Melnik, ale nie był pewien.

– Gdzie? – zapytał Münster.

– Gdzie? – powtórzył Van Veeteren i podpalił papierosa. – Oczywiście w Hiszpanii. Gdzieś na Costa del Sol. Samochód pułapka. Zginął Bleuwe i dwóch Hiszpanów.

Kropke wstał i zaczął mamrotać.

– Czy to... czy przypadkiem... jak to się nazywało, do cholery?

– Ma pan na myśli Las Brochas, inspektorze? – zapytał Van Veeteren, próbując zrobić kółko z dymu.

Czasami on przechodzi sam siebie, pomyślał Münster.

– Las Brochas! No właśnie! – krzyknął Kropke.

– Pudło – odparł Van Veeteren. – To było w Fuengirolí, ale to zaledwie dwadzieścia kilometrów dalej.

– Ale co to, do cholery, znaczy? – zapytał Kropke. – Czy ktoś może mi to wyjaśnić?

Bausen wetknął fajkę w usta i spojrzał na Van Veeterena.

– Cóż – odparł Van Veeteren. – Trudno powiedzieć. Na pewno musimy poczekać, aż dostaniemy więcej informacji o tej barowej awanturze. Może to po prostu dziwny zbieg okoliczności. Zazwyczaj w życiu jest ich więcej, niż to sobie wyobrażamy, ale może ten tutaj ma jakieś drugie dno.

Na kilka sekund zapadła cisza i nagle Münsterowi wydało się, że zastygłe powietrze w pokoju zaczęło drgać. Koncentracja i intensywne myślenie każdego z nich stały się niemal namacalne. Münster poczuł dobrze znany dreszcz na plecach. Czy to początek rozwiązania tej sprawy? Czy już będą mogli ją zakończyć?

– Skontaktuję się z Melnikiem – powiedział Bausen.

– A co z Moerk? – zapytał Kropke.

Bausen nie wiedział, co odpowiedzieć.

– No, a jak myślicie?

– Ja i Münster pojedziemy do jej mieszkania – powiedział Van Veeteren po kolejnej chwili ciszy. – Rozejrzymy się trochę, ale dyskretnie.

– Czyli trzymamy to w tajemnicy? – zapytał Kropke, spoglądając to na Bausena, to na Van Veeterena.

– Przynajmniej na razie – odpowiedział Bausen. – Kiedy gazety się o tym dowiedzą, rozpęta się piekło.

– Nie ma co do tego wątpliwości – zgodził się Van Veeteren.

– Kropke i Mooser – postanowił Bausen – zajmiecie się szukaniem Podworsky’ego.

Kropke skinął głową.

– Jakież wskazówki?

– Nie.

– A Bang? – zapytał Bang.

– Skocz na rowerze do pani Simmel i zapytaj, czy wie coś o tym zamachu bombowym. No i o Podworskym, oczywiście.

– Ach tak? – Bang wyglądał na zaniepokojonego.

– Kropke przygotowuje ci pytania.

– No dobrze – westchnął Kropke.

– Następne zebranie i sprawozdania o szóstej – zakończył Bausen.

Van Veeteren wstał.

– Masz parę dobrych wytrychów?

Bausen pokręcił głową.

– No nic. W takim razie nakłamiemy dozorcę.

Münster zgniótł papierowy kubeczek po kawie i cisnął go do kosza.

– Przepraszam, że zapytam, ale czy naprawdę nie powinniśmy wykorzystać wszystkich środków do poszukiwań inspektor Moerk?

– Ma pan na myśli gazety, komunikaty o zaginięciu, słowem – cały arsenał?

– Tak.

Bausen podrapał się po karku. Wyglądał na zatroskanego.

– Nie, Münster, nie ma pan racji. Nie możemy teraz myśleć sercem. Jeśli żyje, to żyje. Jeśli zginęła, to zginęła. Może to brzmi cynicznie, ale takie są fakty. Na pewno nie jest tak, że inspektor Moerk właśnie gdzieś się wykrwawia. Damy sobie czterdzieści osiem godzin, do poniedziałkowego południa. Jeśli piekło i tak się rozpęta, to trudno, nie ma po co go przyspieszać.

– No dobrze – westchnął Münster.



Przejście z komisariatu do położonego na Vrejsbakk mieszkania Beate Moerk zajęło im niemal pół godziny, a to głównie dlatego, że Van Veeteren zdawał się specjalnie nie spieszyć. Całą drogę szedł z rękami w kieszeniach i ściągniętymi ramionami, jakby marzył w tym słabym, jesiennym słońcu. Münster parę razy próbował go o coś zapytać, ale szybko się poddał. Było jasne, że komisarz jest zatopiony we własnych myślach i nie życzył sobie, żeby mu przerywano. Najwidoczniej wychodził też z założenia, że Münster zna drogę, cały czas bowiem szedł kilka metrów z tyłu i nie spuszczał wzroku z pięt swojego młodszego kolegi.

Z niemałym trudem Münsterowi udało się przekonać dozorcę, ponurego faceta cuchnącego potem, żeby zaprowadził ich na górę. Pokrętnie powołując się na śledztwo i na to, że inspektor Moerk musiała gdzieś wyjechać służbowo, namówił go też, żeby wpuścił ich do mieszkania.

– Mam nadzieję, że wkrótce coś wyjaśnicie – powiedział im dozorca z błyskiem w oku. – Nie każdego stać na to, żeby tydzień po tygodniu mieszkać w hotelu.

Van Veeteren się obudził i zmierzył go wzrokiem.

– Na pańskim miejscu uważałbym na to, co mówię! – zagrzemiał. – A poza tym poszedłbym do domu i się umył. Proszę otwierać drzwi!

Dozorca w milczeniu przekręcił klucz.

– Dziękuję, dalej poradzimy sobie sami – powiedział Van Veeteren.

– Chyba niczego tu nie znajdziemy.

Münster rozejrzał się wokół.

– A dlaczego nie?

– Bo morderca miał sporo czasu na to, żeby tu przyjechać i sprzątnąć to, co chciał sprzątnąć. Całe mnóstwo czasu.

Münster pokiwał głową.

– Byłeś tu już wcześniej, tak?

– Raz. To czego szukamy?

– Raportu Melnika, oczywiście – odparł Van Veeteren. – Egzemplarza, który dostała Moerk. Ale założę się o sto guldenów, że go nie znajdziesz.

– Nie? A dlaczego?

– Chyba sam wiesz. Ale jak sądzisz – gdzie mógłby być?

– W gabinecie. Bawiła się trochę w opracowywanie własnych teorii w tej sprawie. Ma sporo notatników z zapiskami.

– To tutaj?

– Tak.

– Poczekaj – powiedział Van Veeteren. – Zanim zaczniemy tu grzebać, czy widzisz coś niezwykłego? Coś, co by wskazywało na to, że on tu był i węszył?

Münster spojrział na utrzymane w porządku biurko i znajdujące się na nim kubek na długopisy, notatnik, telefon i kartki. Regały z żaluzyjnymi drzwiami z bambusa, reprodukcje Kandinsky’ego i Schaffnera...

– Nie – odparł.

– Wygląda na to, że to schludna babka – stwierdził Van Veeteren.

– Raport powinien leżeć na biurku, prawda?

– Tak sędzę.

Po dziesięciu minutach poszukiwań Van Veeteren miał dosyć, więc dali za wygraną. Zeszli na dół i powiedzieli dozorczy, że może zamknąć mieszkanie. Facet coś wymamrotał, ale najwidoczniej nie miał już odwagi na jasne artykułowanie swoich opinii o wątpliwym pożytku, jaki ma z nich społeczeństwo.

– Są dwie możliwości – wyjaśnił Münsterowi Van Veeteren, kiedy już doszli do prowadzącej do centrum alei Rejdersa. – Albo wzięła go ze sobą do samochodu, albo sprawca był tutaj w nocy i zabrał go.

– Proszę wybaczyć moją ignorancję, ale dlaczego pan komisarz uważa, że to takie ważne?

– Oczywiście dlatego, że zrobiła sobie na nim notatki – prychnął Van Veeteren. – Przecież pisała, że trafiła na coś w tym raporcie. Cokolwiek by to było, na pewno zapisała to sobie na marginesie. Postawiła znak zapytania, krzyżyk, podkreśliła jakieś zdanie... bez różnicy. Tak czy inaczej, wystarczyłoby to, żebyśmy go namierzyli, gdybyśmy byli odpowiednio uważni. Rozumiesz?

– Skoro pan tak mówi...

Kolejne dziesięć metrów pokonali w milczeniu.

– Więc to nie Podworsky? – zapytał Münster.

– Nie wiem. Trochę zacząłem w to wątpić, ale cholera wie, to może być on. Zastanawia mnie to słowo „dziwne”. Można sądzić, co się chce, o tym wyrzutku, ale dlaczego miałyby to być „dziwne”?

Münster nie odpowiedział. Muszę przeczytać ten raport najszybciej, jak się da, pomyślał. Może na coś trafię...

– Jeśli dopisze nam szczęście, to znajdziemy go w samochodzie – ciągnął Van Veeteren. – Ale to naprawdę oznaczałoby farta. Idziemy

tam.

– Münster, umiesz się włamywać do samochodów? – zapytał Van Veeteren, kiedy zbliżali się do wędzarni.

– Tak sobie.

– Lepiej, żebyśmy nie wzbudzili za dużo zainteresowania. Kręci się tu sporo ludzi. Szkoda, żeby zaczęli coś podejrzewać, skoro i tak z rozpętanym piekłem zdecydowaliśmy się poczekać do poniedziałku.

Wyciągnął z kieszeni stalowy drut.

– Ten będzie dobry?

Münster ocenił drut wzrokiem.

– Tak myślę.

– No to już. Ja stanę tutaj. Ty idź i otwórz. Pół minuty, nie dłużej.

Münster ruszył w stronę parkingu. Przykucnął za czerwoną mazdą i załatwił sprawę w dziesięć sekund.

– Nieźle – powiedział Van Veeteren, podchodząc do niego. – Dobry chwyt. A teraz wskakuj, do cholery!

Ale już po kilku minutach zorientowali się, że w samochodzie, tak jak w mieszkaniu, nie znajdą ani jednego śladu. Na pewno jasne było, że ani Beate, ani jej zabójca nie grzeszyli lekkomyślnością na tyle, żeby zostawiać tak ważny raport w aucie.

To znaczy, owszem, inspektor Moerk mogłaby to zrobić. Van Veeteren westchnął i wysiadł.

– Chodź. Jeszcze raz przejdziemy się tą ścieżką dla biegaczy. Tym razem zahaczymy także o plażę.

Münster skinął głową.

– I musimy mieć oczy szeroko otwarte, Münster! Inspektor Moerk zaginęła tutaj wczorajszego wieczoru. W całej tej sprawie tylko to jest

pewne.

– To prawda, zgadzam się.

Van Veeteren przeglądał kieszenie w poszukiwaniu papierosa i ku swojej radości znalazł paczkę od Bausena.

– Gdzieś tutaj – powiedział, machając ręką – to gdzieś tutaj się wczoraj zaczął i zaatakował. Czaił się i czekał, aż ona nadbiegnie. A potem...

– A potem co? – zapytał Münster.

Van Veeteren zapalił papierosa. Przez chwilę przyglądał się zwęglonej zapałce, aż wreszcie cisnął ją za ramię.

– Nie wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia. Ale jedno jest jasne. Tym razem nie użył siekiery, przynajmniej nie tutaj. Takiej masy krwi byśmy nie przeoczyli.

– To prawdziwe pocieszenie – odparł Münster.

– Oczywiście, że tak. To co, idziemy?

## 36

– I jak idzie? – zapytał Hiller.

Van Veeteren z odrazą zareagował na ten telefon.

– Dobrze – odpowiedział.

– Dobrze? Niedługo minie miesiąc, jak tam jesteś. Niektórzy uważają, że już powinieneś skończyć tę sprawę.

– To serdecznie ich tu zapraszam, niech pomogą.

– Mógłbyś chociaż wysłać jakiś raport. Niektórzy chcieliby wiedzieć, co tam robicie.

– Niektórzy to mnie mogą pocałować w dupę.

Hiller wymamrotał coś niezrozumiale.

– Potrzebujesz wsparcia? – zapytał.

– Nie, ale Münster pewnie chciałby pojechać na parę dni do domu.

– A to czemu?

– Ma żonę i dzieci. Słyszałeś kiedyś o rodzinie?

Hiller znów zamruczał.

– Czy Reinhart ma go zmienić?

– Zobaczymy. Pogadam z Münsterem. Ale i tak zaczekamy z tym do poniedziałku.

– Do poniedziałku? Dlaczego?

– Przeczytaj wtedy gazety, to się dowiesz.

– Co, do chole...

– Albo obejrzyj telewizję. Wtedy sprawa nabierze nowego

wymiaru, że tak powiem.

W słuchawce rozległa się seria nieartykułowanych dźwięków, ale Van Veeteren nie wiedział, czy to kwestia kiepskiej jakości połączenia, czy też jego szef właśnie próbuje złapać oddech.

– Czyżby raporty miały do nas dochodzić za pośrednictwem mediów? To najgorszy... – zdążył powiedzieć, zanim Van Veeteren mu przerwał.

– Przykro mi, ale muszę kończyć, żeby znów ruszyć śladem groźnego przestępcy. Odezwę się potem.

W słuchawce znów coś zatrzeszczało, ale Van Veeteren się rozłączył i wyciągnął kabel z gniazdka.

Z trzema butelkami ciemnego piwa zanurzonymi w wiadrze z zimną wodą i miseczką dużych oliwek pod ręką zgasił światło i wszedł do wanny.

Zamknął oczy i wygodnie ułożył głowę. Wyciągnął rękę, wyłowił z wiadra otwartą butelkę i pociągnął kilka solidnych łyków.

Nie wyjdę stąd, dopóki nie rozwiążę tej sprawy, pomyślał. Ale po chwili zrozumiał, że nie ma co zbyt rygorystycznie podchodzić do tego postanowienia. Co powiedzieliby inni, gdyby w poniedziałek, oprócz zaginionej inspektor, mieli na głowie utopionego komisarza.

Dość już tych głupot, zdecydował. Trzeba wrócić do punktu wyjścia. Do Rzeźnika. Pełne skupienie!

Istniała pewna reguła, z której korzystał od czasu do czasu i którą przekazał mu Borkmann – jeden z niewielu policjantów, którzy wzbudzili w nim ogromny podziw i szacunek. W sumie, jeśli się zastanowić, to był jedyny taki policjant. Z pewnością nie bez

znaczenia była tu kwestia różnicy wieku. Kiedy Borkmann w stopniu komisarza wypracowywał swoje ostatnie lata we Frigge, Van Veeteren dopiero zaczynał służbę. Mimo wszystko wciąż wierzył w tę regułę i ufał jej. Oczywiście nie musiał bynajmniej poznawać szczegółów towarzyszących jej powstaniu. Wiadomo, że nawet porządny, stary glina potrzebuje jakiegoś oparcia, jakiegoś koła ratunkowego. Zresztą regułę Borkmanna trudno było nazwać regułą. Stanowiła raczej wskazówkę, drogowskaz do wykorzystania w zagmatwanych przypadkach.

W każdym dochodzeniu, twierdził Borkmann, dochodzi się do takiego punktu, po przekroczeniu którego nie potrzebuje się już więcej informacji. Kiedy do niego docieramy, wiemy już wystarczająco dużo, żeby rozwiązać sprawę jedynie za pomocą myślenia. Dobry śledczy powinien dążyć do tego, żeby umieć się zorientować, kiedy zbliża się do tego punktu, czy też raczej kiedy go przekracza. W swoich wspomnieniach Borkmann podkreślał, że to właśnie ta umiejętność albo jej brak odróżnia dobrego detektywa od złego.

Ten zły niepotrzebnie ciągnie sprawę.

Van Veeteren dopił pierwszą butelkę i sięgnął po dwie oliwki.

Bo jak to właściwie jest z tymi informacjami, które spływają w nadmiarze? Cóż:

W najlepszym przypadku nie mają żadnego znaczenia.

W większości przypadków wiążą się z niezbyt groźnymi szkodami.

W najgorszym przypadku działają na niekorzyść. Zaciemniają, rozbijają, przysparzają nieprzyjemności.

Van Veeteren obgryzł oliwki i wyssał pestki do czysta. Oczywiście, że tak jest. I oczywiście teraz mieli do czynienia z tym trzecim,



najgorszym przypadkiem. O ile łatwiej byłoby schwytać kogoś, kto zadowolili się jedną zbrodnią, niż wikłać się w serie morderstw, przy której informacje, wskazówki, ślady, tropy i podejrzenia sprawiały, że to, co proste, ginęło pod natłokiem reszty.

O ileż łatwiej jest obrócić przewagę pionów w zwycięstwo, kiedy na szachownicy jest mniej bierek.

Pytanie brzmiało: czy już przekroczyli punkt?

Czy właśnie teraz, leżąc w gorącej kąpieli, wiedział na tyle dużo, by wskazać, kto jest Rzeźnikiem? Czy dalsze poszukiwanie tropów ma jakikolwiek sens?

Po omacku szukał leżącego na dnie wiadra otwieracza. Już znał odpowiedź. A przynajmniej na taką się zdecydował.

Tak.

Mieli już mordercę. Skrzętnie ukrytego w całej tej gmatwaninie przesłuchań, protokołów i dyskusji. Schowanego w jego własnym mózgu, w jeszcze bardziej pokrętnych myślach. Rzeźnik tam był. Wystarczyło tylko go poszukać.

Na razie znalazł przynajmniej otwieracz do piwa. Zawsze to coś.

Pro primo, pomyślał.

W Kaalbringen zamordowano trzech mężczyzn. Heinza Eggensa 28 czerwca. Ernsta Simmela 31 sierpnia. Maurice'a Rühmego 8 września. Ta sama broń, ten sam przebieg zabójstwa. Ten sam sprawca.

To ponad wszelką wątpliwość.

Pro secundo.

Mimo zakrojonych na szeroką skalę i zaciętych poszukiwań nie udało im się znaleźć nawet najmniejszego związku między ofiarami (pomijając fakt, że wszyscy sprowadzili się do Kaalbringen w tym

roku). Tak było, dopóki w ręce śledczych nie wpadł raport dotyczący lat, jakie trzecia ofiara spędziła w Aarlach. Wszyscy natychmiast zauważyli, że niejaki Eugen Podworsky pojawia się w tle (ale, notabene, tylko w tle) dwóch z trzech przypadków. Inspektor Moerk czyta raport i uderza ją w nim coś „dziwnego”. Informuje, że chce coś sprawdzić, robi to i...

Pro tertio.

...w czasie kiedy sprawdza to coś (cokolwiek by to było), zostaje nakryta czy też zauważona przez mordercę. (Może zobaczył ją przez czysty przypadek). Morderca śledzi ją i uderza (?), kiedy – co jest mu całkiem na rękę – Moerk znajduje się w lesie, z dala od porządku i praworządności...

No, powiedzmy. I to by w zasadzie było tyle. Czy w grę wchodził jakikolwiek inny scenariusz? Oczywiście, że tak. Po prostu on wolał w to nie wierzyć. Musiało być właśnie tak. Wziął kolejny łyk piwa i zaczął się zastanawiać, czy nie pójść po papierosa.

Palenie w wannie? Co za upadek!

Ale w sumie, czemu nie?

Ociekając wodą i trzęsąc się z zimna, przeszedł na palcach do pokoju. Złapał popielniczkę, zapalniczkę i wymiętą paczkę od Bausena, po czym znów zanurzył się w wannie. Zapalił i kilka razy zaciągnął się głęboko.

Pro... jak, u licha, jest „czwarte” po łacinie? A niech to!

Więc po czwarte: Co takiego zauważyła Moerk? Co?

Co, do cholery, znalazła ona, a na co nie zwrócił uwagi nikt inny, nie wyłączając jego. O ile, oczywiście, nie chodziło po prostu o Podworsky’ego. Ale im więcej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że nie. Dziś wieczorem po raz kolejny przestudiował

raport i nie znalazł nic... tak samo jak Bausen, Kropke i Münster. To niezrozumiałe. Dziwne.

Dziwne?

I dokąd ona pojechała?

Sprawdzić to?

Ale co?

Walnął pięścią w wodę i przez chwilę dziwił się, że powierzchnia nie stawia oporu. Czy Moerk była na tyle szalona, żeby wpakować się wprost pod nogi mordercy, żeby wpaść mu w ramiona jak pierwsza lepsza oferma z filmu kryminalnego?

Nie wierzył w to. Przecież to się kupy nie trzyma. Jeśli do kogoś z tej ekipy nabrał zaufania, to właśnie do inspektor Moerk... no i, rzecz jasna, do Bausena. Temu nie mógł zaprzeczyć. Ale żeby Moerk mogła...

Nie, nie przyjmował tego do wiadomości.

Cóż więc pozostawało?

Czy morderca miał szczęście?

Możliwe.

Czy już wcześniej ich drogi się skrzyżowały i on o tym wiedział? Miał ją na oku?

Też niewykluczone. Münster wspominał o jej detektywistycznych ambicjach.

Van Veeteren wrzucił peta do wiadra. Nie potrzebuję popielniczki, pomyślał.

I dokąd ona pojechała?

To był kluczowy punkt. Sięgnął po kilka oliwek. Między 18.25 a 19.07 czy 19.10 wczoraj wieczorem. Beate Moerk przejechała czerwoną mazdą spod hotelu See Warf do wędzarni przy

promenadzie. Po drodze sprawdziła coś „dziwnego” i ściągnęła na siebie uwagę zabójcy.

Miejmy nadzieję, pomyślał, że ten czerwony samochód przykuł też uwagę kogoś innego. To mogłoby im wystarczyć.

Choć oczywiście, przypomniał sobie, w takim układzie najpierw trzeba by rozpętać piekło.

Potem znów na myśl przyszedł mu Laurids Reisin. I pani Reisin w swoim znoszonym płaszczu. I panna Marnier, znajoma Simmela, którą przesłuchiwał pewnego popołudnia jakieś sto lat temu... Zrozumiał, że właśnie pada ofiarą ataku nadmiaru informacji.

Zapalił światło i postanowił jeszcze raz przejrzeć raport Melnika. Miało to być antidotum.

Potem będzie musiał pogadać z Münsterem w barze. Musi wyjaśnić, czy jego kolega faktycznie chce jechać do dzieci i do żony.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedział Münster.

– Jakiej potrzeby? I czemu się uśmiechasz, Münster?

Münster odwrócił głowę i zakasłał, zasłaniając usta dłonią.

– Przepraszam, ale Synn i dzieci przyjeżdżają tu jutro. Dzwoniła pół godziny temu.

– Przyjeżdżają tutaj?! – krzyknął komisarz z prawdziwie zdziwioną miną.

– Tak. Synn wynajęła od koleżanki domek letniskowy niedaleko Geelnackt... to niecałe dziesięć kilometrów stąd. Wyprowadzam się jutro po południu.

Van Veeteren myślał przez chwilę.

– Münster – powiedział w końcu. – Myślę, że trafiłaś na cholernie dobrą kobietę.

– Wiem – odparł Münster z wyrazem zakłopotania na twarzy.

Wychylili piwo i Van Veeteren dał znak kelnerowi, prosząc o dolewkę.

– Jeszcze tylko po małym – wyjaśnił Münsterowi. – Ile razy czytałeś raport Melnika?

– Dwa.

– I znalazłeś coś?

Münster pokręcił głową.

– A co pan komisarz sądzi o tej historii z bombą? – zapytał.

Van Veeteren przez chwilę milczał.

– Trudno powiedzieć. Nie bardzo widzę, co wspólnego z baskijskimi separatystami miałby mieć Heinz Eggers... ci inni zresztą też nie. Chyba musimy wysłuchać, czy Bausenowi udało się dowiedzieć czegoś więcej. A ty co sądzisz?

– Nic. Teraz, kiedy będę miał na głowie rodzinę i w ogóle, mam nadzieję, że ominie mnie wyprawa na Costa del Sol.

– Masz na to moje słowo. A swoją drogą, gdzie jest Cruickshank? Myślałem, że wizyta w barze to dla niego żelazny punkt dnia.

– Poszedł się położyć piętnaście minut temu. Chyba był trochę zły za to, że komisarz odwołał ten specjalny wywiad.

– Cholera, faktycznie. No nic, jak będzie siedział cicho do poniedziałku, to dostanie jeszcze więcej do opisanego.

To na pewno, pomyślał Münster.

Niedziela poprzedzająca piekielny poniedziałek zaczęła się obiecująco: rześkim porankiem i ciepłym, południowo-zachodnim wiatrem. Van Veeteren i Münster postanowili, nie zamieniając na ten temat ani słowa, pójść na komisariat na piechotę.

To był po prostu jeden z takich poranków. Münster wyraźnie czuł, że zarówno on sam, jak i komisarz idą, ociągając się. Kiedy wyszli z ulicy Weiversa dzwony na kościele Bunge zaczęły wzywać na pierwszą mszę. Van Veeteren przystanął na chwilę. Spojrzał na ciemny portal kościoła i wymamrotał coś niezrozumiałego. Münster zapatrzył się na rozciągający się stąd widok. Zdobione dachy z hanzeatyckich czasów. Cienka strużka wody sączyła się z przedstawiającej jakąś mitologiczną postać rzeźby z brązu. Nieforemny rynek spokojnie wypoczywał przy kojącym dźwięku dzwonów. Nie było na nim nikogo, nie licząc paru gołębi, które chodziły w kółko, wybierając okruchy spomiędzy kocich łbów. No i nie licząc ciemnoskórego zamiatacza ulic, który stał przed księgarnią, pogwizdując Verdiego.

Münster wsadził ręce do kieszeni. Mocno przycisnął do siebie trzymaną pod pachą teczkę i kiedy szli przez nierówny bruk, zaczęło go ogarniać poczucie absurdu życia. Jego braku treści i nieuniknionego szaleństwa. Jakże bezsensowne wydawały się ich plany i działania w tym sennym, nadmorskim miasteczku w taki

niedzielny poranek jak dziś. Jak to ktoś powiedział: jakże nikła wydaje się postać mordercy w świetle dziennym. I jakże trudno jest sobie wyobrazić, że oto znów, Bóg jeden wie który to już raz z kolei, mieli zasiąść przy owalnym stole w policyjnym pokoju zebranych pomalowanych na chorobliwie żółty kolor... Zasiąść, zakasać rękawy i na nowo dyskutować, kim może być ten szaleniec.

Kim może być człowiek, który krąży po tej sielankowej okolicy i odrąbuje głowy bliźnim.

Ten, przez którego cała społeczność żyje w śmiertelnej trwodze i którego czyny kolejny już tydzień są powszechnym, niemal jedynym tematem rozmów.

Ten wreszcie, którego tożsamość on sam – Münster, komisarz i inni mieli obowiązek odkryć i potwierdzić, tak żeby zakończyć całą tę historię.

I co, na Boga, ludzie powiedzą jutro?

Tak, absurd to właściwe słowo, pomyślał Münster i mrużąc oczy, spojrzął na słońce wznoszące się ponad miedzianym dachem komisariatu.

A już najbardziej nie do pojęcia było oczywiście to, co mogło ją spotkać.

Czy naprawdę mogła teraz leżeć z odrąbaną głową gdzieś w mieście lub w jego okolicach? Czy jej powoli przechodzące w stan rozkładu ciało czekało gdzieś na to, żeby ktoś je odkrył? Czy to w ogóle wchodzi w rachubę? Ciało Beate, którą on...

Przełknął ślinę i kopnął puste opakowanie po papierosach, które najwidoczniej musiało umknąć zamiataczowi ulic.

A po południu znów zobaczy Synn i dzieci.

I jak to się stało – nad tym też musiał się zastanowić – że Synn

postanowiła przyjechać tu bez uprzedzenia. Ot, nagły impuls, wyjaśniła mu przez telefon. Ale że poczuła go akurat w tym momencie?

Za piętnaście ósma w piątkowy wieczór?

To musiało być mniej więcej w tej samej minucie, kiedy...

Podczas ich długiej współpracy zdarzyło się dwa lub trzy razy, że komisarz rozmawiał z nim o pewnych prawidłowościach dających się zauważyć w życiu. Ukrytych kontekstach, choreografiach i tym podobnych zjawiskach... o determinantach czy jak to inaczej nazwać, ale ta zbieżność przebijała chyba wszystko?

Wzdrygnął się i przytrzymał drzwi komisarzowi wyroczni.

– Mamy go – powiedział Bausen.

– Kogo? – zapytał Van Veeteren, ziewając.

– Podworsky’ego, oczywiście – wyjaśnił Kropke. – Siedzi w celi na dole. Schwytaliśmy go pół godziny temu na przystani.

– Na przystani?

– Tak. Od wczorajszego ranka był na rybach, przynajmniej tak twierdzi. Wynajął łódź od Saulinena. Już wcześniej tak robił.

Van Veeteren przysiadł na krześle.

– Powiedzieliście mu, o co chodzi? – zapytał.

– Nie, nie ma pojęcia, co jest grane.

– To dobrze – powiedział Van Veeteren. – Myślę, że możemy go tam na trochę zostawić.

– Miałem dokładnie taki sam plan – odparł Bausen. – Lepiej, żebyśmy tym razem nie pospieszili się tak jak ostatnio.

Do pokoju weszła panna deWitt z kawą na tacy.

– A to, ponieważ cukiernia Sylvie jest zamknięta w niedzielę... –



wyjaśniła, odsłaniając dwie rolady.

– Z jagodami? – zapytał Bausen.

Panna deWitt przytaknęła, starając się ukryć uśmiech.

– Irmgaard, jesteś niesamowita – powiedział Bausen, a i inni półgłosem zaserwowali podobne komplementy.

– Co nowego od wczoraj? – zapytał Van Veeteren, ocierając kąciki ust.

– Rozmawiałem z Melnikiem – powiedział Bausen. – Pracuje nad tą awanturą w barze, ale według niego niewiele da się jeszcze znaleźć. W końcu nigdy nie było dochodzenia w tej sprawie. Udało mu się tylko znaleźć świadka – kobietę, która tam była, ale ona oczywiście nie ma pojęcia, co stało się przyczyną bójki. Może zwykła pijacka awantura, kłótnia o jakiś drobiazg, która z jakiegoś powodu się zaogniła. Tak czy inaczej, chyba lepiej będzie, jeśli sami spróbujemy dociec, jaką rolę odegrał w tym wszystkim Podworsky.

Van Veeteren pokiwał głową.

– A ta historia z Hiszpanii? – zapytał Münster.

Bausen wzruszył ramionami. Na jego twarzy pojawił się wyraz powątpiewania.

– Jak już mówiliśmy wczoraj... wygląda na zwykły zbieg okoliczności. Bleuwe nie był jakimś bliskim przyjacielem Rühmego. Z tego co wiemy, żadnego z nich nic nie łączyło z Hiszpanią, a ten wybuch był prawdziwym zamachem. Przyznała się do niego ETA, a oni z reguły nie biorą na siebie niczego, za czym faktycznie nie stoją.

– A Grete Simmel nie miała pojęcia, o czym mówił Bang – wtrącił Kropke.

– To akurat może niewiele znaczyć – powiedział Bausen.

– Zatem przypadek – podsumował Van Veeteren, spoglądając na swój pusty talerzyk. – Tak jak mówiłem, czasami to on wygrywa.

Bausen zapalił fajkę.

– Jeszcze jakieś pytania, zanim przejdziemy do Podworsky’ego?

Kropke chrząknął.

– Cóż, to tylko drobiazg – powiedział. – Ja też wybrałem się na tę ścieżkę w lesie. Sam biegałem dziś rano...

– I? – zapytał Bausen.

– Nic nie znalazłem.

– Niesamowite – wtrącił Van Veeteren.

– No więc Podworsky... Jak to rozegramy?

Münster rozejrzał się wokół stołu... Kropke, Mooser i Bausen. Do tego on i Van Veeteren. Bang najwidoczniej zasnął albo też szef dał mu dziś wolne – w sumie nie byłaby to zaskakująca decyzja.

Van Veeteren zaczął.

– Jeśli nie macie nic przeciwko – powiedział – to chętnie przeprowadziłbym pierwszą rundę. Razem z Münsterem.

Kropke nie wyglądał na szczególnie zachwyconego, ale Bausen przytaknął i wyszedł po dyktafon.

Na zachwyconego na pewno nie wyglądał też Podworsky. Kiedy Kropke i Mooser przyprowadzili go do pokoju przesłuchań, na jego pooranej zmarszczkami twarzy odmalowało się poczucie urazy. Żeby dać wyraz temu, co o tym wszystkim myśli, Podworsky walnął ogromnymi pięściami w stół.

– Zdejmijcie mi te przeklęte bransoletki! – ryknął.

Van Veeteren pokiwał głową. Kropke rozpiął kajdanki i wyszedł razem z Mooserem.

– Bardzo proszę, niech pan usiądzie – powiedział Van Veeteren. – Nazywam się komisarz Van Veeteren.

– W dupie mam, jak się pan nazywa – odparł Podworsky, siadając na krześle. – O co tu, do cholery, chodzi?

– Mam zamiar przesłuchać pana w sprawie zabójstwa Heinza Eggersa, Ernsta Simmela i Maurice’a Rühmego.

– Że co? Znowu.

Van Veeteren dał znak Münsterowi, żeby ten włączył dyktafon. Münster wcisnął przycisk i Van Veeteren wygłosił wszystkie formalności. Podworsky odpowiadał, prychając lub przeklinając, ale kiedy użyczyli mu ognia, zaczął – przynajmniej tak wydawało się Münsterowi – być nieco bardziej skłonny do współpracy.

– No dobra – powiedział. – Zaczynajcie, to szybciej skończymy. Złowiłem pół tony ryb, które teraz leżą i gniją.

– Co robił pan w ostatni piątek wieczorem? – zaczął Van Veeteren.

– W ostatni piątek? A po jaką cholere chcecie wiedzieć, co robiłem w piątek, skoro ten ostatni zginął już jakiś czas temu?

– Jeśli zamiast powtarzać moje pytania, będzie pan na nie odpowiadał, szybciej nam to pójdzie. Wydawało mi się, że się panu spieszy.

Podworsky otworzył usta, ale po chwili je zamknął.

– Taaa... – powiedział tylko i przez chwilę chyba się zastanawiał.

Van Veeteren siedział z niewzruszoną miną.

– Nie robiłem nic szczególnego – zdecydował się odpowiedzieć Podworsky. – Po południu byłem u Saulinena, gadaliśmy o łodzi. Dał mi klucze i w ogóle. Potem pojechałem do domu. Następne pytanie.

– Co robił pan tej nocy, kiedy zamordowano Simmela?

– Mówiłem to już tej babce od was. Byłem w domu i spałem. To zazwyczaj robię w nocy.

– Ktoś może to potwierdzić? – zapytał Münster.

– Moje koty.

– A kiedy zginął Rühme? – kontynuował Van Veeteren.

– A kiedy to było?

– W nocy z ósmego na dziewiątego.

– Cholera wie. Pewnie to samo.

– Znał pan Heinza Eggersa?

– Nie.

– Ma pan alibi na noc, kiedy zginął?

– Byłem w Chadowie. Po cholere pytacie mnie o to, co już wam mówiłem.

– No dobrze – powiedział Van Veeteren. – Co pan robił w Aarlach

w marcu 1983 roku?

– Co?

– Słyszał pan przecież.

– Aarlach? 1983?

– Bez takich – prychnął Van Veeteren. – Przecież, do diabła, przez tydzień leżał pan tam w szpitalu.

– Aaa. Chodzi o tę przekłętą historię. A co to ma wspólnego z tą sprawą?

– Kto tu zadaje pytania, pan czy my?

Podworsky jęknął.

– A odpierdolcie się ode mnie.

– Myślę, że zrobimy teraz przerwę – powiedział Van Veeteren. Odsunął krzesło i wstał. – Podobno w wielu krajach jedzą zgniłe ryby... Na przykład w Szwecji, jeśli się nie mylę.

– Czekaj pan! – krzyknął Podworsky. – Aarlach... pewnie, że mogę opowiedzieć, skoro tak się upieracie. Siadaj pan.

Van Veeteren usiadł. Podworsky zapalił kolejnego papierosa i podrapał się po głowie.

– Więc? – zapytał Van Veeteren.

– Po jakim czasie czyny wynikające z pijaństwa ulegają przedawnieniu? – wolał się najpierw upewnić Podworsky.

– Jakby co, wywinie się pan.

– Na pewno?

Van Veeteren pokiwał głową.

– Nie ma co ufać glinie – odparł Podworsky. – Wyłączcie ten przekłety dyktafon!

Komisarz skinął i Münster wyłączył sprzęt. Podworsky zaśmiał się chropowato.

– Nno. To teraz wam powiem. Trafiła mi się partia alkoholu, którą trzeba było sprzedać.

– Trafiła się? – zapytał Van Veeteren.

– Tak się mówi.

– Ile?

– Całkiem sporo.

Van Veeteren pokiwał głową.

– A miałem kumpla, Duńczyka z Aarlach. On miał nabywcę... Jakiegoś gówniarza z akademii medycznej, jak się okazało. Ale ten nie chciał zapłacić tyle, ile powinien.

– Jak się nazywał?

– A cholera go wie. Nie pamiętam. Coś na be. Bloe-cośtam.

– Bleuwe? – podpowiedział Van Veeteren.

– Ta, pewnie tak. Taki tam studencina, co chciał sobie dorobić, sprzedając wodę koleżkom z dobrych domów. Wszystko dogadaliśmy, towar był dostarczony, wszystko gotowe, została tylko zapłata...

– I?

– To właśnie mieliśmy załatwić w tym barze... No i ten szczeniak i jego kumpel myśleli, że mogą mnie wydymać! Wyobrażacie sobie?

– O jaką sumę chodziło? – zapytał Münster.

– Całkiem sporą. Zdążyliśmy już dużo wypić i się wściekłem. Żałuję tylko...

– Czego? – zapytał Van Veeteren.

– Że zanim zacząłem, nie zaczekałem na tego kumpla z Danii – odparł Podworsky. Nagle dostał ataku kaszlu. Musiał się odsunąć do tyłu, a potem skulił się, zasłaniając usta rękami. Trwało to niemal pół minuty. Münster spojrzał na komisarza. Starał się wybadać, co myśli Van Veeteren, ale jak zwykle nie dało się. On sam uważał, że

historyjka Podworsky'ego brzmiała całkiem sensownie. Przynajmniej nie wyglądało na to, że zmyślił ją w trakcie opowiadania.

Choć oczywiście nigdy nie można być pewnym. Już niejedno widział i słyszał. I nie raz się pomylił.

– Jak nazywał się jego kumpel? – zapytał Van Veeteren, kiedy Podworsky przestał kaszleć.

– Co?

– Kumpel Bleuwego. Jak się nazywał?

– Nie mam pojęcia.

– Nie przedstawił się? – wtrącił Münster.

– Może i tak, ale nie możecie ode mnie wymagać, żebym pamiętał nazwisko jakiegoś typu, któremu dałem w mordę dwanaście lat temu...

– Dziesięć – sprecyzował Van Veeteren. – Jak się nazywał?

– Macie nierówno pod sufitem, czy co?

Van Veeteren czekał kilka sekund. Podworsky gapił się na nich – spoglądał to na jednego, to na drugiego, jakby rozmawiał sam ze sobą, dziwiąc się, że oto zamiast dwóch policjantów siedzi przed nim para klaunów.

Chociaż dla niego różnica między jednymi a drugimi jest pewnie niewielka, pomyślał Münster.

– Nazywał się Maurice Rühme – powiedział Van Veeteren.

Podworsky otworzył usta.

– O cholera – odparł.

Oparł się na krześle i przez chwilę myślał.

– No – powiedział w końcu. – To wyjaśnijmy sobie jedno – nie udało mi się go zatłuc ani w tym przeklętym barze, ani później. Macie jeszcze jakieś pytania?

– Na razie to tyle. – Van Veeteren wstał. – Ale posiedzi pan tu jeszcze trochę i przemyśli sprawy, a potem może jeszcze porozmawiamy.

Zapukał w drzwi. Kropke i Mooser wrócili z kajdankami.

– A żeby was, skurwysyny! – powiedział Podworsky i niewątpliwie mówił szczerze.



Decyzję o zwolnieniu Podworsky'ego oraz o natychmiastowym powiadomieniu mediów o zaginięciu inspektor Moerk przegłosowano o dziewiątej w niedzielę wieczorem większością głosów 3:1. Za byli Bausen, Münster i Van Veeteren, przeciwko – Kropke. Mooser wstrzymał się od głosu nieco zaskoczony nagłym, choć zapewne chwilowym, przejściem na system demokratyczny.

– Jeszcze dziś wieczorem pogadam z Cruickshankiem – powiedział Van Veeteren. – Obiecałem mu, że będzie miał pierwszeństwo. Konferencja prasowa jutro po południu?

Bausen pokiwał głową.

– O trzeciej – zdecydował. – No to teraz musimy się liczyć z tym, że wszystko ruszy na całego... telewizja, radio, cały arsenał. Nieczęsto zdarza się, żeby mordercy udało się dopaść policjanta.

– Większość uważa, że powinno być na odwrót – powiedział Van Veeteren. – I trudno się z tym nie zgodzić.

– A co powiemy o Podworskim? – zapytał Kropke.

– Ani słowa – odparł Bausen. – Najprościej, jeśli będziemy trzymać gęby na kłódkę. – Rozejrzał się wokół stołu. – Z prasą będę rozmawiać ja i komisarz Van Veeteren, nikt inny.

– Jak zwykle – wymamrotał Kropke.

– To rozkaz – powiedział Bausen. – A teraz idźcie do domu się wyspać. Jutro też jest dzień i na pewno będziemy w telewizji. Nie

zaszkodzi wyglądać jak człowiek. Wypuszczam Podworsky'ego.

– Pójdę z tobą – zgłosił się Van Veeteren. – Lepiej zrobić to we dwóch.

Dopiero o jedenastej dzieci poszły wreszcie spać. Otworzyli butelkę wina, włączyli płytę Moustakiego i po kilku nieudolnych próbach udało im się wreszcie rozpalić w kominku. Rozłożyli materac na podłodze i rozebrali się nawzajem.

– Obudzimy dzieci – powiedział Münster.

– Nie – odparła Synn. Pogładziła go po plecach i wślizgnęła się pod koc. – Dodałam im środków nasennych do kakao.

– Środków nasennych?! – krzyknął, udając zaskoczonego.

– Tylko odrobinę. Nic im nie będzie. No chodź!

– No dobrze – odparł i dołączył do niej.

Poniedziałek zaczął się upartym i nieprzerwanym deszczem, który miał padać chyba w nieskończoność. Van Veeteren wstał około siódmej i przez chwilę przyglądał się strugom wody, a po chwili postanowił wrócić do łóżka. Ta okolica zmienia pogodę częściej niż ja koszule, pomyślał.

Ale już za piętnaście dziewiąta siedział w jadalni przy stole śniadaniowym. Razem z nim był Cruickshank – niesamowicie rześki i w świetnym humorze, mimo że musiał pracować przez większą część nocy.

– Przekazałem im materiał o trzeciej rano – wyjaśnił z entuzjazmem. – Naczelnym miał już wstrzymać drukarnię, ale jednak puścimy to w wydaniu popołudniowym. Historia jak z Kubą Rozpruwaczem!

Van Veeteren przytaknął z ponurą miną.

– Głowa do góry! – powiedział Cruickshank. – Szybko to rozwiążecie. Tym razem posunął się za daleko. Czy ona naprawdę wiedziała, kto to?

– Prawdopodobnie. Przynajmniej on musiał tak myśleć.

Cruickshank pokiwał głową.

– Puściliście już komunikat do prasy? – zapytał, rozglądając się po pustej sali. – Jakoś nie widzę tu swoich kolegów po fachu...

Van Veeteren spojrzał na zegarek.

– Pojawią się za kwadrans, tak sędzę. Muszę zdążyć zjeść śniadanie i ukryć się. Przekłeta ulewa.

– Mhm. – Cruickshank gryzł croissanta. – Zrobi się tam niezłe zamieszanie.

– Gdzie?

– Na plaży i w lesie. Fotografowie, detektywi amatorzy i tym podobni.

– Pewnie tak. – Van Veeteren znów westchnął. – No, najwyższa pora pojechać na komisariat i się tam zabarykadować.

– Powodzenia. Widzimy się po południu. Ja tu posiedzę i zaczekam na kolegów z branży...

– No i tak – powiedział Bausen, sadowiąc się na skórzanej sofie. – Muszę przyznać, że wolę dziennikarzy prasowych.

Van Veeteren skinął głową.

– Ci z telewizji nadają jak karabiny maszynowe, działają mi na nerwy. Często masz do czynienia z takimi?

Zrzucił buty i ostrożnie zgiął palce u stóp, jakby nie był pewien, czy nie odpadną.

– Nie, i wcale nie mam na to ochoty – odparł Van Veeteren. – Oczywiście można zrozumieć, że już zaczynają mieć w tej kwestii swoje zdanie. Ale nieźle się im odgryzałeś.

– Dzięki. Ale tak czy inaczej, komentarze będą ostre. Hiller się odzywał?

Van Veeteren usiadł przy biurku Bausena.

– Tak. Chce wysłać dziesięć osób z Selstadt i dziesięć z Oostwerdingen... a do tego sztab techników do zbadania tej ścieżki dla biegaczy.

Bausen założył ręce za głowę i wyjrzał przez okno.

– Świetny pomysł przy takiej pogodzie. Chce, żebyś zupełnie przejął dochodzenie? Przecież mi zostało tylko pięć dni. Kończę w piątek, bez względu na wszystko. Zdecydowałem dziś w nocy. Czuję się jak trener piłki nożnej, którego drużyna nie wygrała od dwóch lat.

– Nie rozmawialiśmy o prowadzeniu sprawy. W każdym razie obiecałem rozwiązać ją do piątku.

Bausen spojrział na niego z niedowierzaniem.

– To świetnie – odparł i włożył fajkę do ust. – Niech i tak będzie. Rozmawiałeś już z jej rodzicami?

– Tak, z panią Moerk.

– Dobrze poszło?

– Nieszczerólnie, bo i czemu miałyby pójść dobrze.

– No tak. Już od dawna nic nam dobrze nie poszło.

– Oglądałam telewizję – powiedziała Synn. – Nie najlepiej was oceniają.

– Dziwne – odparł Münster. – Ładnie pachnie. Co robisz?

– Kurczaka po kreolsku – wyjaśniła Synn, całując go. – Myślisz, że ona nie żyje? – wyszeptała mu do ucha. – Mimo wszystko to, co muszą znosić dzieci policjantów, też ma swoje granice.

– Sam nie wiem – odparł i znów poczuł, jak zwątpienie przenika go niczym chłód.

– Tatuś był w telewizji – przerwała mu jego córka, gryząc go w udo. – Kapałam się w deszczu.

– Kapałaś się w morzu, idiotko – poprawił ją jego syn.

– Czy mamy jeszcze trochę tych środków nasennych? – zapytał Münster.

Van Veeteren rozparł się na poduszkach i wziął do ręki raport Melnika. Przez chwilę ważył go w dłoni, po czym zamknął oczy.

Dół, pomyślał. Bezdenny dół.

Albo raczej zenada. Gdzieś w tych przeklętych papierach tkwiła odpowiedź, a on nie mógł jej znaleźć.

Trzydzieści cztery strony, razem siedemdziesiąt trzy nazwiska... podkreślił je i przeliczył dwukrotnie: kobiety, kochanki i potencjalne kochanki, dobrych znajomych, kolegów ze szkoły i z pracy, sąsiadów, członków tego samego klubu golfowego... aż po najbardziej przypadkowe znajomości i nieistotne postaci, których drogi skrzyżowały się z drogą Maurice'a Rühmego, biegnąc w tym czy w innym kierunku. A do tego fakty: podróże, egzaminy, testy, miejsca zatrudnienia, imprezy, kolejne adresy, kongresy, kokainowe doły – wszystko można było znaleźć na tych gęsto zapisanych kartkach, schludnie i skrupulatnie zrelacjonowane w stylu komisarza Melnika. Bez dwóch zdań – prawdziwe arcydzieło pracy śledczej, a on i tak nie umiał z niego nic wyciągnąć! Nic a nic.

Zatem, co to było?

Co, do cholery, zauważyła Beate Moerk?

A może miała umiejętności, jakimi nie mógł się pochwalić nikt z nich? Czy to możliwe? Czyżby jeszcze nie przekroczył punktu Borkmanna?

Na nocnym stoliku miał jej notatniki. Trzy sztuki. Jeszcze nie przemógł się, żeby je otworzyć.

Bo ich obecność tu nie miała sensu. Jeśli naprawdę było w nich coś ważnego, dlaczego morderca je zostawił? Miał przecież wystarczająco dużo czasu, a nie wyglądał na kogoś, kto zdaje się na przypadek...

Poza tym, jeśli Beate, mimo wszystko, wciąż żyła – czy przeglądanie notatników nie było naruszeniem jej prywatności? Wchodzeniem z buciorami w najbardziej osobiste sfery jej życia? Nie otwierając ich, nie mógł wiedzieć, jakie powierzyła im myśli... ale na pewno nie było to nic pisanego z myślą o nim.

Zresztą, czy te same wątpliwości nie miały racji bytu, nawet jeśli Beate zginęła?

Ależ oczywiście, że tak. W takim przypadku byłyby jeszcze ważniejsze.

Leżał z zamkniętymi oczami i wsłuchiwał się w szum deszczu za oknem. Padało bez przerwy już od co najmniej doby. Grube strugi z uporem lały się z bezlitosnego nieba – szaroniebieskiego i nieprzeniknionego. Czy ta pogoda kiedyś się zmieni? – pomyślał.

Chociaż tworzy całkiem niezłą scenografię. To ciągły opadający ruch zamknięty w jednym miejscu, niestrudzone uderzanie o ten sam skrawek podłoga. Jak te fale na martwym morzu.

Dzwony na kościele św. Anny wybiły dwunastą. Westchnął.

Otworzył oczy i utkwiał je po raz czwarty w raporcie z Aarlach.

– I co ja mam zrobić, do cholery? – zapytał Wilmotsen, spoglądając na szpalte.

– No – odparł wydawca – skoro cały nakład wydrukowaliśmy podwójnie, to i z tym możemy zrobić to samo.

Wiadomość o zaginięciu inspektor Beate Moerk i towarzyszących temu okolicznościach niewątpliwie stanowiły swoisty sprawdzian męstwa dla Wilmotsena odpowiedzialnego za layout w „de Journaal”. Oporny nagłówek WAŻNA INFORMACJA ani żaden inny pisany wielkimi literami za nic nie dawał się zmieścić w wyznaczonych ramach. Dlatego po raz pierwszy w osiemdziesięcioletniej historii gazety do każdego wydania miały być dołączone dwa osobne arkusze.

Oczywiście po to, by zadośćuczynić obowiązkowi informowania opinii publicznej. A także by nie umniejszyć wagi tej jeżącej włosy na głowie i rozgrywającej się w spokojnym Kaalbringen historii, która właśnie wkraczała w czwarty (a może już piąty?) akt.

Na pierwszej stronie, tuż nad lekko rozmazanym zdjęciem uśmiechniętej Beate Moerk, widniał napis:

**KOLEJNA OFIARA?**

Na drugiej:

**KTO WIDZIAŁ CZERWONĄ MAZDĘ?**

Tu także dopisano:

**BEZRADNA POLICJA PROSI O POMOC**



W samej gazecie ponad połowę miejsca poświęcono ostatnim wypadkom w sprawie Rzeźnika. Materiał zdjęciowy był imponujący. Satelitarne zdjęcia parkingu przy wędzarni (z białym krzyżykiem wskazującym miejsce, w którym Beate Moerk zatrzymała samochód. Sama mazda w niedzielny wieczór, po tym jak przez osiem godzin badała ją ekipa techników z Selstadt, trafiła na przechowanie do bezpiecznych podziemi komisariatu) oraz plaży i lasu. Do tego dołączono zdjęcia Beate, a także Bausena i Van Veeterena uwiecznionych podczas konferencji prasowej. Van Veeteren odchylony do tyłu z zamkniętymi oczami, niczym uosobienie kamiennego spokoju – jak mumia lub jogin pogrążony w medytacji. Jakby daleko za sobą zostawił wszystkie niepokoje i niedorzeczności tego świata... i kto wie, może należałoby zapytać, czy to właśnie takiego człowieka trzeba było tu przysłać, by ujął i unieszkodliwił przestępcę tego kalibru, o jaki najwyraźniej chodziło w tym przypadku.

Bo czy do czegoś podobnego doszło kiedykolwiek wcześniej? Inspektor policji uprowadzona, a może i zabita! W trakcie dochodzenia! Dokąd to wszystko zmierza? – trudno zaprzeczyć, pytanie było w pełni uzasadnione.

Materiał tekstowy okazał się równie zróżnicowany. Począwszy od zawartych we wstępniakach oschłych stwierdzeń, że jedyne, co w tej sytuacji pozostaje władzom miasta, to wyciągnąć konsekwencje z tego skandalu i zarządzić nowe wybory, aż po pisane barwnym językiem spekulacje o szaleńcu (zimnokrwistym psychopacie), ewentualnie terroryście (profesjonalnym najemnym zabójcy z tajemniczej sekty morderców). Oczywiście pojawiła się też dobrze już znana teoria o przeciętnym, przyzwoitym obywatelu miasta. Szanowanym mężu

i ojcu, mieszkającym na tej samej klatce schodowej mężczyźnie o mrocznej przeszłości...

Do bardziej wiarygodnych – i, jeśli szczęście dopisze, najpożyteczniejszych z punktu widzenia śledztwa – przekazów należał oczywiście ponowny usilny apel komisarza Bausena, który prosił mieszkańców o zgłaszanie się z doniesieniami.

W szczególności należało dowiedzieć się czegoś o tej krytycznej godzinie pomiędzy 18.15 a 19.15 w piątkowy wieczór – poznać kolejne kroki inspektor Moerk od momentu wyjścia z hotelu See Warf do momentu, kiedy ruszyła na jogging po plaży, gdzie widział ją komisarz Van Veeteren. Wszystko rozbijało się o te sześćdziesiąt minut. Gdyby tylko udało się ustalić, jaką trasę pokonała wtedy Beate Moerk, mazdą czy też na piechotę. Gdyby to wiedzieli, a „mimo to nie udałoby im się schwytać zabójcy, znaczyłoby, że to sam cholerny diabeł”, jak dosłownie zacytował Bausena Herman Schalke.

Już około czwartej w to piekielne popołudnie Kropke poszedł z Bausenem do swojego pokoju, żeby przejrzeć i podsumować te doniesienia, które jak dotąd wpłynęły. Razem mieli sześćdziesiąt dwie relacje bezpośrednie oraz jakieś dwadzieścia przeróżnej maści historii z drugiej ręki. Münster oraz Mooser dostali za zadanie przyjąć i wstępnie przesłuchać świadków napływających wartkim strumieniem na komisariat. Choć najpierw to aspirant Bang i panna deWitt rejestrowali wszystkich w recepcji i ustawiali w kolejce.

Natomiast nikt tak naprawdę nie miał pojęcia, czym zajmował się komisarz Van Veeteren. Wyszedł z komisariatu po lunchu, żeby „ponownie przesłuchać jeszcze parę osób”, ale nie zdradził, o kogo chodziło. Obiecał za to, że z pewnością wróci na obowiązkowe

zebranie o 17.00. Kolejna, mniejsza konferencja prasowa została wyznaczona na 19.30 – był to ukłon w stronę lokalnej stacji telewizyjnej, która o tej porze nadawała serwis informacyjny. Jedynie program na żywo nie zostanie odebrany przez widzów jako zdrada i zbrodnia przeciwko wszelkim zasadom etyki dziennikarskiej – pouczył ich młodociany medialny guru. I mimo że Bausen mógłby wszystkich nauczyć, czym tak naprawdę jest prawo i etyka, to stłumił w sobie wszelkie protesty i poszedł mu na rękę.

– Przekłęci jezuici! – nie omieszkał jednak stwierdzić, kiedy tylko odłożył słuchawkę. – Inkwizytorzy w jedwabnych krawatach, a niech ich!

Ale oczywiście jedyne, co im zostało w tej sytuacji, to sprostać i temu zadaniu.

– Co to ma być, do cholery? – Van Veeteren pochylił się nad stołem.

– Mapa – wyjaśnił Kropke. – Pinezkami oznaczyłem miejsca, w których widziano inspektor Moerk i jej mazdę... to znaczy czerwone mazdy w ogóle.

– A jest ich trochę w mieście – zauważył Bausen. – Prawdopodobnie w piątkowy wieczór co najmniej dwie, nie licząc tej należącej do Beate, poruszały się po ulicach.

– Pinezki z żółtymi i czerwonymi łebkami oznaczają doniesienia o takim samochodzie – ciągnął Kropke wyraźnie przejęty swoim wynalazkiem. – Czerwone odnoszą się do przedziału pomiędzy osiemnastą piętnaście a osiemnastą czterdzieści pięć, żółte – pomiędzy osiemnastą czterdzieści pięć a dziewiętnastą piętnaście.

Van Veeteren pochylił się jeszcze niżej.

– Białe i niebieskie pinezki to doniesienia świadków, którzy twierdzą, że widzieli ją osobiście... niebieskie to pierwsze pół godziny, białe – drugie. Dla przykładu, tutaj mamy pana komisarza.

Kropke wskazał na białą pinezkę wbitą na linii plaży.

– Dziękuję – odparł Van Veeteren. – Ile ich jest?

– Dwadzieścia pięć czerwonych i dwadzieścia żółtych – wyjaśnił Kropke. – To ci od samochodu. Do tego dwanaście niebieskich i pięć białych.

Münster też dopchał się do stołu, stanął obok komisarza i zapatrzył

się na ułożony z pinezek szlak. Trzeba przyznać, że to całkiem niegłupi pomysł... to znaczy, o ile uda się to dobrze zinterpretować. Pinezki były porzucane na dużej przestrzeni; najwyraźniej w każdej dzielnicy ktoś coś widział, ale większość punktów była oddalona od innych.

– Chodzi więc o to – wyjaśniał dalej Kropke – żebyśmy nie musieli tracić czasu na rozważanie, czy zeznanie pojedynczego świadka ma znaczenie, czy też nie. Natomiast skupisko pinezek w jednym miejscu powinno być dla nas jasną wskazówką.

Zrobił krótką przerwę, żeby inni zdążyli policzyć pinezki i pojąć jego genialną metodę.

– Dość czytelne – wymamrotał Münster. – Te białe też...

– Wszystko jasne – powiedział Van Veetern. – Bez wątpienia, wszystko jasne.

– Otóż to – podjął znów Kropke. Wyglądał na zadowolonego. – Jak widać, mamy tu trzy skupiska: rynek Fisktorget przed hotelem See Warf, plac Stora Torget i okolice wędzarni. Dwadzieścia cztery pinezki przy See Warf, jedenaście tutaj i osiem przy wędzarni. Razem to czterdzieści trzy z sześćdziesięciu dwóch. Jak widzicie, reszta jest rozproszona. No i wygląda na to, że po komisarzu nikt jej nie widział. To znaczy z wyjątkiem mordercy. Najwidoczniej plaża była wtedy pusta.

– Zgadza się – potwierdził Van Veeteren.

– Hm – wtrącił Bausen. – Tylko nie róbmy sobie wielkich nadziei. O ile dobrze zrozumiałem, co najmniej jedna trzecia z tych doniesień jest nieprawdziwa?

– Tak – odparł Kropke. – Ale chyba pan komisarz rozumie...

– A zarówno o hotelu, jak i o wędzarni pisano w gazetach.

– Istotnie – zgodził się Kropke. – Ale to nie ma większego znaczenia. Ciekawym punktem jest oczywiście plac Stora Torget... Otóż jedenaścioro świadków twierdzi, że widziało w tym miejscu inspektor Moerk lub jej samochód, mniej więcej pomiędzy osiemnastą trzydzieści i dziewiętnastą. Dwie osoby widziały, jak wysiada z samochodu – to te białe pinezki.

Wskazał na mapę i Bausen z poważną miną pokiwał głową. Van Veeteren złamał wykałaczkę i upuścił ją na cmentarz przy kościele św. Piotra.

– W którym kierunku poszła? – zapytał.

Kropke wymienił spojrzenia z Bausenem.

– Tutaj – powiedział.

Bausen znów pokiwał głową.

– No tak. Czyli niewykluczone, że przyjechała z powrotem tutaj, na komisariat.

– Ach tak? – zapytał Münster. Czuł się, jakby właśnie przeoczył puentę jakiegoś długiego, skomplikowanego dowcipu. Van Veeteren milczał. Wsadził tylko ręce głęboko do kieszeni i powoli wyprostował plecy, wciągając przy tym powietrze przez zęby. Münster przypomniał sobie o problemach z kręgosłupem, które od czasu do czasu odzywały się u komisarza.

Wszyscy usiedli z powrotem wokół stołu. Kropke wciąż wyglądał na zadowolonego, ale przy tym nieco zdumionego, jakby nie mógł pojąć wyniku swoich własnych wysiłków. Münster znów czuł to znajome pulsowanie w skroniach... oznaczało, że coś się szykuje, że człowiek zbliżył się do jakiegoś punktu krytycznego. Że to właśnie teraz może nastąpić przełom. Rozejrzał się po tym niezbyt czystym

pokoju. Naprzeciwko niego siedział spocony Bang. Van Veeteren jakby przysypiał. Bausen wciąż wpatrywał się w mapę z pinezkami, wciągając policzki. Wyglądał przy tym dość sennie.

W końcu to aspirant Mooser zwerbalizował tę konsternację, jaka zapanowała w pokoju.

– Tutaj?! – krzyknął. – A co ona tu, do cholery, robiła?

Po trzech sekundach Kropke i Mooser niemal jednocześnie jęknęli:

– Jej pokój!

– Ażeby to szlag! – dodał Bausen i upuścił jeszcze niezapalonego papierosa na podłogę. – Czy ktoś sprawdził jej pokój?

Mooser i Kropke już ruszyli z miejsca. Münster też wstał. Bausen wyglądał, jakby właśnie oblał test z podstaw pracy policjanta. Tylko Van Veeteren siedział nieporuszony i przeszukiwał kieszenie.

– Oczywiście – wymamrotał. – Nic tam nie ma. Ale sprawdźcie sami, jeśli chcecie. Miejmy nadzieję, że co trzy pary oczu, to nie jedna.

IV

27 września – 1 października



– Zakładam, że wiesz, gdzie się znajdujesz? – zapytał zmęczonym głosem.

– Tak sędzę – odpowiedziała w mrok.

Zakasłał.

– Chyba rozumiesz, że nie wydobędziesz się stąd o własnych siłach?

– Tak.

– Jesteś w moich rękach. Jasne?

Nie odpowiedziała. Nagle zastanowiło ją, jak to możliwe, że jego słowa łączą w sobie wyraźne zdecydowanie z tak ogromnym smutkiem. Ale niemal natychmiast zrozumiała, że to właśnie było dominującym akordem całej tej historii.

Rozpacz i zdecydowanie.

– Jasne?

– Tak.

Zrobił przerwę i poprawił krzesło. Może założył jedną nogę na drugą... ale mogła się tylko domyślać. Ciemność była nieprzenikniona.

– Ja... – zaczęła.

– Nie – przerwał jej bezdźwięcznym głosem. – Nie chcę, żebyś gadała niepotrzebnie. Jeśli będę chciał, żebyś się odezwała, powiem ci. To nie ma być rozmowa, po prostu chcę ci opowiedzieć pewną historię. Ty masz tylko słuchać... Pewną historię – powtórzył.

Zapalił papierosa i na sekundę czerwony blask rozświetlił mu twarz.

– Chcę ci opowiedzieć pewną historię – powiedział po raz trzeci. – Nie dlatego, że szukam zrozumienia czy wybaczenia – daleko mi do tego – ale chcę ją sobie przypomnieć jeszcze raz, zanim wszystko się skończy.

– Co chcesz ze mną zrobić? – zapytała.

– Nie przerywaj mi. Nie pogarszaj sytuacji. Może jeszcze nie zdecydowałem.

W gęstym, wypełnionym ciszą mroku słyszała jego oddech. Był trzy, cztery metry od niej, nie więcej. Zamknęła oczy, nic to nie zmieniło.

Ta sama ciemność. Wokół – zapach starej ziemi i świeżego dymu tytoniowego. Obok – morderca.

Bausen wyciągnął z teczki dwa piwa. Otworzył je.

– Nie możemy zapominać o pozostałych doniesieniach – powiedział. – Mamy jakieś siedem czy osiem osób, które są stuprocentowo pewne, że widziały ją gdzie indziej. Może zdążyła pojechać jeszcze gdzieś. Ci, którzy widzieli ją tutaj, mówili o czasie między wpół do i za piętnaście, tak?

Van Veeteren nie odpowiedział. Zapalił papierosa i ustawił pionki.

– Kropke odwiedził ze sto wypinezkowanych miejsc, zanim pojechał do domu – ciągnął Bausen. – Czerwone pinezki już mu się kończą, co trochę go zmartwiło. No, a co ty o tym sądzisz?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Założmy, że mimo wszystko faktycznie przyjechała tutaj. Tak będzie łatwiej... Proszę. Mogę zaproponować obronę sycylijską?

– Ależ oczywiście – uśmiechnął się Bausen i ruszył pionem z pola E. – No dobrze. Przyjechała tutaj. Ale co tu, do cholery, robiła?

– Nie wiem – odparł Van Veeteren. – Ale mam zamiar się dowiedzieć.

– Ach tak. A w jaki sposób? W jej pokoju nie znaleźliśmy zbyt wielu śladów.

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Zgoda – odparł. – Twój ruch. Wiesz, że jeśli wygram, przejmuję prowadzenie?

– Oczywiście. A co, na obronę sycylijską też wymyśliłeś jakiś sposób domowej roboty? Jeśli tak, to wolałbym wiedzieć.

– Zobaczysz – odpowiedział Van Veeteren, przybierając minę, która chyba miała być uśmiechem, ale mogła raczej skłonić do zastanowienia się, czy przypadkiem nie dokucza mu ból zęba.

Cóż, życie to jednak nie partia szachów, pomyślał Bausen, wyglądając przez okno. W szachach jest nieporównanie więcej możliwości.

Na zewnątrz, na placu, panowała ciemność i pustka. Było parę minut po jedenastej. Zdecydowali się na godzinną partyjkę, ale nigdy nie wiadomo... zegar szachowy został w domu na półce, a gdyby trafiło im się jakieś ciekawe ustawienie, to żaden z nich nie miał zamiaru się spieszyć. Wręcz przeciwnie, niektóre pozycje w ogóle nie powinny być rozwijane. Przedyskutowali to już wcześniej i byli co do tego wyjątkowo zgodni: są partie, które należy zamrozić po trzydziestym piątym bądź pięćdziesiątym ruchu i nigdy ich nie kończyć (jak Linkowski versus Queller w Paryżu w 1907 roku, po trzydziestym piątym czy trzydziestym siódmym ruchu). Piękno takiej gry było tak ogromne, że dalsze ruchy mogłyby je tylko zniszczyć.

To tak jak z tymi momentami w życiu, kiedy pragnie się, żeby czas się zatrzymał, pomyślał. Choć akurat teraz nic a nic nie wskazywało na to, że może to być taka partia.

Trzy dni. Za trzy dni opuści ten pokój i jego noga więcej tu nie postanie...

Dziwne uczucie, delikatnie mówiąc. Zastanawiał się, jak przebiegną te trzy dni. Kiedy tak spoglądał na Van Veeterena, który po drugiej stronie stołu zastygł z ręką nad szachownicą, jakiś wewnętrzny głos powiedział mu, że ten oto komisarz dotrzyma

obietnicy i złapie Rzeźnika do piątku. I choć trudno było przewidzieć przebieg zdarzeń, to jednak w Van Veeterenie było coś, czego nie dało się nie zauważyć: był coraz bardziej zamknięty w sobie, coraz łatwiej się irytował, zrobił się tajemniczy – to przecież musiało oznaczać, że jest na tropie. Oczywiście nakłonienie go do podzielenia się swoimi podejrzeniami było nierealne. Münster też zauważył te znaki i wyjaśnił Bausenowi, że to zupełnie normalne. Oczywiście sprawa dla kogoś, kto zna Van Veeterena od dawna; czytelne sygnały, że coś się święci, że umysł komisarza pracuje na pełnych obrotach. Słowem, że jest dokładnie tak, jak podejrzewał Bausen. Może lody miały ruszyć. W każdym razie Bausen nie zdziwiłby się, gdyby ten ponury komisarz raz-dwa dopasował do siebie wszystkie elementy tej trudnej układanki.

Proszę, proszę, pomyślał Bausen. Ale żeby tak w trzy dni? Czy to realne?

Choć w gruncie rzeczy nie musiało wcale chodzić o te trzy dni... to dla niego zabawa kończyła się w piątek... Ale mimo wszystko w tym ostatnim tygodniu coraz częściej nachodziła go myśl, że to prawdziwy wyścig z czasem. Ale słowo się rzekło, pierwszy wypadał właśnie w piątek.

W piątek miał przejść na emeryturę. Żegnaj, Bausen. Oto będzie wolnym człowiekiem z nieograniczonym prawem do spędzania czasu tak, jak tylko przyjdzie mu na to ochota. Który będzie mógł mieć totalnie gdzieś tożsamość Rzeźnika i który będzie robił, co zechce.

A może ta wolność wcale nie okaże się taka przyjemna? Czy ta sprawa położy się cieniem na jego przyszłości, na którą tak ciężko pracował? Niewykluczone. Bausen pomyślał o swojej piwniczce i kryjących się w niej skarbach.

Trzy dni?

Spojrzał na ocieężałą sylwetkę siedzącego po drugiej stronie stołu Van Veeterena i stwierdził, że gdyby teraz miał postawić pieniądze na któreś z możliwych zakończeń, to nie wiedziałby, co obstawiać.

– Twój ruch – powtórzył Van Veeteren i pociągnął z butelki.

– Jak się pan nazywa? – zapytał Kropke, włączając dyktafon.

Siedzący naprzeciwko dryblas westchnął.

– Przecież wiesz, do cholery. Przez osiem lat chodziliśmy do jednej klasy.

– To przesłuchanie – wyjaśnił Kropke. – To ważne, żeby dopilnować formalności. Zatem?

– Erwin Lange – powiedział dryblas. – Urodzony w 1951 roku. Właściciel sklepu fotograficznego Blitz przy Hoistraat. Powinienem otworzyć za dwadzieścia minut, więc byłbym wdzięczny, gdybyśmy przyspieszyli. Żonaty, czwórka dzieci. Wystarczy?

– Tak – odparł Kropke. – Czy mógłbyś opisać, co widziałeś w piątek?

Erwin Lange odchrząknął.

– Widziałem, jak inspektor Beate Moerk wychodziła stąd za dziesięć siódma.

– Czyli o osiemnastej pięćdziesiąt. Jesteś pewien tej godziny?

– Na sto procent.

– A dlaczego?

– Za piętnaście siódma miałem spotkać się z córką na placu. Spojrzałem na zegarek i zorientowałem się, że jestem pięć minut spóźniony.

– I jesteś pewien, że to była inspektor Moerk?

- Jasne.
- Znałeś ją już wcześniej?
- Tak.
- Jak daleko od niej stałeś?
- Dwa metry.
- Aha. Czy zwróciłeś uwagę jeszcze na coś?
- Na przykład na co?
- No, na ubrania i tym podobne...
- Miała dres... czerwony. I adidas.
- Niosła coś?
- Nie.

– Aha. W takim razie dziękuję – powiedział Kropke i wyłączył dyktafon. – Mam nadzieję, że nie planujesz wyjazdu z miasta w najbliższym tygodniu?

- A dlaczego pytasz?

Kropke wzruszył ramionami.

– Może będziemy musieli uzupełnić zeznanie... nigdy nie wiadomo.

– No nie – odparł Erwin Lange i wstał. – I to właśnie jest wasz problem – nigdy niczego nie wiecie.

– Za dziesięć siódma? – wymamrotał Bausen. – Cholera, to znaczy, że zdążyłaby pójść jeszcze gdzieś. Jak sądzicie?

Kropke pokiwał głową.

– Stąd do wędzarni jest maksymalnie pięć minut – powiedział. – Zostaje więc piętnastominutowa luka.

- A jak tam z pinezkami? – zapytał Münster.

– Mamy ich sto dwanaście – powiedział Kropke. – Ale żadnych

nowych skupisk. Nie układają się w żaden wzór. I już nikt nie widział jej na plaży.

– Mogła chwilę siedzieć w samochodzie, zanim ruszyła biegać – zaproponował Bausen. – To znaczy na tym parkingu przy plaży. Albo tutaj, przed komisariatem. To chyba najbardziej prawdopodobna wersja.

– Nie do końca – odezwał się Van Veeteren. – Przecież musiała zdążyć zwrócić na siebie jego uwagę. Czy zakładamy, że już wcześniej wiedział, że Moerk idzie biegać?

Na kilka sekund zapadła cisza. Mooser stłumił ziewnięcie. Kiedy podadzą kawę? – zastanawiał się Münster.

– No tak – powiedział Bausen. – Nie wiem, ale to oczywiście ważne pytanie.

– Cholernie ważne – odparł Van Veeteren. – Z której godziny jest najwcześniejsze doniesienie z okolic wędzarni?

– Jedenaście, dwanaście po siódmej – powiedział Kropke.

Van Veeteren pokiwał głową i zapatrzył się na paznokieć na kciuku.

– Ach tak – wymamrotał. – Cóż, każdą taką informację trzeba rozpatrywać w kontekście... zawsze jest jakaś inna wyspa.

– Co proszę? – nie zrozumiał Kropke.

Starzeje się, pomyślał Münster. Nie ma co do tego wątpliwości.



– Co powiedziałeś? – zapytał Münster.

– Co? – nie zrozumiał Bang.

– Czy mógłbyś powtórzyć, co przed chwilą powiedziałeś o inspektor Moerk i warzywniaku?

Bang podniósł wzrok znad list i nerwowo zamrugął.

– Nie rozumiem... Powiedziałem tylko, że spotkałem ją wtedy w piątek w warzywniaku Kuipersa. Przy Immelsport.

– O której?

– Kwadrans po piątej, mniej więcej... To było, zanim pojechała do hotelu. Gdyby to było później, to oczywiście bym wam powiedział.

– A co ona tam robiła?

– U Kuipersa? Zakupy, a co? Mają tam naprawdę tanie owoce... warzywa zresztą też. Ale nie bardzo rozumiem, co to ma za znaczenie.

– Chwila – powiedział Münster. – Wyjechała stąd tuż po wpół do piątej... może za dwadzieścia. Ile czasu zajmuje dotarcie do Immelsport?

– Samochodem?

– Samochodem.

– Nie wiem tak dokładnie. Może ze dwadzieścia minut.

– A ty widziałeś ją tam kwadrans po. To chyba nie zdążyłaby zahaczyć o dom, prawda?

– No nie. – Bang spróbował zmarszczyć czoło, udając, że myśli.

– A ile zajęłoby dojazd od Kuipersa do jej domu na Vrejsbakk?

Bang wzruszył ramionami.

– No, wydaje mi się, że jakiś kwadrans. Zależy od ruchu... ale nie rozumiem, czemu tak to analizujesz.

Münster spojrział na czerwoną niczym burak twarz Banga z niemal współczującym uśmiechem.

– Zaraz ci wyjaśnię – powiedział powoli, dokładnie akcentując każde słowo. – Jeśli inspektor Moerk była przy Immelsport kwadrans po piątej, to w domu mogła być najwcześniej... no powiedzmy, że za dwadzieścia szósta. Natomiast kwadrans po szóstej, ubrana w dres, była już w hotelu See Warf. Czy mógłbyś mi zatem wyjaśnić, kiedy, do cholery, miała czas na przeczytanie raportu Melnika?

Bang chwilę się zastanawiał.

– No, to znaczy, oczywiście... – powiedział po chwili – to znaczy, że go nie przeczytała?

– Nie, nie przeczytała go – odparł Münster.

Zapukał i wszedł.

Van Veeteren przesunął jedyny stojący w pokoju fotel tuż pod balkon. Usiadł w nim, zapalił i przez otwarte drzwi spoglądał na Fisktorget, na spiczaste sylwetki domów oraz niebo ciemniejące nad zatoką. Fotel stał ukosem, tak że Münster widział jedynie nogi, prawe ramię i rękę komisarza. Ale to mu wystarczyło – zrozumiał.

Coś się stało. I na pewno nie chodziło o starzenie się. Raczej przeciwnie. Muszę się nauczyć pokory także w myśleniu, a nie tylko w działaniu, stwierdził.

– Siadaj – powiedział Van Veeteren zmęczonym głosem i dał mu

znak ręką.

Münster przysunął sobie krzesło. Usiadł obok komisarza, zajmując taką pozycję, żeby – jeśli zajdzie taka potrzeba – móc złapać z nim kontakt wzrokowy.

– Co jest? – zapytał Van Veeteren.

Münster odchrząknął.

– Bang spotkał Moerk przy Immelsport piętnaście po piątej w piątek.

– Jest pewien?

– Tak. Przywitali się. Nawet jego nie stać na aż taką pomyłkę.

Van Veeteren pokiwał głową.

– Nie wiem dokładnie, gdzie to jest. Czas się zgadza?

– Sprawdziłem. Nie miała kiedy przeczytać raportu. Z komisariatu wyszła dokładnie o szesnastej trzydzieści pięć, o tej samej porze, co panna deWitt. Wyszły jako ostatnie. Wsiadła do samochodu, pojechała do warzywniaka i zrobiła zakupy... Wróciła do domu, przebrała się, prawdopodobnie spróbowała do mnie zadzwonić, ale się nie udało. Dlatego napisała wiadomość i przywiozła ją do hotelu. No a potem...

Komisarz zamruczał i wyprostował się w fotelu.

– Wystarczy. I jakie wyciągasz z tego wnioski?

Münster rozłożył ręce.

– To znaczy, że musiała coś zauważyć, nie czytając raportu. Może to było coś na samym początku. Może na pierwszej stronie... nie wiem.

Zamilkł i zapatrzył się na komisarza, który ze zmrużonymi oczami przyglądał się wieczornemu niebu, nieznacznie kiwając głową z boku na bok.

– A Bang? Co, do cholery, mamy z nim zrobić?

– Proszę? – zapytał Münster, ale było jasne, że komisarz mówi do siebie. Mamrotał jeszcze przez chwilę. Między kciukiem i palcem wskazującym trzymał spuszczonego w dół peta i wpatrywał się w stertę popiołu. Dopiero kiedy zmiótł ją wiatr, Van Veeteren się wzdrygnął i jakby sobie przypomniał, że nie jest sam w pokoju.

– Zrobimy tak – powiedział, wyrzucając peta do szklanki z wodą stojącej na balkonie. – Jeśli się uda, to dobrze, Münster!

– Tak?

– Jutro weźmiesz wolne i spędzisz czas z Synn i dziećmi.

– Co?

– To rozkaz. Tylko wieczorem staraj się być dostępny. Myślę, że wtedy będę musiał z tobą porozmawiać.

– Co pan planuje?

– Małą wyprawę.

– Dokąd?

– Zobaczymy.

No i zaczyna się, pomyślał Münster. Zagryzł zęby, ale w myślach dał sobie spokój z pokorą. I znów Van Veeteren jest tak idiotycznie zagadkowy, jakby był jakimś przeklętym autorem albo reżyserem kryminałów! Ależ to wkurzające. Nie rozumiem, dlaczego muszę tkwić w tym beznadziejnym układzie...

– Mam swoje powody – przerwał Van Veeteren, zupełnie jakby czytał mu w myślach. – I to poważne. Mam nadzieję, że zrozumiesz... Na pewno zrozumiesz po wszystkim.

Münster uległ.

– No dobrze – powiedział. – Wie pan, kto to?

– Nie. Tylko się domyślam i doprawdy nie ma się czym chwalić...

Jeśli okaże się, że się pomyliłem, lepiej, żeby nikt nie wiedział.

Münster wstał.

– W takim razie – powiedział – jutro biorę wolne i spędzam czas z rodziną. A wieczorem będę w domu. Coś jeszcze?

– Nie wydaje mi się – odparł Van Veeteren. – No, ewentualnie życz mi szczęścia. Może będę go potrzebował.

– Udanego polowania – powiedział Münster i zostawił komisarza samemu sobie.

Jeszcze przez chwilę siedział zapatrzony w miasto. Palił papierosa i żałował, że nie ma czym wypluć tego nieprzyjemnego posmaku w ustach.

Kiedy ta sprawa się skończy, pomyślał, na pewno nie będę chciał, żeby mi o niej przypominano. Nigdy, przenigdy.

Potem usiadł przy stoliku i zadzwonił.

Zadał dwa pytania i otrzymał mniej więcej takie odpowiedzi, jakich się spodziewał.

– Będę około dwunastej – wyjaśnił. – Nie, nie mogę powiedzieć, o co chodzi. Fatalnie by to wszystko wyszło, gdybym się pomylił.

Potem wziął prysznic i poszedł do łóżka. Nie było jeszcze jedenastej, ale im wcześniej wyruszy następnego dnia rano, tym lepiej.

Wiem, co zrobię jutro, pomyślał.

Pojutrze go złapię, a w sobotę pojedę do domu.

Wtedy minie równy miesiąc od przyjazdu tutaj.

Jednak zanim zasnął, opadły go myśli o Beate Moerk i dopiero późno w nocy udało mu się przysnąć.

– Zło – zaczął, a jego głos zrobił się jeszcze cięższy. W zgęstniałym powietrzu był ledwie słyszalny. – To jedyna prawidłowość, jakiej nie unikniemy. Jedyny pewnik. Młodemu człowiekowi może trudno to pojąć, ale jeśli już ktoś zrozumie, tak jak my, to wie, że to oczywistość. Zło jest tym, do czego możemy się skłaniać, na nim możemy polegać. Tylko ono przenigdy nas nie zawiedzie. Dobro... dobro stanowi tylko tło, scenerię, na tle której może wyłonić się to, co złe. I nic więcej... nic.

Odkasznął. Zapalił kolejnego papierosa i w ciemności pojawił się jaśniejący punkcik.

– Kiedy człowiek powoli to pojmuje, w pewnym stopniu przynosi mu to ulgę. Jedyną trudność stanowi pożegnanie się z dawnymi nadziejami, wszystkimi tymi iluzjami i zamkami z piasku, które buduje się za młodu. W naszym przypadku taką iluzją była Brigitte – kiedy miała dziesięć lat, obiecała mi, że nigdy mnie nie zasmuci. Wtedy właśnie przybiegła do mnie. Byliśmy na plaży. To był bardzo wietrzny dzień pod koniec maja. W pobliżu Gimsvej. Rzuciła mi się w objęcia i uścisnęła mnie tak mocno, że aż zabołał mnie kark. Będziemy się kochać całe życie i nigdy nie zachowamy się wobec siebie głupio... Głupio... nigdy nie zachowamy się wobec siebie głupio... miała dziesięć lat, blond warkocze. Mieliśmy tylko ją. Byli tacy, którzy mówili, że nigdy nie widzieli tak radosnego dziecka. Nikt

nie śmiał się tak jak ona. Czasami jej własny śmiech budził ją w nocy. A czy można winić kogoś, kto zrobił sobie nadzieję?

Zakaślał jeszcze raz.

– W 1981 roku skończyła liceum. Pojechała do Anglii i pracowała tam przez rok. Rok później dostała się na uniwersytet w Aarlach. Spotkała chłopaka, który nazywał się Maurice... Maurice Rühme. Tak... wreszcie do niego doszliśmy. Chyba znała go już wcześniej, przecież pochodził stąd. Studiował medycynę. Był z dobrego domu, miał dużą charyzmę i wciągnął ją w branżę kokainy... to od niego się zaczęło, ale ja zostawiłem go sobie na koniec.

I znów pojawił się płomyk papierosa.

– Wprowadziła się do niego. Mieszkali razem rok, potem ją wyrzucił. A w międzyczasie nauczył ją też brać LSD i morfinę, choć sam ich nie używał. A jak młoda dziewczyna może najłatwiej i najszybciej zarobić pieniądze? Może go utrzymywała, może był jej alfonsiem... nie wiem, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Może wtedy nie zaszło to jeszcze tak daleko.

Mieszkała w Aarlach samodzielnie jeszcze przez osiemnaście miesięcy. Nie miała stałego lokum, ale pomieszkiwała u różnych mężczyzn. A parę razy trafiała do szpitala i do ośrodka opiekuńczego. Zaczynała odwyk, uciekała i krążyła po mieście.

Przełknął. Słyszała, że wstrzymuje oddech.

– Przez krótki czas mieszkała też w domu, ale potem wróciła. Jakąś chwilę dawała sobie radę, a potem znów zaczęła się ta sama śpiewka. Niedługo potem wpadła w jakąś sektę, nie brała narkotyków, ale to było nowe uzależnienie. Jakby nie umiała sobie dać rady ze zwyczajnym życiem, jakby go unikała... a może zwykła codzienność już jej nie wystarczała. Nie wiem. Po dwóch latach mimo

wszystko zdecydowała się opuścić Aarlach i znów u nas zamieszkać, ale wtedy po jej radości nie został już nawet ślad. Brigitte... Bitte. Miała dwadzieścia cztery lata. Zaledwie dwadzieścia cztery lata, ale tak naprawdę była starsza niż ja i moja żona. Wiedziała, myślę, że wiedziała, że już wtedy jej życie się wypaliło. Wciąż mogła zapleść blond warkocze, ale życie się wypaliło. Ona to zrozumiała, my – nie. Chociaż, sam nie wiem... może jednak tkwiła w niej jakaś resztką nadziei, szansa na naprawienie tego wszystkiego. Tak przynajmniej sobie wmawialiśmy, musieliśmy sobie wmówić. Zwykle desperackie iluzje próżnej nadziei. Wierzymy w to, w co musimy. Tak właśnie robimy, dopóki się nie zorientujemy, jak jest naprawdę. Tak wygląda to przekłete życie. Kurczowo trzymamy się tego, co wpadnie nam pod rękę. Czegokolwiek...

Zamilkł. Otworzyła oczy i zobaczyła, jak żar z papierosa rozświetla mu twarz. Mocniej owinęła się kocami. Poczowała tę beznadzieję, która przez cały czas emanowała z niego szerokim strumieniem. Która przypląwała falami i która na chwilę jakby zageściła mrok, zmroziła go tak, że stał się nieprzenikniony nawet dla słów i myśli.

Rozumiem, chciała powiedzieć, ale słowa nie wyszły z jej ust. Uwięzły głęboko w środku – zastygłe i bez znaczenia.

– Odwiedziłem Maurice'a Rühmego tamtej jesieni – ciągnął po chwili milczenia. – To było wtedy, kiedy przez ten krótki czas mieliśmy ją u nas. Pojechałem tam. Odwiedziłem go w tym jego eleganckim mieszkanku, w którym z nim mieszkała. Tym razem była tam już inna kobieta... młoda i piękna, wciąż miała w sobie radość. Nigdy się nie dowiedziała, po co tam przyjechałem. Trzymał ją z daleka ode mnie, a kiedy chciałem z nim porozmawiać o Brigitte, wyszliśmy do baru. Usiedliśmy na starej, obitej pluszem sofie, a on



rozłożył ręce i zastanawiał się, o co mi, do cholery, chodzi. Zapłacił za wino i zapytał, czy chcę pieniędzy... Chyba właśnie wtedy przypieczętował swój los... chociaż dopiero kiedy wrócił tu razem z tym drugim, zrozumiałem, że to już czas. Kiedy go zabijałem, czułem jeszcze większą przyjemność. W pewnym sensie prawdziwszą, bardziej intensywną niż przy Eggersie i Simmelu. Nic dziwnego. To od niego wszystko się zaczęło. Zanim podjąłem decyzję, to właśnie widok żywego Maurice'a Rühmego prześladował mnie najbardziej w bezsenne noce. Żywego, uśmiechniętego Maurice'a Rühmego, który siedzi w rogu sofy, rozkłada ręce i żałuje, że Brigitte nie miała mocniejszej natury. Że wpadła w to tak mocno, stoczyła się tak nisko. Ale wcale tak nie myślał, ten bogaty, chroniony przez tatusia główniarz.

Znów ucichł i zmienił pozycję.

– Teraz muszę cię zostawić – powiedział. – O dwóch pozostałych opowiem ci innym razem. O ile nie zdarzy się nic niespodziewanego...

Siedział tak jeszcze przez minutę, a potem usłyszała, jak wstaje i wychodzi. Potem rozległo się skrzypienie zawiasów. Zaryglował drzwi i zamknął kłódkę. Dopiero kiedy ucichły jego kroki, poczuła, że wraca jej mowa.

– A ja? – wyszeptała. Przez chwilę wydawało jej się, że słowa zawisły w ciemności niczym znak zapytania.

Niczym mały, gasnący szybko błędny ognik na tle czarnej, czarnej nocy.

Owinęła się mocniej kocami i próbowała uspić duszę.

Kiedy wyjechał z leżącego na tyłach hotelu parkingu, nie było jeszcze wpół do ósmej. Słońce ledwo co wystawało zza zachodniego brzegu. Zapowiadał się ładny dzień i nie bez przyjemności myślał o spędzeniu paru godzin za kółkiem.

O przemierzaniu jesiennego krajobrazu, na który składały się ciepłe kolory i ostre niczym uschnięte igliwie kontury. Może będzie udawał, że jest zupełnie zwyczajnym człowiekiem, który jedzie gdzieś w zupełnie zwyczajnej sprawie. Że na przykład wyrusza do Boelhuisen, żeby wygłosić wykład o roli szefa we współczesnym pojęciu. Albo jedzie sprawdzić emisję dwutlenku siarki w jakiejś tajemniczej fabryce chemicznej. Albo musi odebrać krewniaka z lotniska.

Albo robi cokolwiek, co zazwyczaj robią zwyczajni ludzie.

Pewnego dnia w marcu nie mógł się zdecydować, czy kupić nowy samochód, czy też po prostu zainstalować lepsze stereo w starym. Ostatecznie stanęło na tej drugiej opcji i kiedy teraz wyjeżdżał z Kaalbringen, docenił tę mądrą decyzję. Dołożył kilka tysięcy do ekskluzywnych głośników, na co nie mógłby sobie pozwolić, gdyby zmienił samochód.

A teraz jakość sprzętu muzycznego przekraczała wszelkie możliwe oczekiwania, które można by pokładać w starym opłu. I o to mu właśnie chodziło.

Samochód to środek transportu. A muzyka to źródło przyjemności. Oczywiście jest, co należy postawić na pierwszym miejscu.

Tego ranka postawił na muzykę Północy. Chłodne, czyste i spokojne brzmienia. Sibelius i Grieg. Włożył płytę do odtwarzacza i kiedy wokół rozległy się pierwsze dźwięki *Tuoneli*, poczuł na rękach gęsią skórę.

Oszałamiająco piękne. Zupełnie jakby znalazł się w grocie, a cała góra ponad nim odbijała echem tę niesamowicie sugestywną muzykę. Pierwszy raz od wielu tygodni, właściwie to odkąd tu przyjechał, udało mu się zepchnąć Rzeźnika na boczny tor myśli. Zapomnieć o nim. Siedział sobie ot tak, w otoczeniu muzyki, pod kopułą krystalicznie czystego dźwięku, a wokół, sponad bezkresnego, migającego za szybami krajobrazu, znikwały mgły.

Jednak po tym, jak zatrzymał się w skromnej, dość ponurej kafejce przydrożnej na wysokości Urdingen, atmosfera uległa zmianie. Zrozumiał, że to, co odległe, zaczyna się zbliżać. W miarę jak oddalamy się od punktu, z którego ruszyliśmy, cel zaczyna nam coraz bardziej doskwierać. Narasta, opada nas, jak zwykle. Szczyt jest już przejechany. Myśl o dotarciu na miejsce staje się coraz wyraźniejsza. Czas naglił, wszystko miało się niedługo potwierdzić.

Albo okazać się nieprawdą. Ta przekłeta sprawa!

Mimo że próbował na nowo odegnać od siebie tę świadomość, mimo że starał się o tym zapomnieć, to i tak to poczucie wracało... nie w postaci myśli czy konkretnych wniosków, ale w postaci obrazów.

Przy dźwiękach *Tańca Anitry* i *W grocie króla gór* przesuwał mu się przed oczyma ciąg ostrych, niewyretuszowanych zdjęć. Pulsował

z uporem w równym, choć dość powolnym rytmie. Niczym seria slajdów, jakie puszczały nam na historii w liceum, pomyślał. Miał aż nadto czasu, żeby dokładnie obejrzeć wszystkie zdjęcia... choć oczywiście treść każdego z nich była nieco inna.

Nienaturalnie wykręcona głowa Ernsta Simmela leżącego na stole sekcyjnym i cienkopis wskazujący to ten, to inny fragment rozciętego gardła.

Otwarte ze zdziwienia usta i podskakujące podbródki adwokata Klingforta.

Prześlągnięty krwią dywan w mieszkaniu Maurice'a Rühmego. I rzeźnicki topór, którego pochodzenia nie udało im się do tej pory ustalić.

Louise Meyer – wymalowana czarną szminką panienska Eggersa, którą próbował przesłuchiwać całe popołudnie, ale która była zbyt naćpana, żeby w ogóle zrozumieć, co do niej mówił.

Lodowate spojrzenie Jeana-Claude'a Rühmego i piękne włosy inspektor Moerk, gdy wkraczała do pokoju z raportem Melnika w ręku.

Doktor Mandrijn i jego żona, ta powykręcana istota, którą podtrzymywał w zakładzie Seldona.

I Laurids Reisin. Stworzony przez wyobraźnię, niedający mu spokoju obraz mężczyzny, który boi się wyjść z domu.

I Rzeźnik.

Wizerunek samego Rzeźnika. Z wciąż rozmazanymi konturami i niemożliwy do zidentyfikowania, ale jeśli ten trop okaże się trafny, to może już za kilka godzin będzie można wyostrzyć obraz tak mocno, jak tylko się zechce.

Trzeba jeszcze jedynie sprawdzić parę szczegółów. Potwierdzić to

złe przeczucie i wtedy wszystko będzie jasne.

Prawdopodobnie.

Siedział przy biurku i gładził wąsy. Szczupły, w czarnym garniturze z zaczesanymi do tyłu włosami bardziej niż policjanta przypominał pracownika firmy pogrzebowej. Tak właśnie zapamiętał go Van Veeteren. Przez te piętnaście lat postarzał się może o miesiąc, góra dwa. W ogóle nie było po nim widać, że nie więcej niż osiem dni temu leżał na operacyjnym stole.

Powitał Van Veeterena kwaśnym uśmiechem i wskazał mu krzesło ustawione naprzeciwko pedantycznie wysprzątanego biurka.

– O co właściwie chodzi, do cholery?

Van Veeteren przypominał sobie plotkę krążącą o jego rozmówcy: ponoć nie potrafił otworzyć ust, żeby przy tym nie przekląć. Rozłożył ręce i przybrał pełną żalu minę.

– Niestety nie mogę powiedzieć – odparł. – Pozwól mi najpierw spojrzeć na to, po co przyjechałem... To dość delikatna sprawa.

– No chyba, kurwa. – Otworzył szufladę i wyjął z niej brązową teczkę. – Proszę. Sprawdzaj sobie, kurde, do woli.

Van Veeteren wziął teczkę i przez chwilę zastanawiał się, czy powinien czytać ją tutaj, w gabinecie, ale kiedy rzucił okiem na drugą stronę biurka, zrozumiał, że wizyta dobiegła końca. Przypomniał sobie, że jego gospodarz nigdy nie był znany z zamiłowania do wylewności, prowadzenia konwersacji i tym podobnych.

Wstał, uścisnął mu dłoń i wyszedł.

Cała wizyta zamknęła się w dwóch minutach.

Ci, którym się wydaje, że to ja mam zły humor, powinni poznać tego wesołka, pomyślał Van Veeteren, zbiegając po schodach.

Przeciął ulicę i otworzył samochód. Wyciągnął leżący na tylnym siedzeniu neseser i włożył do niego teczkę. Rozejrzał się. Pięćdziesiąt metrów dalej, na końcu ulicy, zauważył szyld kawiarni.

Może być, pomyślał i ruszył w tamtą stronę.

Zaczekał, aż kelnerka odejdzie, i dopiero wtedy rozłożył teczkę na stole. Przekartkował kilka stron, kiwając przy tym głową. Potem wrócił do początku i znów skinął sam do siebie.

Zapalił papierosa i zaczął czytać.

Nie zajęło mu to dużo czasu. Potwierdzenie jego wątpliwości znalazło się już na piątej stronie. Może spodziewał się czegoś nieco innego, ale to wystarczyło. Odłożył kartkę na miejsce i zamknął teczkę.

Beznadziejna sprawa, pomyślał.

Ale motyw wydawał się oczywisty... Tylko co wspólnego mieli z tym ci dwaj pozostali? Po kiego...?

No nic, okaże się.

Spojrzał na zegarek. Parę minut po pierwszej.

Czwartek, trzydziestego września. Przedostatni dzień pracy Bausena. A sprawa zmierzała ku rozwiązaniu.

I, dokładnie tak jak przypuszczał na samym początku, nie było to efektem wytężonej pracy śledczej. Tak jak się spodziewał, rozwiązanie samo na niego spadło. Niewątpliwie dziwne uczucie. Czuł, że to jakby niewłaściwe, ale z drugiej strony, nie pierwszy raz tak się to wszystko potoczyło. Zdarzało mu się to już wcześniej i już dawno zrozumiał, że jeśli jest jakiś zawód, w którym przyzwoitość nie jest nagradzana, to jest to właśnie zawód policjanta.

Temida upodobała sobie gliniarzy, którzy leżą i myślą, a nie harują

jak woły – jak to przy jakiejś okazji powiedział Reinhart.

Ale najbardziej doskwierała mu myśl o tym, z jaką niechęcią będzie wspominał tę sprawę w przyszłości. Jeśli chodzi o jego własny wkład w dochodzenie, to doprawdy nie było się czym chwalić. Wręcz przeciwnie. Najlepiej było postawić na tym krzyżyk i jak najszybciej o wszystkim zapomnieć.

Innymi słowy, nie poszło mu tak dobrze jak zazwyczaj.

Coś, co zjada człowieka od środka? A może powoli usypia. Ruch, który z góry skazany jest na obumarciu?

Tak, to mniej więcej takie uczucie. O ile w ogóle można tu mówić o uczuciu.

Ten czas, który jej pozostał, wypełniały gasnące rytmy i potrzeby jej ciała. W tej usypiającej ciemności doba wydawała się rozbita w drobny mak. Spała i budziła się, czuwała i zasypiała na nowo. Nie sposób było stwierdzić, ile to trwało, może na zewnątrz był już dzień, może noc. Może spała osiem godzin, a może zaledwie dwadzieścia minut? Głód i pragnienie dawały o sobie znać tylko jako niewyraźne sygnały, jakby to nie jej dotyczyły. Mimo to jadła z miski chleb i owoce, które od czasu do czasu uzupełniał. Piła wodę z butelki.

Jej ruchy ograniczał nie tylko rozmiar pomieszczenia, ale też sznury, którymi związał jej ręce i nogi. Leżała zwinięta i otulona kocami, niemal w pozycji embrionalnej. Wstawiała tylko wtedy, gdy musiała podejść do wiadra, do którego się załatwiała, kucając nad nim niezgrabnie. Na początku dolatujące z niego zapachy mocno jej dokuczały, ale szybko przestała je zauważać. Nieustannie czuła tylko przenikliwą woń ziemi, uderzała ją, gdy tylko się budziła, wciąż miała ją w świadomości.

Przełamywał ją jedynie miły aromat dymu papierosowego, który



dolatywał do niej, gdy on siedział naprzeciwko i opowiadał.

Zniknął też towarzyszący jej na początku paniczny strach. Wycofał się, a zastąpiło go inne ciężkie uczucie – letargu i monotonii. Może nie była to beznadzieja, ale nasilające się przekonanie, że jej życie zmieniło się w wegetację. Że jest niknącym stopniowo istnieniem, które krok po kroku ulega redukcji do niewyraźnego, ledwo zauważalnego ciała... ciała, które coraz bezwzględniej odrzucało wewnętrzne doznania, myśli i wspomnienia. Wydawało jej się, że panująca wokół ciemność się w nią wgryza, powoli i nieubłaganie wciska się jej pod skórę. Jednocześnie jednak zdawała sobie sprawę, że może właśnie to stanowi dla niej szansę na przetrwanie, jedyną ochronę przed tym, żeby nie zwariować. Wystarczy tylko leżeć pośród koców i – na tyle, na ile się da – podtrzymywać temperaturę ciała. Pozwolić myślom i fantazjom przychodzić i odchodzić, jak i kiedy chcą, nie wnikając w nie ani we śnie, ani na jawie.

I nie mieć na nic nadziei. Nic sobie nie wyobrażać, nie zastanawiać się, jak to się może skończyć. Po prostu leżeć. Czekać, aż przyjdzie i zacznie opowiadać dalszy ciąg tej historii.

O Heintzu Eggersie i Ernście Simmelu.

– Nie – powiedział. Usłyszała, jak ściąga celofan z nowej paczki papierosów. – Sam nie wiem, czy już wtedy, gdy wróciła z Aarlach, wszystko było stracone. Czy może jeszcze była jakaś szansa. Oczywiście teraz nie ma to już żadnego znaczenia, nie ma sensu spekulować... wszystko potoczyło się tak, a nie inaczej, i już.

Zapalił papierosa. Nagły błysk zapalniczki niemal ją oślepił.

– Wróciła, a my nie wiedzieliśmy, czy mamy się cieszyć, czy rozpaczać. Oczywiście robiliśmy i to, i to jednocześnie. Bo nie da się

żyć w zupełnej rozpaczy, nie zanim człowiek wreszcie zrozumie. Ale nawet wtedy też nie. W każdym razie nie mogła już mieszkać z nami.

Załatwiliśmy jej mieszkanie w Dünningen. Przeprowadziła się na samym początku marca. Kawalerka, ale dość duża. Jasna i czysta. Piąte piętro i balkon z widokiem na morze. Wciąż miała częściowe zwolnienie lekarskie. Chodziła na odwyk i na terapię... to znaczy, miała chodzić. Popołudniami pracowała w Henkersie. Nie radziła sobie, jak się później okazało, ale nie mieliśmy o tym pojęcia. Nie dopytywaliśmy, nie chcieliśmy jej zbyt kontrolować. Wszystko musiało się odbywać na jej warunkach, nie na naszych – tak nam wyjaśnił jakiś ważny i przemądrzały kurator. Więc trzymaliśmy się z boku, w cieniu. Bo i co mieliśmy zrobić? Mieszkała tam tej wiosny i – jak nam się wydawało – jakoś sobie radziła. Ale pieniądze, których potrzebowała na kupno tego, czego, jak myśleliśmy, już nie potrzebowała, dostawała od takich jak Ernst Simmel. Ernst Simmel...

Zamilkł i zaciągnął się dymem. Śledziła wzrokiem rozżarzony punkcik i nagle sama poczuła ogromną ochotę na papierosa. Może gdyby poprosiła, poczęstowałby ją, ale nie miała odwagi.

– Kiedyś, pod koniec kwietnia, po coś do niej pojechałem. Właściwie nie byłem u niej, odkąd się wprowadziła. Nie pamiętam już, jaki był powód tej wizyty. Na pewno nic ważnego. Zapomniałem o tym, kiedy tylko wszedłem.

Kolejna pauza. I znów krótki błysk papierosa. Zakaszał kilka razy. Oparła głowę o ścianę i czekała. Czekwała, chociaż już wiedziała, co będzie dalej.

– Zadzwoiłem do drzwi. Najwidoczniej dzwonek był zepsuty, więc nacisnąłem klamkę. Było otwarte, więc wszedłem do przedpokoju i się rozejrzałem. Drzwi do sypialni były otwarte na

oścież... Usłyszałem jakiś dźwięk i nie mogłem się opanować, żeby nie zajrzeć. I zobaczyłem, jak ten drań dostaje to, za co zapłacił.

– Simmel? – wyszeptała.

– Tak.

I znów chwila ciszy. Odchrząknął i się zaciągnął. Rzucił peta na podłogę i dogasił go butem.

– Kiedy tak stałem w drzwiach, nasze spojrzenia się spotkały. Popatrzyła na mnie ponad ramieniem tego dziada... opierali się o ścianę. Myślę, że gdybym wtedy miał broń, siekierę, nóż, cokolwiek, to zabiłbym go na miejscu. A może byłem zbyt sparaliżowany... to jej spojrzenie, spojrzenie Brigitte, która pozwalała, by robił z nią, co chciał. Już kiedyś tak na mnie spojrzała, od razu to sobie przypomniałem. Miała może siedem, osiem lat i po raz pierwszy zobaczyła umierające z głodu dzieci – to był jakiś telewizyjny reportaż z Afryki. Dotarło do niej, co zobaczyła, i posłała mi takie właśnie spojrzenie. To była ta sama rozpacz, bezsilność wobec zła tego świata... Wróciłem do domu i chyba przez miesiąc nie mogłem spać.

Ucichł i sięgnął po kolejnego papierosa.

– Czy to było w tym roku, kiedy Simmel przeprowadził się do Hiszpanii? – zapytała, zaskoczona siłą własnej ciekawości. Słuchała jego opowieści, która poruszyła ją zupełnie, jakby to było jej nieszczęście... Może jej własne położenie i rozpacz były tak naprawdę tylko lustrzanym odbiciem, fragmentem czegoś nieskończenie większego?

Cierpienia całego świata?

Przewagi zła?

A może to ten przeklęty upór, który wszyscy mi wytykali,

pomyślała. Upór i siła o podwójnym dnie... a może to myśl o tym dziecku, które odkładam na później.

A może i to, i to? Może w sumie wszystko sprowadzało się do jednego?

Skoro tak, to jakie to ma w ogóle znaczenie? Myśli się rozpiezchły i straciła wątek. Zaciśnęła dłonie w pięści, ale po kilku sekundach przestała je czuć. Jakby zniknęły, równie nieubłagane, jak jej próżne próby uchwycenia własnych myśli.

– Tak – powiedział wreszcie. – To było wtedy. Wyjechał latem... a wrócił ostatniej wiosny, jak inni. To musiał być znak: nagle cała trójka pojawiła się w mieście. W zaledwie tygodniowych odstępach. Nie w mówisz mi, że to przypadek. To był znak od Bitte. Od Bitte i od Heleny, to tak oczywiste, że nie dało się nie zauważyć. Czy ktoś w ogóle potrafi to pojąć?

Nagle jego głos się wyostrzył. Pojawiło się w nim – jakby z opóźnionym zapłonem – poruszenie. Jakby to wszystko nie dotyczyło jego. Jakby to nie on odpowiadał za te zbrodnie.

Jakby był jedynie narzędziem.

Nagle przypomniała sobie coś, co mówił Wundermaas – może nie słowo w słowo, ale ogólne przesłanie. Twierdził, że za większością zbrodni stoi jakaś konieczność, przymus, który jest silniejszy niż w przypadku innych przestępstw. Gdyby tak nie było, do zabójstw po prostu by nie dochodziło... nikt nie musiałby ich popełniać.

Gdyby istniała alternatywa.

Konieczność. Rozpacz, zdecydowanie i konieczność... tak, zrozumiała, że tak to właśnie wyglądało.

Rozpacz. Zdecydowanie. Konieczność.

Czekała na ciąg dalszy, ale ten nie nastąpił. Słyszała tylko jego

ciężki oddech, który przecinał ciemność. Zrozumiała, że to właśnie teraz, w tej minucie zawieszenia, decydował o jej losie.

– Co masz zamiar ze mną zrobić? – zapytała szeptem.

Być może dopiero zaczął. Nie chciała mu dać czasu na przemyślenie sprawy do końca.

Nie odpowiedział. Wstał i wyszedł.

Zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął je na rygiel i na kłódkę. Znow była sama. Nasłuchiwała oddalających się kroków i skuliła się pod ścianą. Naciągnęła na siebie koce.

Jeszcze jeden, pomyślała. Musi opowiedzieć o jeszcze jednym, a co potem?

Co potem?

Gdyby umiał przewidywać, co wydarzy się w przyszłości, choćby w ciągu najbliższych paru godzin, prawdopodobnie po prostu dałby sobie spokój z lunchem.

Ruszyłyby w drogę powrotną do Kaalbringen tak szybko, jak to możliwe. Ale nie umiał, a czując, że rozwiązanie tej ciągnącej się już długo sprawy ma w zasięgu ręki, pozwolił sobie na Canaille aux Prunes w Piwnicy Arno – niewielkiej restauracji oferującej ryby i owoce morza, którą pamiętał z konferencji, na jakiej był tutaj przed ponad dwudziestu laty.

No i potrzebował paru godzin, żeby móc to wszystko przemyśleć w spokoju. Przecież duże znaczenie miało to, jak wyreżyseruje ostatni akt tego dramatu... naprawdę duże znaczenie. Rzeźnika należy złapać tak bezboleśnie, jak się da. Poza tym należało jeszcze porządnie zbadać i wyjaśnić kwestię motywu. Pozostawała też kwestia inspektor Moerk. Prawdopodobieństwo popełnienia pomyłki było duże. Cytując Bausena: w tym dochodzeniu od dawna nic nie poszło dobrze.

Tak czy inaczej, teraz mógł liczyć na towarzystwo smacznego posiłku i na nic więcej.

Po gruszkach w koniaku i kawie podjął decyzję, uwzględniając przy tym obie wątpliwości. Słowem, postawił na strategię, która dawała duże szanse na powodzenie, a przy tym wiązała się z najmniejszym

możliwym ryzykiem zaszkodzenia Beate Moerk.

To znaczy, o ile ona wciąż żyje. Oczywiście chciał, żeby tak było, ale w tym przypadku prawdopodobieństwo było nieduże.

Prawdopodobieństwo? – pomyślał. Już dawno powinienem to wiedzieć.

Było wpół do czwartej. Zapłacił, wstał od stolika w rogu i podszedł do kabiny telefonicznej w holu.

Odbył trzy rozmowy. Najpierw zadzwonił do Bausena do domu. Potem do Münstera... telefon w domku letniskowym nie odpowiadał, najwidoczniej jego asystent wciąż był na plaży z Synn i dziećmi. Na końcu połączył się z Kropkem na numer komisariatu. Rozmowa z inspektorem zajęła mu niemal kwadrans. Kropke nie bardzo za nim nadażał, ale kiedy wreszcie skończyli, Van Veeterenowi wydawało się, że wszystko powinno pójść zgodnie z planem.

Ruszył w drogę tuż po czwartej. Już po paru milach, na wysokości Ulming, zauważył, że na desce miga lampka alternatora. Po chwili złowrogie światelko świeciło już bez przerwy. Niewiele pomogły przekleństwa i walenie pięściami w deskę. Przeciwnie – silnik zaczął się zacinać i tracić prędkość. Cholerny samochód. Kiedy na poboczu pojawił się przydrożny warsztat, zrozumiał, że nie ma wyboru.

Rzucił jeszcze parę dosadnych słów, zamigał prawym kierunkowskazem i zjechał z autostrady.

Potrzebny jest nowy alternator, orzekł młody mechanik. Wystarczył mu jeden rzut oka pod maskę... Niewiele da się dziś zrobić. Wetknął ręce do tylnych kieszeni i zrobił przepraszającą minę. Van Veeteren zaklął.

No dobrze, skoro klient nalega i chce zapłacić... – usłyszał.

Tak, może uda się to zrobić w cztery, pięć godzin. Trzeba przecież pojechać do miasta po nowy alternator, choć oczywiście, jeśli czas nagli, można wynająć inny samochód. Akurat kilka mieli na składzie.

– Mam zostawić tutaj mój sprzęt grający?! – ryknął komisarz, omiatając ręką brudne wnętrze warsztatu. – Za kogo ty mnie masz, do cholery?

– Nie, to nie – odparł mechanik. – To może niech pan zaczeka w kafejce. W kiosku można kupić książki i gazety.

A żeby to...! – pomyślał Van Veeteren. Cholerne auto! Nie uda mi się wrócić przed pierwszą czy drugą w nocy.

– Telefon! – wrzasnął Bart.

Münster i jego rodzina zasiedzieli się na plaży. Zeszli z niej dopiero, kiedy słońce zaczęło się chować za pas lasu na zachodzie. Właśnie wrócili do domu, po dniu pełnym zabaw, relaksu i rodzinnego integrowania się. Münster ostrożnie zaniósł do łóżka czteroletnią córeczkę, a Synn poszła odebrać.

– To komisarz – wyszeptała, zasłaniając ręką słuchawkę. – Brzmi, jakby zaraz miał eksplodować. Chyba coś z samochodem...

Münster wziął od niej słuchawkę.

– Tak? – zapytał.

Potem nie odezwał się przez najbliższe dziesięć minut, może więcej. Stał tylko we wnęce okiennej, słuchał i potakiwał, podczas gdy jego żona i syn chodzili w kółko, zataczając wokół niego coraz ciaśniejsze kręgi. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie i Synn zrozumiała, a tuż po niej pojął to i synek, który nie pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji.



Trudno było się zresztą pomylić. To nie o samochód chodziło w tej rozmowie. Słyszała to w rozkazującym tonie rozbrzmiewającym w słuchawce. Te stłumione dźwięki oznaczały nadchodzącą burzę. Widziała to też po swoim mężu: po pozycji, w jakiej stał, po zarysie szczęk – były napięte, zaciśnięte. Delikatnie pobielale tuż przy uszach.

Nadszedł czas.

Powoli i ją zaczął opanowywać ten charakterystyczny niepokój. Ten, o którym nie rozmawiała nawet z nim. Wiedziała jednak, że znają go wszystkie żony policjantów na całym świecie.

To prawdopodobieństwo... to, że coś mogło się zdarzyć...

Zdecydowanym ruchem wzięła synka za rękę i nie puszczała jej. Szczęśliwa, że mimo wszystko postanowiła tutaj przyjechać.

– Około drugiej? – zapytał wreszcie Münster. – Tak, rozumiem. Tak, zbierzemy się u mnie. Tak, dopilnuję tego.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę wpatrywał się w powietrze.

– To straszne – powiedział. – Ale oczywiście ma rację...

Potrząsnął głową i nagle dostrzegł swoją żonę i synka, którzy wpatrywali się w niego z tym samym niewypowiedzianym pytaniem wymalowanym na twarzach.

– Jutro rano jedziemy dorwać Rzeźnika – wyjaśnił. – Inni przyjdą tu dziś w nocy, żebyśmy opracowali taktykę.

– Tu? – zapytała Synn.

– Ale super – powiedział jego sześcioletni synek. – Będę ją opracowywał z wami.

Plan udało się zrealizować do wpół do piątej. Zajęło to trochę dłużej, niż zakładał komisarz. Kwestię motywu przewalkowano w tę i z powrotem i nikt nie wiedział, jak to wszystko się ze sobą wiązało.

Ale wyjaśnili to, co się dało. Dalej nie można było się teraz posunąć i nawet jeśli w układance brakowało jednego czy dwóch klocków, to wszyscy orientowali się, jak będzie wyglądać cała akcja.

– Nie ma sensu dłużej czekać – powiedział Van Veeteren. – Każdy wie, co to oznacza... wydaje mi się, że aż tak bardzo nie ryzykujemy, ale lepiej się zabezpieczyć. Mooser?

Mooser poklepał się po wybrzuszeniu na biodrze.

– Münster?

Münster pokiwał głową.

– Panie komisarzu?

Kolejne skiniecie i Van Veeteren zatrzasnął swój notatnik.

– Dobra, to ruszamy!

Myśl o śmierci nadeszła niczym nienatrętny gość, kiedy jednak ją wpuściła, ta zdecydowała się w niej zostać.

Zamieszkała w niej od razu. Nieproszona i nieugięta. Niczym ucisk w dołku, szara chmura, która się rozrastała i rozprzestrzeniała po jej wnętrzu, rzucając coraz większy mrok na jej myśli.

Śmierć. Nagle stała się jedynym wymiarem rzeczywistości, do jakiego przyszło jej należeć. To już koniec, powiedziała sobie, ale nie była to szczególnie traumatyczna, wstrząsająca myśl. Miała umrzeć – albo z jego ręki, albo sama z siebie. Leżąc skulona na podłodze pośród koców, z obolałym ciałem i niknącą duszą, która mimo wszystko jeszcze odczuwała... wiedziała, że to dusza podda się pierwsza. Od momentu kiedy otworzyły się przed nią drzwi śmierci, tętno jej życia cichło coraz bardziej, może zostało jej sto, siedemdziesiąt, a może tylko dwadzieścia oddechów. Potem wszystko pęknie. Już zaczęła odliczać. Wiedziała, że tak się robi w więzieniach. Czytała o skazańcach, którzy zachowali zdrowe zmysły tylko dzięki ciągłemu odliczaniu. Problem polegał na tym, że ona nie miała co odliczać. Żadnych wydarzeń, żadnych dźwięków. Żadnego zegara.

Miała tylko własny oddech i puls.

Czekała na niego. Wypatrywała go, jakby był jej ukochanym... jej strażnikiem, katem, a może i zabójcą? Nieważne. Czekała na

jakąkolwiek odmianę, jakikolwiek zwrot, byle tylko przerwać to ciągle obcowanie ze śmiercią. Tym niby skromnym, ale chciwym gościem.

Miska z jedzeniem była wypełniona do połowy, ale nie mogła już nic przełknąć. Od czasu do czasu zwilżała wodą język i usta, ale pragnienia też w zasadzie nie odczuwała. Podeszła do wiadra, ale nie mogła nic z siebie wycisnąć. Naturalne potrzeby opuszczały ją jedna po drugiej.

Dlaczego nie przychodził?

Nawet jeśli czas przestał istnieć, wiedziała, że coś musiało go zatrzymać. Postanowiła, że policzy do czterech tysięcy uderzeń serca, a jeśli on się nie pojawi do tego czasu, wtedy...

...wtedy odliczy kolejne cztery tysiące.

Czy można odróżnić jeden tysiąc uderzeń serca od drugiego? Czy to możliwe? A jeśli tak, to jaki to ma sens?

A kiedy tak liczyła, ucisk w pasie przybierał na sile.

Chmura się rozrastała.

Wypełniała ją śmierć.

– Spóźniłem się – powiedział. Ledwo co wychwyciła jego głos.

– Tak – odparła szeptem.

Usiadł w milczeniu i zauważyła, że automatycznie zaczęła liczyć jego oddechy. Wciąż walczyła z ciemnością, a jednak skupiła się na nim. Nie umknęło jej to.

– Opowiedz – poprosiła.

Zapalił papierosa, a ona poczuła, jak to słabe światełko rośnie i wciska się do jej wnętrza... błyskawicznie zalało całe jej ciało i sekundę później zemdląca. Obudziła się w jaskrawo białym świetle,

zalewało ją pulsujące, wibrujące światło, tak mocne, że poraziło ją jak grom. Niesamowite spirale przecinały się w jej głowie, a ona rzuciła się w sam ich środek, dała się wciągnąć i zatrzymać w tej obłędnie wirującej bieli, w tym szaleńczym zalewie światła...

A potem wszystko zaczęło się uspokajać. Strumień przygasł i wycofał się, wolno kołyszając się na boki i falując. Znowu poczuła zapach ziemi. Ziemi i dymu. Znowu przed sobą ujrzała tylko ciemność i czerwony, drgający punkt. Zrozumiała, że coś się stało. Nie wiedziała co, ale odleciała gdzie indziej, a teraz tutaj wróciła. A chmura przestała rosnąć.

Coś się stało.

– Opowiedz – poprosiła. Wrócił jej głos. – Opowiedz o Heinzie Eggersie.

– Heinz Eggers. – Jak zwykle na początku się zawahał. – O nim też ci opowiem. Po prostu jestem zmęczony, bardzo zmęczony... Ale oczywiście pociągnę tę historię aż do końca.

Nie zdążyła się zastanowić, co właściwie mogą oznaczać jego słowa. Odchrząknął i zaczął mówić.

– To było w Selstadt... Przeniosła się tam. To znaczy ją przeniesiono. Zajęła się nią opieka społeczna i umieściła ją w Trieckberg. Słyszałaś o Trieckberg?

– Nie.

– To jeden z tych kolektywów, którym udaje się uleczyć jednego czy drugiego podopiecznego. I to nic, że pozwalają im przychodzić i odchodzić, przychodzić i odchodzić, aż wreszcie umrą z przedawkowania albo od brudnej strzykawki. To nic, bo jednego czy drugiego udaje im się uleczyć. Mieliśmy z nią kontakt, bardzo dobry.

Odwiedzaliśmy ją, czuła się nie najgorzej. Znów pojawił się nikły promyk, ale po paru miesiącach dowiedzieliśmy się, że uciekła. Długo to trwało, za długo, zanim dostaliśmy cynk, że może być w Selstadt. Trieckberg leży parędziesiąt kilometrów stamtąd. Pojechałem tam i zacząłem szukać... po paru dniach zdobyłem adres. Oczywiście to była melina. Sporo już w życiu widziałem, ale nigdy nie widziałem kogoś w gorszym stanie niż ten, w którym była Brigitte i ta druga dziewczyna ze stajni Eggersa. To jego określenie. Stajnia. Chyba myślał, że przyszedłem kupić za grosze seks z jedną z jego panienek. Może miał ich i więcej...

Zamilkł.

– I co zrobiłeś? – zapytała po chwili.

– Uderzyłem go. Dałem mu w mordę. Nie mogłem się powstrzymać. Zniknął gdzieś. Zadzwoiłem po karetkę i obie trafiły do szpitala w Selstadt. Przepraszam, ale jestem zbyt zmęczony, żeby wchodzić w szczegóły.

– Jak?

Znów przez chwilę się nie odzywał. Dopalał papierosa, głęboko się zaciągając. Potem rzucił go na podłogę i zdeptał.

– Podcięła sobie tętnicę szyjną i skoczyła z siódmego piętra... chciała być pewna. To było trzydziestego września. 1988 roku. Miała dwadzieścia siedem lat.

Tym razem został z nią dłużej. Jak zwykle siedział jakieś trzy, cztery metry od niej i ciężko oddychał w ciemnościach. Żadne z nich się nie odzywało, wiedziała, że już wszystko zostało powiedziane. Skończył.

Zemsta została zrealizowana.

Historia – opowiedziana.

To już był koniec.

Siedzieli tak w ciemnościach i nagle uświadomiła sobie, że na scenie zostało dwóch aktorów, mimo że kurtyna opadła już dawno.

I co teraz? – pomyślała. Co się wydarzy?

Co stanie się z Horacym po śmierci Hamleta?

Będzie żył i opowie historię, tak jak mu przykazano?

Zabije się, tak jak chciał?

– Co masz zamiar zrobić?

Słyszała, jak wzruszył ramionami. Może po prostu zasnął. Nawet jeśli nie, to na pewno dopadało go przytłaczające zmęczenie. Poczwała, że chciałaby dać mu jakąś radę.

Jakoś go pocieszyć.

Ale oczywiście nie miała jak.

– Nie wiem – odparł. – Zrobiłem już swoje. Muszę dostać znak.

Muszę tam iść i poczekać na znak.

Wstał.

– Jaki dziś dzień? – zapytała, sama nie wiedząc po co.

– To nie dzień. Jest noc.

I znów zostawił ją samą.

A jednak żyję, pomyślała zaskoczona. A noc jest matką dnia...

Van Veeteren poszedł pierwszy.

Prowadził przez ciemność, która minimalnie zaczęła już rzednąć. Wąziutka strużka dziennego światła zaczęła się wciskać między drzewami, ale wciąż było za wcześnie na to, by rozróżnić coś więcej niż grube kontury i cienie. Wciąż od światła ważniejszy był dźwięk, od oka – ucho. Posuwali się naprzód, a tam, gdzie stanęli, cichł brzęk i poszum owadów. Dziwne miejsce, pomyślał Münster.

– Tylko teraz najlepiej jak się da – rozkazał Van Veeteren. – Lepiej, żebyśmy przyszli kwadrans za późno, niż żebyśmy się pospieszyli.

Po chwili skręcili za róg i weszli na wyłożoną kamieniami ścieżkę. Komisarz pchnął drzwi. Rozległo się ciche skrzypnięcie i Münstera ogarnął niepokój, ale już po trzydziestu sekundach wszyscy byli w środku.

Podzielili się. Dwóch zostało u szczytu schodów, Van Veeteren i Münster zeszli.

Było ciemno jak w piekle. Van Veeteren zapalił latarkę.

– To tylko przypuszczenie – wyszeptał przez ramię – ale jestem pewien, że jednak mam rację.

Münster pokiwał głową i dalej szedł krok w krok za komisarzem.

– Patrz! – krzyknął Van Veeteren i się zatrzymał. Skierował światło na stary domek dla lalek, wypełniony zabawkami: kukiełkami, misiami i tym podobnymi klamotami. – Już wtedy mogłem się



zorientować... pobożne życzenia.

Szli dalej w dół, Münster pół kroku za komisarzem. Woń ziemi przybierała na sile. W powietrzu czuć też było delikatny, już rozproszony zapach dymu papierosowego. Przejście robiło się coraz węższe, a sufit – coraz niższy. Musieli się nieco pochylić do przodu i iść na ugiętych nogach. Mimo że latarka rzucała trochę migotliwego światła, szli po omacku.

– Jest! – powiedział nagle komisarz. Zatrzymał się i poświecił latarką na solidne, drewniane drzwi zamknięte na podwójny rygiel i potężną kłódkę. – To tutaj!

Ostrożnie zapukał.

Cisza.

Spróbował jeszcze raz, mocniej. Münster usłyszał jakiś niewyraźny głos dobiegający zza drzwi.

– Inspektor Moerk? – zapytał Van Veeteren z policzkiem przyciśniętym do zwilgotniałych drzwi.

Teraz usłyszeli wyraźne „tak” i w tej samej sekundzie Münster poczuł, jak coś w nim pęka. Natychmiast z oczu polały mu się łzy i żadna siła na świecie nie mogłaby ich powstrzymać. Czterdziestodwuletni glina i tak ryczy, pomyślał. Nieźle.

Ale nie przejął się tym za bardzo. Stał za plecami komisarza i płakał pod osłoną ciemności. Dziękuję, pomyślał, sam nie wiedząc, do kogo się zwraca tymi słowami.

Van Veeteren chwycił łom i po kilku nieudanych próbach udało mu się wreszcie oderwać kłódkę. Zdjął rygle i pociągnął do siebie drzwi...

– Zgaście światło – wyszeptała Beate Moerk i jedynym, co Münster zdołał zobaczyć, były więzy, burza splątanych włosów i dłonie,

którymi zasłaniała oczy.

Zanim Van Veeteren spełnił jej prośbę, poświecił przez kilka sekund po ścianach.

Potem wymamrotał coś niezrozumiałego i zgasił latarkę.

Münster po omacku doszedł do Beate. Postawił ją na nogi... opadła na niego ciężko – zrozumiał, że musi ją wziąć na ręce. Podniósł ją ostrożnie i zorientował się, że wciąż płacze.

– Jak się czujesz? – udało mu się wreszcie wydusić z siebie, kiedy położyła mu głowę na ramieniu. Sam był zaskoczony spokojem, z jakim udało mu się to powiedzieć.

– Nie najlepiej – odparła szeptem. – Dzięki, że przyszliście.

– Nie ma sprawy – powiedział Van Veeteren. – Powinienem był wcześniej się domyślić. Obawiam się tylko, że pani inspektor musi jeszcze trochę wytrzymać w tych więzach. Nie mamy ze sobą odpowiedniego sprzętu.

– Nic nie szkodzi, ale jak już je zdejmiecie, zajmę łazienkę na trzy godziny – odparła Beate.

– Jasna sprawa – zgodził się Van Veeteren. – Pani inspektor wyrobiła aż nadto dużo nadgodzin – dodał i zaczął prowadzić ich do wyjścia.

Na tarasie czekali na nich Kropke i Mooser.

– Nie ma go w domu – powiedział Kropke.

– A niech to! – zdenerwował się Van Veeteren.

– Możesz mnie już postawić, jeśli chcesz – zaproponowała Beate Münsterowi. – Może uda mi się pójść samej.

– Nie ma mowy – odparł Münster.

– Gdzie on się, do cholery, podziewa? – wymamrotał Van

Veeteren. – Jest wpół do szóstej rano... przecież powinien leżeć w łóżku, nie?

Beate otworzyła oczy, ale osłoniła je dłonią przed słabym światłem poranka.

– Był u mnie jakiś czas temu – powiedziała.

– Jakiś czas? – zapytał Kropke.

– Tam na dole trudno było połapać się w czasie – wyjaśniła. – Godzinę temu, może dwie.

– Nie powiedział, dokąd się wybiera? – spróbował Van Veeteren. Beate zaczęła się zastanawiać.

– Nie – odparła. – Ale mówił, że czeka na znak...

– Na znak? – nie zrozumiał Mooser.

– Tak.

Van Veeteren myślał przez chwilę. Zapalił papierosa i zaczął chodzić w tę i z powrotem po kamiennej ścieżce.

– Aha – powiedział wreszcie i zatrzymał się. – No tak, to całkiem możliwe... czemu nie? Münster!

– Tak?

– Zdejmij inspektor Moerk więzy i zawieź ją do szpitala.

– Do domu – wtrąciła Beate.

Van Veeteren zamruczał.

– Niech będzie – dodał. – Wyślemy do pani lekarza.

Beate pokiwała głową.

– Kropke i Mooser, ze mną!

– Jak pan komisarz myśli, gdzie on jest? – zapytał Kropke, kiedy już Münster i Beate odjechali.

– U rodziny – odparł Van Veeteren. – To tam czuje się u siebie.

## 51

– Dam sobie radę – powiedziała Beate.

– Na pewno? – wołał się upewnić Münster.

– Jasne. Chwilę posiedzę w łazience i będę jak nowo narodzona.

– Lekarz przyjedzie za pół godziny. Chętnie zostanę do tego czasu.

– Nie, dzięki. – Uśmiechnęła się niewyraźnie. – Wracaj do rodziny.

Zatrzymał się z ręką na klamce.

– A ten raport... – zaczął. – Ile właściwie z niego przeczytałaś?

Zaśmiała się.

– No dobra, nic. Coś mi się nie zgadzało z numeracją stron. Kiedy zostawiałam oryginał, przekartkowałam go do ostatniej strony i widziałam, że ma numer 35... chyba nawet wam o tym mówiłam.

– Faktycznie – przypomniał sobie Münster.

– A na kopiach strony nie były ponumerowane... to wszystko. Nie wiedziałam nic o jego córce, kiedy jechałam na komisariat. Pracuję tu dopiero od czterech lat, kiedy zaczęłam, ona już nie żyła. Po prostu chciałam sprawdzić, czy znajdę coś przy kserokopiarce. Musiał mnie tam zauważyć – albo kiedy przyjechałam, albo kiedy odjeżdżałam. Może to po prostu przypadek, nie mam pojęcia, czy on myślał, że coś wiem. W każdym razie nic o tym nie wspominał. Jeszcze jakieś pytania?

Münster pokręcił głową.

– W sumie to całkiem sporo – odparł. – Ale to może poczekać.

– Idź już. Ale najpierw mnie uściskaj, jeśli nie przeszkadza ci ten zapach.

– I tak już cały ranek grzebałem się w ziemi, żeby cię znaleźć – powiedział i objął ją.

– Auć.

– To na razie. Trzymaj się.

– Ty też.

Zobaczył go już z daleka.

Stał w bladym świetle poranka, w tym samym miejscu, gdzie tamtego wieczora, kiedy to Van Veeteren zdecydował się do niego nie podchodzić. Nie przeszkadzać mu w żałobie.

Teraz też trzymał ręce głęboko w kieszeniach. Głowę miał pochyloną. Stał zupełnie nieruchomo, na szeroko rozstawionych nogach – jakby czekał już długo i bał się, że straci równowagę.

Był w pełni skupiony, może zatopiony w modlitwie, pomyślał Van Veeteren, może czegoś wyczekiwał. Olśnienia.

A może po prostu pogrążył się w smutku. Jego plecy wyglądały wręcz odpychająco, tak że Van Veeteren zbliżał się do niego pełen wątpliwości. Dał znak Kropkemu i Mooserowi, żeby trzymali się na dystans... tak, by choć na chwilę mógł go mieć tylko dla siebie.

– Dzień dobry – powiedział, kiedy zbliżył się już na kilka metrów i kiedy Bausen musiał już słyszeć jego kroki na żwirowej ścieżce. – Już jestem.

– Dzień dobry – odparł Bausen, wciąż stojąc nieruchomo.

Van Veeteren położył mu rękę na ramieniu. Przez chwilę stał cicho i czytał napis na nagrobku.

Brigitte Bausen

18.06.1961 – 30.09.1988

Helena Bausen

3.02.1931 – 27.09.1991

– To wczoraj? – zapytał Van Veeteren.

Bausen pokiwał głową.

– Pięć lat temu – powiedział. – Jak widzisz, jej matka nie dotrwała do końca miesiąca, ale to różnica zaledwie trzech dni.

Chwilę stali w milczeniu. Van Veetern usłyszał, jak Kropke pokasłuje – nie odwracając się, dał mu znak ręką, żeby jeszcze się wstrzymał.

– Powinienem był wcześniej się zorientować – powiedział. – Dałeś mi sporo znaków.

Najpierw Bausen nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami i potrząsnął głową.

– Znaków... – odezwał się po chwili. – Ja nie dostaję żadnych znaków... czekam tu i czekam już długo, nie tylko dziś.

– Wiem – odparł Van Veeteren. – Może... może sam brak znaków też jest jakimś znakiem?

Bausen podniósł wzrok.

– Milczenie Boga? – Zadrżał i popatrzył na komisarza. – Przykro mi z powodu Moerk... wypuściliście ją?

– Tak.

– Musiałem to komuś wyjaśnić. Oczywiście nie wiedziałem tego, kiedy ją schwytałem, ale tak wyszło. Nigdy nie chciałem jej zabić.

– Oczywiście. Kiedy się zorientowałeś, że wiem?

Bausen chwilę się zastanawiał.

– Przy ostatniej partii szachów. Ale nie byłem pewien...

– Ja też nie – powiedział Van Veeteren. – Nie bardzo rozumiałem,

jaki miałeś motyw.

– Ale teraz rozumiesz?

– Tak mi się wydaje. Wczoraj Kropke to zbadał... straszna historia.

– Moerk wie wszystko. Możecie ją zapytać. Ja nie dam rady przejść przez to jeszcze raz. Okropnie mnie to zmęczyło.

Van Veeteren pokiwał głową.

– A ta wczorajsza rozmowa przez telefon... – powiedział Bausen. – Wiesz chyba, że nie dałem się zmylić, zrobiłem to raczej z grzeczności.

– Absolutnie – odparł Van Veeteren. – To była obrona domowej roboty.

– Raczej zakończenie partii. Choć i tak trochę długo wam zeszło...

– Zepsuł mi się samochód – wyjaśnił Van Veeteren. – Idziemy?

– Tak, idziemy.

V

2 października



Plaża nie miała końca.

Van Veeteren przystanął i spojrzał na morze. Tym razem fale były duże. Wciąż mocno wiało i w oddali, na horyzoncie, pojawiła się już pierwsza warstwa ławicy chmur. Na pewno przed wieczorem się rozpada.

– Będziemy zawracać, co? – powiedział.

Münster pokiwał głową. Szli już pół godziny. Synn zapowiedziała obiad na trzecią, a przecież dzieciaki trzeba było porządnie wyszorować, zanim będą mogły usiąść do stołu.

– Bart! – krzyknął Münster i zamachał. – Wracamy!

– Dobra – odpowiedział sześciolatek i po raz ostatni rzucił się na zakopanego w piasku wroga.

– Jestem zmęczona – stwierdziła jego córka. – Ponieś mnie!

Münster wziął ją na ręce i powoli ruszyli z powrotem wzdłuż plaży.

– Jak on się czuje? – zapytał, kiedy Marieke zasnęła, a Bart odbiegł na bezpieczną odległość.

– Wydaje mi się, że nie najgorzej – odparł Van Veeteren. – Nie troszczy się o przyszłość... dla niego najważniejsze jest to, że wykonał zadanie.

– Chciał zostać schwytany?

– Nie, ale chyba nie sprawiło mu to większej różnicy. Oczywiście

sprawa wymknęła mu się spod kontroli, kiedy Moerk trafiła na trop.

Münster przez chwilę się zastanawiał.

– Właściwie to ile linijek tekstu z raportu Melnika było poświęcone Brigitte Bausen? – zapytał. – Chyba niedużo, co?

– Dokładnie jedna strona. Chodziło o ten rok, kiedy mieszkali razem. Jej nazwisko pojawiało się w tekście dwa razy. Rzecz jasna, Melnik nie miał pojęcia; nawet on nie może wiedzieć, jak się nazywa każdy szef komisariatu... Chociaż gdyby Bausen miał więcej czasu, mógłby wstawić tam jakieś inne nazwisko i nie musiałby usuwać całej strony. Może wtedy by mu się udało. Ale czekaliśmy na niego z tym raportem. No i przecież zorientowalibyśmy się, gdyby w tekście była dziura.

Münster pokiwał głową.

– Właściwie trudno mi ocenić jego czyn jako coś aż tak strasznego. To znaczy z moralnego punktu widzenia.

– Cóż – odparł Van Veeteren. – Można zrozumieć, że Bausen miał swoje racje... może nie aż do tego stopnia, żeby odrąbywać głowy trzem osobom, ale do tego, żeby coś zrobić ze swoją rozpaczą.

Pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął paczkę papierosów. Musiał przystanąć, żeby dłonią osłonić zapalniczkę.

– Ogromna rozpacz i ogromne zdecydowanie – zauważył. – To były dwa główne składniki tego dania. To słowa Moerk, nie moje, ale to adekwatne podsumowanie. Żal i zdecydowanie... i konieczność. Świat, na którym przyszło nam żyć, bynajmniej nie jest uroczy, no ale to wiemy już od dawna, nieprawdaż?

Przez chwilę szli w milczeniu. Münsterowi przypomniało się jeszcze coś, co opowiedziała im Beate, relacjonując swoją rozmowę z Bausenem w piwnicy.

Życie narzuca nam pewne zadania, miał jej powiedzieć. Jeśli się do nich nie weźmiemy, obrócimy się w kamień. Po prostu trzeba dokonać wyboru.

Obrócimy się w kamień? Czy faktycznie? Czy naprawdę tak wygląda ta daremna walka ze złem? Ta, której wynik – choćby nie wiadomo jak mizerny i nieudolny się wydawał – nigdy nie był ważny... bo liczy się samo działanie, sama zasada?

I nagrodą za to ma być tylko to, że nie obrócimy się w kamień? Tylko tyle?

Cóż, może tak właśnie było.

Ale odbierać życie trzem osobom...?

– A ty jak uważasz? – komisarz przerwał jego rozmyślenia. – Jaką karę byś mu wymierzył, gdyby to od ciebie zależało?

– Na tym najlepszym ze światów?

– Tak, na tym najlepszym.

– Nie wiem. A pan co sądzi, komisarzu?

Van Veeteren milczał przez kilka sekund.

– Trudna decyzja – powiedział. – Może kazałbym go zamknąć w piwnicy, jak on zamknął Moerk. Choć w nieco bardziej humanitarnych warunkach – z lampą, paroma książkami... i korkociągiem.

Znów zamilkli. Szli obok siebie wzdłuż wody, każdy z nich porządkował sobie w głowie całą historię. Wiatr się nasilał. Münster czuł, że przechodzi w szkwał, pod którego naporem czasem trzeba było się pochylić. Bart podbiegł do nich z nowymi znaleziskami do swojej kolekcji kamieni. Schował je w kieszeni ojca i znów wystrzelił do przodu. Kiedy na horyzoncie pojawił się ich niski, bielony domek, Van Veeteren odchrząknął.

– Tak czy inaczej – powiedział – to jeden z najsympatyczniejszych morderców, z jakimi miałem do czynienia. Rzadko kiedy ma się okazję mieć z nimi tak bliski kontakt... to znaczy, zanim się ich wsadzi za kratki.

Münster podniósł wzrok. W głosie komisarza zabrzmiała zupełnie nowa, całkiem zaskakująca nutka autoironii. Nigdy wcześniej jej nie słyszał, ba, nawet nie umiał sobie tego wyobrazić. Nagle poczuł, że trudno mu powstrzymać uśmiech.

– A jak poszła partia szachów? – zapytał.

– Wygrałem, oczywiście – odparł Van Veeteren. – A co myślałeś, do cholery? Po prostu zajęło mi to trochę czasu.

Parę godzin później po raz ostatni spojrzął na morze. Zapalił ostatniego papierosa. Stał sam, wpatrując się we wzburzone masy wody, toczące się w stronę lądu.

Znów odetchnęły – zarówno morze, jak i niebo... znów zgrały się w tym samym groźnym, szarofioletowym akordzie, w tej samej nieposkromionej sile. Kiedy poczuł na dłoni pierwsze krople deszczu, odwrócił się na pięcie i ruszył do samochodu.

Czas się stąd zabierać, pomyślał.

Kurtyna opadła. Tragedia dobiegła końca.

Edyp schodzi ze sceny. Van Veeteren też.

Zapalił silnik. Włączył światła, rozpraszając szybko zapadający mrok i ruszył w stronę lądu.

A może... może to nie ostatnia wizyta tutaj. Może Kaalbringen będzie miało przyjemność gościć go ponownie...

Bo chyba nawet emerytowanemu Rzeźnikowi przyznają kiedyś

przepustkę? I znów będzie można rozegrać choćby skromną partyjkę?

Czego się nie zrobi dla kieliszka porządnego wina?

Tak pomyślał komisarz Van Veeteren i zaczął szukać w schowku płyty Pendereckiego.

---

<sup>1</sup> *Hamlet*, akt III, scena 1. Cytat z przekładu Jana Paszkowskiego. PIW, Warszawa, 1970.